

# Brookner Anita

## Prywatne doznania

*Przejsie na emeryturę ma być dla George'a Blanda okazją do zrealizowania wieloletnich marzeń o egzotycznych podróżach i beztroskim, dostatnim życiu.*

*Wszystkie jego plany przybierają jednak zupełnie inny obrót, kiedy przypadkiem na schodach swego domu spotyka znacznie młodszą kobietę, która nie zastała znajomych i nie ma gdzie przenocować. George Bland decyduje się ją zaprosić, co daje początek subtelnej psychologicznej grze między dwojgiem obcych ludzi z niepokojem odkrywających, że łączy ich więcej, niż przypuszczali.*

Olśniony słońcem, George Bland uznał, że nadeszła chwila rozliczenia się z sobą. Był już w Nicei jakieś czterdzieści lat temu, na swych pierwszych zagranicznych wakacjach. Teraz to samo miasto otoczyło go gwarem i światłem, zmuszając do refleksji. Nie potrafił czuć się beztrosko, odzwyczaił się od urlopowania. Przyjechał przed czterema dniami i nie umiał znaleźć sobie zajęcia. Nie mógł się opędzić od myśli, których większość, a bodaj i wszystkie, wywoływały w nim nostalgię. To było nierozsądne, że zdecydował się wybrać Niceę. W gruncie rzeczy nie był to nawet wybór, tylko próba ucieczki przed myślami, które jak wierny pies dopadły go i tutaj. Szukał ukojenia — możliwie dość konwencjonalnego — po śmierci przyjaciela. Michael Putnam padł niefortunnie ofiarą raka wtedy właśnie, gdy dzięki powolnej ewolucji, którą obaj przeszli, a może w nagrodę za swą wzorową pracowitość — lub mówiąc prozaicznie, w wyniku jednoczesnego przejścia na emeryturę — mogli sobie pozwolić na odpoczynek i wspólne zwiedzanie świata. Zawsze o tym marzyli. Ale z realizacją tych planów czekali zbyt długo i teraz Bland czuł się oszukany. Zaprawdę

wytrwałość i cierpliwość przynoszą niekiedy cierpkie owoce, a czas, gdy mu się nie dotrzyma kroku, płata niemiłosierne figle. Szczególnie gdy człowiek nie kieruje własnym losem, lecz zda się na jego łaskawość.

Bland przyjął stratę przyjaciela z wielkim bólem. Putnam zostawił mu pokaźną sumę pieniędzy, która w połączeniu z jego własnymi oszczędnościami pozwalała mu teraz czuć się bogatym człowiekiem. Dostrzegał w tym szyderstwo losu. W młodości cierpiał biedę. Niedostatek okaleczył jego umysł i, co gorsza, serce. Obecnie wydawał pieniądze rozrzutnie — po trosze, aby się od nich jak najszybciej uwolnić, a po trosze, by uśmierzyć ból wywołany niewczesną śmiercią Putnama. Niezręczność tej sytuacji wyraźnie mu doskwierała. Gdy zasiadał w jakiejś drogiej restauracji, na przykład w „Le Chantecler”, stawało mu przed oczami ich ostatnie spotkanie — koścista dłoń zaciśnięta na jednej spośród wielu kart z życzeniami powrotu do zdrowia, nadesłanych przez przyjaciół, rozszerzone oczy zwrócone w stronę okna, wyrażające zwątpienie i niemy protest, to znów kierujące się ku niemu z wyrazem lęku, tęsknoty i prośby. Putnam chciał żyć do ostatniej chwili i on musiał patrzeć w te oczy; musiał wytrzymać wzrok przyjaciela, co było niełatwe — czasem wprost nie do zniesienia. Ale Bland wytrwale stawiał czoło wyzwaniu, dzień po dniu, w sumie nie dłużej zresztą niż trzy tygodnie. Później oczy Putnama zgasły bezpowrotnie.

Ta śmierć wstrząsnęła nim i sprawiła, że postanowił szukać pociechy w jesiennym słońcu, obecnie zbyt jaskrawym jak na jego gust. Powtarzał sobie, że nikt nie rozumiał ich przyjaźni tak jak oni ją rozumieli. Obaj pozostali kawalerami i choć nikomu nie przychodziło do głowy uważać ich za kochanków, to jednak ta zażyłość budziła zdziwienie i wy-

dawała się zagadkowa. W istocie łączyło ich przede wszystkim dzieciństwo spędzone w nędzy i mozolny trud wspinania się do poziomu klasy średniej. To właśnie była ta ich pogodna i zarazem ponura tajemnica. W niedzielę szli na lunch do klubu lub do jednego z lepszych londyńskich hoteli, gdzie z przyjemnością przepytywali się z nazw produktów wyczarowujących wspomnienia przeszłości. Obaj lubili słodczyce i mocną herbatę. Obaj przed większym zakupem wpadali podświadomie w popłoch: czy mogą sobie na to pozwolić?

Rozmowy o przeszłości — jakiegokolwiek przeszłości, ale szczególnie ich własnej — dodawały im poczucia swobody. Teraz, gdy Bland został sam, terażniejszość wydała mu się drażniąca, zabarwiona goryczą, na którą nie był przygotowany. Nie chodziło tylko o śmierć Putnama. Ta z pewnością przepełniała go smutkiem, ale poczucie straty sięgało dalej, obejmując całe ich wspólnie spędzone życie, w którym podtrzymywali się na duchu i wzmacniali upodobanie do cnót klasy średniej, pielęgnowanych lekko, z nieoczekiwaną lubością. Ze skalistego podłoża biedy i mizernych perspektyw kariery wyrosła hojność, rozważna życzliwość i z trudem zdobyta bezstronność przekonań. Bland kochał Putnama, a teraz, gdy go zabrakło, sam czuł się na wpół martwy. Bez Putnama resztę życia musi wieść w pojedynkę, aż przyjdzie kolej na niego i złożony chorobą, będzie mógł uznać, że przyjaźń w jego życiu zajęła miejsce miłości. Taka myśl przemknęła mu przez głowę w ostatnich podniosłych chwilach spędzonych u boku przyjaciela. Obecnie wspólna przeszłość stała się jego wyłączną własnością. I terażniejszość także. Ta zresztą była bardziej problematyczna, ponieważ Bland dobrze rozumiał, że komfortowe dni beztroski muszą się skończyć, że powrócą wcześniejsze wrażenia i doznania, a wraz z nimi uczucia, które im

towarzyszyły. W swym opuszczeniu cierpiał, ogarnięty jakimś wstydem, że uratował swoje życie dla błażego celu. Był bogaty i niepotrzebny. Nie miał rodziny, żony ani kochanki. Jego życie przebiegło tak skromnie, aż się sobie wydawał śmieszny. Cały czas pracował w tej samej firmie co Putnam i razem z nim przeszedł na emeryturę, której teraz samotnie musiał stawić czoło, gdyż jego przyjacielowi nie dane było nacieszyć się nieróbstwem. Póki Putnam żył, obaj byli w rozsądnych granicach szczęśliwi. Teraz Bland czuł się nieswojo. Pobyt w Nicei zdawał się groteskową przygodą. Powinien był pojechać na Daleki Wschód, razem z Putnamem, tak jak planowali. Nie zrobiwszy tego, w jakiś niezrozumiały sposób czuł się niezręcznie, jak skarcony chłopiec, który popełnił towarzyską gafę. Nie chciał spotkać nikogo ze znajomych, aby uniknąć pytań o swą obecność w tym miejscu i nie musieć udzielać niezadowolających wyjaśnień.

Choroba Putnama wytrąciła go z równowagi, po raz pierwszy zmuszając do przyznania, że sześć-dziesięcioletni mężczyzna nie jest wprawdzie starcem, lecz młodość ma już za sobą. To prawda, że Bland trzymał się prosto i zachował smukłą sylwetkę, ale siwiejące włosy rzedły, a nos rysował się coraz wydatniej. Bez ostrzeżenia, w złocistym blasku słońca, w podmuchach ciepłej bryzy ostatnich dni urlopowego sezonu dopadło go poczucie samotności, to samo, które dręczyło go w okresie dojrzewania. Miał wrażenie, że nie zna nikogo na świecie, że biuro, stanowiące przez tyle lat bezpieczną przystań jego życia, zniknęło lub przeszło w ręce innych ludzi, zmuszając go do wędrówki bez celu, do trwonienia czasu w kawiarniach lub na brzegu morza ze wzrokiem wbitym w horyzont. Znów gryzła go myśl, że ich życie było godne politowania, ponieważ on i Putnam tylko siebie wzajem wyznaczyli na spadko-

bierców i z góry wykluczyli możliwość, by ktokolwiek inny mógł skorzystać z ich oszczędności skrzętnie gromadzonych przez całe życie. Do tego doszedł smutek, którego nie miał z kim dzielić, niebezpiecznie ogarniający wszystkie myśli, po raz wtóry opanowujący wolę. Wtedy, w latach dojrzewania, skutecznie oparł się jego atakom, ale śmiertelna choroba Putnama, na szczęście krótka, osłabiła odporność Blanda. Cierpiał teraz nie tylko na bóle mięśni, gdy nieostrożnie wypuścił się na zbyt długi spacer, lecz także na uporczywe wpatrywanie się w przeszłość, tak pochłaniające jego umysł, że terażniejszość wydawała się zbędnym dodatkiem, zamkiem na piasku. A może istotnie nie była niczym więcej?

Pozbawiony Putnama, czasami przywoływał wewnętrzny głos lub kilka głosów, które zastępowały mu bóstwa opiekuńcze albo rodzinę z odważnymi, zdecydowanymi ciotkami i lojalnymi kuzynami, nieskłonny do stawiania pytań — zupełnie różnymi od jego prawdziwych krewnych. Właściwie miał tylko jedną krewną, ciotkę Lilian, z którą jego matka zawzięcie się kłóciła od kiedy sięgał pamięcią, a zapewne od kiedy obie nauczyły się mówić. Te wewnętrzne głosy namawiały go do folgowania sobie, nawet do nieumiarkowania. „Czemu nie? — pytały. — Możesz sobie na to pozwolić”. Tymczasem on nie miał żadnych pokus, więc te zachęty były raczej bezprzedmiotowe i tym samym jakoś niezdrowe. Takie ośmielanie byłoby może na miejscu we wcześniejszym okresie jego życia, który już dawno przeminął; w okresie gdy był niezamożnym chłopcem z Reading, nieświadomą ofiarą manipulacji swoich niezorganizowanych rodziców. Pałał do nich na zmianę miłością i nienawiścią. Ich konflikt tkwił w nim w pewien sposób nadal i nie potrafił sobie z nim poradzić. Z zażenowaniem i wstydem musiał patrzeć, jak jego rodzice staczają się po drabinie

mieszkańskiego poważania na poziom dający im poczucie komfortu. Ojciec, niegdyś dziennikarz sportowy, nabrał zwyczaju trwonienia pieniędzy na wyścigach konnych, a matka, gdy przestała pracować jako pielęgniarka, spędzała dni na paleniu papierosów i czytaniu łatwych powieści pożyczanych z czytelni. Poza tym z przyjemnością wdawała się w kłótnie, na przemian to z mężem, to z siostrą Lilian.

Od wczesnych lat umiał o sobie zadbać. Gdy znaleziono jego ojca martwego w parku Kempton, Lilian wręczyła im czek i powiedziała tonem, w którym brzmiał triumf: „Myślę, że teraz George znajdzie sobie jakąś robotę”. Zrozumiał, że jego przyszłość legła w gruzach. Porzucił uniwersytet w Reading po pierwszym roku i został referentem w fabryce tekturowych pudeł. Opiekował się matką, dopóki żyła. Po jej śmierci po raz pierwszy odezwały się wewnętrzne głosy. Kazały mu uciekać, gdzie pieprz rośnie, sprzedać dom i poprosić o przeniesienie do Londynu — co w owych latach pełnego zatrudnienia nie było trudną do spełnienia prośbą. Na kilka lat przepadł bez wieści. Później znów się pojawił w Reading, już jako ceniony pracownik firmy, która nie przestając być fabryką kartonowych pudeł, stała się silnym konsorcjum pakowniczym produkującym wszelkie rodzaje opakowań, z własnym wydziałem materiałów biurowych. W miarę jak wzrastał popyt na te coraz bardziej wyspecjalizowane produkty, firma znana pod nazwą Rogerson's — od nazwiska właścicieli — umacniała swą pozycję jednego z najsprawniej zarządzanych przedsiębiorstw w szybko komercjalizującej się Wielkiej Brytanii.

Pewnego dnia do jego biura wszedł Putnam — żwawy, niewysoki, szukający pracy księgowy z Birmingham — i Blandowi przyszła do głowy myśl, że mogliby zostać przyjaciółmi. Zapytał więc go, czy znalazł już sobie mieszkanie — okazało się, że tak —

oraz czy miałby ochotę na szybki obiad po pracy. Putnam ochocho przyjął zaproszenie i we włoskiej restauracji odkryli, jak bardzo są do siebie podobni. Później wszystko układało się już harmonijnie. Bland czuł się wyzwolony, zwolniony z konieczności udawania i przeproszania za winy. Ta wolność wprawiała go w oszołomienie. Nie szukał niczego więcej. Był zadowolony z pracy, rosnącego dobrobytu i przyjaźni z Putnamem. Naturalną kolejną rzeczą aprobatą przyjaciela zaczęła zastępować wewnętrzne głosy. Miał je teraz za wynędzniałych współwięźniów swej głodowej przeszłości, z czasów gdy odbywał niezasłużoną karę, która wreszcie dobiegła końca.

Putnam podobał się kobietom i udało mu się podbić serca najmiłszych spośród pań zatrudnionych w przedsiębiorstwie. Robił to dyskretnie, nie obrażając nikogo, nawet wtedy gdy rozstawał się z jedną i wiązał z inną. Co rzadkie, nie chwalił się swymi sukcesami i dzięki tej powściągliwości nigdy żadna kobieta nie stanęła między nim a Blandem. Tak więc Putnam miał swoje miłostki, Bland zaś przyjaciółkę Louise, przynajmniej dopóki nie znalazła sobie męża i nie wyjechała z nim do New Forest. Bland znał ją jeszcze z Reading. Zachwycała go jej spokojna schludność — zaleta, z którą rzadko się wówczas spotykał i którą cenił do dziś — jej świeżo umyte włosy i białe bluzki. Kochali się w wynajętych pokojach, później w hotelach, na koniec w jego własnym małym mieszkaniu.

Dobroduszość Louise, która z nie-odmianą pogodą ducha akceptowała te obskurne warunki, trwała jakieś dwadzieścia lat, aż nagle, gdy ich długotrwała miłość nabrała dojrzałości i wydawała się niewzruszona, kochanka oświadczyła swym miłym, łagodnym tonem, którym zwykle do niego przemawiała, że zamierza wyjść za mąż. Ta decyzja bardziej go zaniepokoiła, niż załamała, choć miał nadzieję, że Louise zawsze będzie dotrzymywać mu



towarzystwa i kiedyś zostanie jego żoną. Dzielił z nią te plany, zastrzegając się jednak wielokrotnie, że wciąż nie jest gotów do małżeństwa. Gotów nie był do dziś i nawet teraz taka decyzja wydałaby mu się przedwczesna. Louise zmęczyło czekanie i oświadczyła mu to wprost, bez wymówek. Jej mąż był znacznie od niej starszy i zdziwaczały, ale po roku miała syna i dzięki niemu lżej zniosła raczej nieoczekiwaną śmierć małżonka. Nie utraciła swej zwykłej pogody ducha.

Bland przeczytał nekrolog w „Timesie” i natychmiast zadzwonił do przyjaciółki, a następnie pojechał do niej, do Lymington. Podczas wizyty starał się okazać Louise współczucie, ale stale rozpraszały go wybryki jej syna, sześciolatniego chłopca o uderzającej brzydocie. Philip był niechlujny, ruchliwy i narzucał się ze swoją sympatią. Miał jakby połamane zęby, które w istocie tylko wyrastały mu z dziąseł w nieregularny sposób. Mówił tak bełkotliwie, że trudno go było zrozumieć. Ciągłe chwycił Blanda swymi lepkimi dłońmi. Louise była wpatrzona w syna jak w obraz i George zrozumiał, że stracił ją na dobre. Postanowił nie odwiedzać jej więcej. Ich losy jednak splótły się niegdyś zbyt mocno, by mogło je rozerwać byle postanowienie. A teraz, wiele lat później, oboje byli już prawie starzy i każdego niedzielnego wieczoru albo Bland dzwonił do niej, albo ona do niego. Po usłyszeniu jej głosu natychmiast zapadał w półsen, ledwie chłonąc jej monotony tok narzekań i zwracając tyleż uwagi na ich treść co na świergot ptaków za oknem. Louise informowała go o swym synu, że sprzedaje gry komputerowe, że dobrze zarabia. Niewiele z tego słyszał, ale znali się tak dobrze, że rozmowa nie była im potrzebna. Gdy się tylko wzajem upewnili, że żyją — nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

Telefon od Louise doskonale pasował do melan-

cholijnego nastroju niedzielnego popołudnia, gdy dzień się ściemniał i szyby w oknach rozjaśniały z rzadka i niechętnie tylko wtedy, kiedy ogarnął je snop światła zblakłego samochodu. Mijał weekend i mocą niepisanej umowy nadchodzący tydzień pracy odbierał Blandowi resztki wolności. On jednak wyczekiwał poniedziałku z niecierpliwością. Kochał swe wielkie, nienagannie uporządkowane biurko i z przyjemnością myślał o lunchu z Putnamem. Przyjaciel znów mu podsunie jakiś zwariowany pomysł, który rozważał przez cały weekend. Omówią plany wspólnych wakacji, nie przywiązując zresztą do nich szczególnej wagi. Zupełnie inaczej potraktują projekt przejścia na emeryturę i odbycia długiej podróży na Daleki Wschód. Starannie wybiorą jak najdłuższą trasę. Będą mieli wreszcie dość czasu, by szczegółowo obgadać wszystko, co przyjdzie im do głowy.

Nigdy nie doprowadzili tych przygotowań do końca. Podczas ostatniego wspólnego lunchu w poniedziałek Putnamowi wystąpiły nagle krople potu na czoło i tonem upiornego rozbawienia wyszeptał:

— Jakiś ból mnie schwycił.

Bland zaprowadził go do taksówki i zawiózł do szpitala. Gdy wrócił wieczorem, poznał po zmienionych rysach twarzy, że dni przyjaciela są policzone. Zdołał tylko wykrztusić:

— Dbają tu o ciebie?

Powtarzał później to pytanie podczas kolejnych wizyt. Zatrószył się, by chorego codziennie golono, i podarował mu świetnie skrojoną popelinową piżamę, ponieważ Putnam nosił się elegancko, od kiedy go pamiętał. Potem przynosił flakony wody kolońskiej „Floris”, by stłumić zapach, którego przyjaciel na szczęście był nieświadomy. I wtedy rozpoczął się najtrudniejszy okres.

— Wszystko będzie dobrze, stary druho — zapewniał, kładąc uspokajająco dłoń na jego czole. Cóż

mógł dodać ponadto? Fakt, że Putnam nie chciał uwierzyć w nadchodzący koniec, zerwał tę nić niefrasobliwego porozumienia, która łączyła ich przyjaźń i życie przez minione lata. Bland odczuwał to zerwanie dotkliwie i ono właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, uprzytamniało mu, że pozostał sam. Wreszcie ten rozdzierający serce testament. Putnam zostawił mu pieniądze, których Bland nie chciał i nie potrzebował, bo jak mówiła ciotka Lilian, „umiał sam sobie radzić”. Wspiął się szczebel po szczeblu, aż został szefem działu personalnego, ponieważ miał opinię człowieka troszczącego się o ludzi. To przekonanie, wielokrotnie później potwierdzone, powstało w wyniku drobnego incydentu, który zdarzył się podczas pierwszych dni jego pracy w firmie. Pani Bertram, osobista sekretarka Kennetha Rogersona, przechodziła jakieś załamania nerwowe i Bland fachowo się nią zaopiekował. Odwiózł ją do domu — obszernego, ponurego mieszkania przy Marylebone Road. Tam przez uchylone drzwi dostrzegł nie zasłane łóżko i usłyszał gniewne miauczenie wygłodniałego kota, zamkniętego w lodowatej kuchni. Odtąd codziennie po pracy przynosił pani Bertram zakupy i dyskretnie uruchomił postępowanie przeniesienia jej w stan spoczynku (tym enigmatycznym i uprzejmym zwrotem określono jego zabiegi we właściwych kręgach). Następnie w sposób odpowiadający jego skromnym możliwościom wziął na siebie załatwienie formalności mających jej zapewnić przyznanie świadczeń (kolejne uprzejme określenie z tych samych kręgów). Pamięć owych starań wzbudzała w nim zażenowanie, podobnie jak wszelka inna myśl o jego rzekomych dobrych uczynkach. Co dziwne, w tamtym czasie nie miał takiego wrażenia. Kenneth Rogerson dostrzegł sprawność jego działania, a nawet dopatrzył się w nim pewnego poczucia powinności. Tym bardziej że Bland zachował się dokładnie tak

samo, bez żadnego skrepowania, gdy Rogerson dostał wylewu. Odwiedzał go co tydzień w mieszkaniu przy St James, przynosząc zakupy i niedzielną gazetę. Rogersona irytowały jego wizyty, ale gdy zmarł, Bland odkrył, że został właścicielem okazałego portfela akcji. To wprawiło go w zakłopotanie i z biegiem lat to właśnie uczucie zaczęło przyćmiewać wszystkie inne. Zapamiętał nie swoją uprzejmość, lecz upokorzenie, jakiego doznał, gdy Rogerson, pragnąc wyświadczyć mu przysługę, zaaranżował spotkanie, które skończyło się katastrofą. Załatwił mu mianowicie pokój w mieszkaniu swego bratanka i bratanicy, rodzeństwa, dla którego nie miał czasu i którego — jak otwarcie przyznawał — szczerze nie lubił.

— Punch i Alfreda Rogerson to dzieci mego brata. Nie przepadamy za sobą — oznajmił bez cienia żalu.

Bland był wtedy raczej naiwny i nie krył swego entuzjazmu.

— Punch? Co za niezwykle imię — zauważył z przejęciem.

— Naprawdę nazywa się Peregrine, ale oczywiście nie znosi swego imienia. Zawsze były z nim jakieś kłopoty. Ale panu nie powinno to przeszkadzać. Zadzwoń do niego. Niech pan też zadzwoni.

Wręczył mu kartkę z numerem telefonu. Bland był w Londynie od niedawna i chętnie przyjął propozycję. Tego wieczoru pojawił się przy Radnor Place z walizką w ręce, tą samą, którą kupił w Reading na krótko przed opuszczeniem miasta. Drzwi otworzył mu wysoki, chudy mężczyzna z ustami zdradzającymi słabość, które jednak składały się do promiennego uśmiechu dobrej woli.

— Punch Rogerson — powiedział. — Moja siostra przyjdzie później. Proszę, niech pan wejdzie. To będzie pański pokój. Proszę mi wybaczyć, mamy spotkanie dziś wieczorem. Czy zechce się pan do nas przyłączyć?

— Spotkanie? — zapytał Bland, stawiając walizkę na ziemi.

— Spotkanie modlitewne — wyjaśnił Punch. — Moja siostra Alfreda poda panu szczegóły. Zamierzam wstąpić do zakonu. Rozumie pan? Zakładam, że jest pan wierzący.

Zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi wejściowe otworzyły się ponownie i weszła Alfreda Rogerson, równie wysoka i chuda jak jej brat. Za nią podążały trzy kobiety i trzech mężczyzn, rozmawiający ze sobą podniesionymi głosami. Słyszał ich jeszcze później, długo po zapadnięciu nocy. Strzępy rozmowy przerywał co jakiś czas głośny, piskliwy śmiech. W pewnej chwili do jego pokoju zapukał Punch Rogerson, pijany własnym rozbawieniem i chyba whisky. Zaprosił go na spotkanie. Blanda pospiesznie przedstawiono obecnym, wymieniając ich imiona: Jamie, Caroline, Anna, Nigel, Cressida. Kłaniał się, nieco speszony. Był zmęczony i głodny. Do ręki włożono mu dużą szklanekę whisky. To było jego pierwsze spotkanie z bogatymi ludźmi. Wszyscy wyglądali tak znakomicie, jakby lekarze i dentyści nie mieli nic innego do roboty, tylko doglądać Cressidę i Nigela, a także Annę i Jamiego od chwili gdy się urodzili.

— Zwykle kończymy milczącą medytacją — poinformowała surowym tonem Alfreda — ale to jest twoje pierwsze spotkanie... Przy okazji, gdybyś chciał się do nas przyłączyć, a mam nadzieję, że zechcesz, skontaktuję cię z ojcem Ambrożym. Nasi ludzie zajmą się wszystkim.

— Wszystkim? — powtórzył Bland, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Tylko w razie gdybyś się zdecydował — uściśliła Alfreda.

Wyprowadził się następnego ranka, po nie przespanej nocy. Większą jej część spędził na układaniu listu, w którym przedstawił swoje nowe plany. List

zostawił na stoliku w przedpokoju. Wyszedł o wpół do siódmej. Chodził z walizką w ręce tak długo, aż znalazł robotniczą kawiarnię przy stacji Paddington. Tam zjadł śniadanie. O dziewiątej był u lokalnego sprzedawcy nieruchomości. O wpół do dziesiątej załatwił pożyczkę w banku. Pod koniec tygodnia wprowadził się do swojego małego mieszkania przy stacji Baker Street. Gdy starszy pan Rogerson zapytał, jak sobie radzi, Bland wyjaśnił, że postarał się o własne mieszkanie, nie wdając się w szczegóły.

— Bardzo mądrze — pochwalił Rogerson. — Pewnie ma pan dług hipoteczny. Gdyby pan potrzebo-

wał... Nie skończył zdania i Bland nigdy mu nie przypomniał tej niejasnej propozycji. Spłacał dług latami. Były to lata wyrzeczeń i skromnego utrzymania, ale znosił je bez skargi. Często potem rozmyślał o tym, że czas zaciśniętego pasa, czas wyrzeczeń na granicy ascezy kosztował go utratę Louise. Nie winił jej za to, że go opuściła. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że rozstanie przyniosło mu też pewne korzyści. Najcenniejszą była wolność. Tego był całkowicie świadomy. Ponadto odejście Louise nie uraziło jego dumy. Nadal towarzyszyły mu jej rozsądek i troskliwość. Umiał to docenić. Biorąc wszystko pod uwagę, uznał, że ich związek przetrwał w formie dającej dobre oparcie. Nawet po odejściu Louise wystarczyło, by podniósł słuchawkę, i już słyszał jej troskliwy głos. Louise była raczej nieciekawa i chyba dlatego właśnie nigdy się z nią nie ożenił. Niezmiennie jednak uważał, że kobieca dobroć jest cenną zaletą, i cieszyło go, iż Louise była dlań szczerze dobra. To, co odczuwał do niej teraz, można by określić jako poważanie, bo nie mieli sobie nic do powiedzenia. Łączyła ich wspólna, długa historia. Byli jak rodzeństwo, które w dzieciństwie posługiwało się tajnym językiem i próbuje go wciąż uży-

wać — z różnym skutkiem — po ułożeniu sobie życia. Gdyby Louise zabrakło, a właściwie od kiedy jej zabrakło, Bland nie miał nikogo, kto znałby go tak dobrze jak ona.

Siedząc przy kawiarnianym stoliku w syropowym cieple mijającego sezonu, dokonał oceny swego życia i z przerażeniem spostrzegł, że zionęło od niego pustką. Było to życie człowieka, który uciekał: od niezdolnego dzieciństwa, od niezasłużonych krzywd okresu dorastania, od atmosfery napięcia i kłótni, od ojca, który pił za dużo, i wiecznie zrządzającej matki. Szukał wolności, pełnej wolności dla siebie, by powetować sobie niedostatki tych mrocznych lat. Z pewnością wybrał jedyną drogę, jaką w ogóle potrafiłby zaakceptować, choćby w kategoriach innych ludzi jego życie wydawało się jałowe i ograniczone. Bo kto w obecnych burzliwych czasach pracuje w tej samej firmie przez czterdzieści lat? Kto może się przyznać do jednej, długotrwałej, właściwie żenująco długotrwałej miłości? Kto, mając tyle lat co on, obywa się bez samochodu, domu na wsi, spekulacji na rynku walutowym i drobnych inwestycji w nieruchomościach? Tym przecież zajmują się ludzie, o których czytał w gazetach, a nawet niektórzy pracownicy jego firmy, ludzie z tym samym stażem co on, a nawet krótszym. Kto pozostaje w stanie bezzennym lub, jak to się dziś mówi, bez partnera? Kto miał szczęście cieszyć się przyjaźnią innego mężczyzny, przyjaźnią tak wyjątkowego rodzaju, zupełnie pozbawioną seksualnych podtekstów? Może więc nie miało znaczenia to, że był człowiekiem zupełnie pozbawionym polotu, jak sądzili o nim wszyscy, którzy go znali?

Po tych rozważaniach koniecznie musiał przywołać swe wewnętrzne głosy, obudzić swoich zmyślonych towarzyszy, których słuchał uważnie, gdy brakło przy nim głosu prawdziwych przyjaciół. Te głosy

zaraz przypomniały mu, że jest zdrowy — przynajmniej na razie, bogaty — nawet niewiarygodnie bogaty, biorąc pod uwagę minioną biedę, i niezależny. To ostatnie nie budziło żadnych wątpliwości. Był właścicielem mieszkania oddalonego o kilka minut spacerem od parku, w którym mógł się przechadzać, kiedy tylko zechciał. Jeśli się gorzej poczuje, stać go, żeby zapewnić sobie opiekę. Zajmie się nim pani Cordozo, kobieta sprzątająca u niego raz w tygodniu, niezadowolająca pod każdym niemal względem, ale w jakiś sposób mu oddana. Albo Hipwood, portier siedzący za kontuarem w holu na parterze jego domu, z pewnością życzliwy człowiek, choć nie zasługujący na zaufanie. Z taką ewentualnością trzeba się było liczyć. Miał sześćdziesiąt pięć lat i obłożna choroba mogła go dopaść prędzej czy później. Przeraziła go ta perspektywa, ale pocieszał się, że upłynie jeszcze kilka albo więcej lat, zanim się podda cierpieniu i niedołęstwu. Był twardym człowiekiem i na razie nie potrzebował pomocy. A gdy do tego dojdzie, będzie mógł sobie na nią pozwolić. To go jednak nie pocieszyło. Wiódł życie wypełnione staraniami i wyrzeczeniem. Otrzymał za to nagrodę, ale przyszła ona zbyt późno, zawstydzająco późno. Znowu ogarnęło go uczucie, datujące się z czasów dzieciństwa i towarzyszące mu przez wiele lat, zawsze łatwe do wywołania i dominujące nad innymi nastrojami. Wstydził się swej niezawinionej beczynności, bezcelowego przesiadywania na słońcu. Zaraz po załatwieniu spraw Putnama wyjechał spieszenie z Londynu. Miał nadzieję, że przyroda go uspokoi, przypomni, że oprócz śmierci i rozkładu jest na świecie budzenie się do życia i rozkwitanie. W Nicei jednak niczego takiego nie znalazł. Otaczała go kamienna pustynia i jej jałowość uświadomiła mu, że spędza czas w jałowy sposób. Może w rym tkwił jego problem: nie zdążył się przyzwycząić do



emerytury, ponieważ ostatnie dni przed wyjazdem zeszły mu na pożegnaniach w pracy i wydawaniu dyspozycji co do osobistych rzeczy Putnama. Gdy załatwił te sprawy i pozostało już tylko sprzedać mieszkanie, starczyło mu czasu zaledwie na spakowanie lekkiej torby i dojazd taksówką do lotniska. Wyjeżdżał z mocnym przekonaniem, że słońce jest najlepszym lekarstwem na smutek. Teraz Nicea obdarzała go niezmiennie bezchmurną pogodą, ale zmierzch zapadał tu nagle i ostro, budząc niepokój, przypominając, że prędzej czy później czeka go powrót do domu. Co będzie robił przez cały dzień? Nie miał żadnych absorbujących zajęć ani żadnych skłonności do zabijania czasu ekstrawagancjami. Mógł oczywiście spacerować po parku i chodzić na koncerty. Mógł odwiedzać Bibliotekę Londyńską, choć nie będąc naukowcem, czuł się w niej nieswojo. Mógł wreszcie czytać. Zawsze czytał wiele, ale ta czynność przywoływała wspomnienie rozgoryczonego wzroku matki, gdy chował głowę w książkę, aby nie słyszeć uporczywych kłótni rodziców.

Jedno było pewne: nie oszaleje. Nigdy nie groziła mu utrata równowagi wewnętrznej. Odwrotnie, był człowiekiem niemal komicznie rozważnym. Wszelka fantazja w jego życiu pochodziła od Putnama i po śmierci przyjaciela stał się wręcz odpychająco przyziemny. Zdawał sobie sprawę, że dni będą mu się dłużyły i nie będzie miał czym ich wypełnić, że telefony od Louise będą jedynym dającym oparcie punktem dnia. Ale wiedział też, że dobrze zniesie ten swój odmieniony stan, bo nie ma innego wyjścia. A nadto, gdy wszystko się zważy i policzy, czyż nie jest człowiekiem, któremu los zdecydowanie sprzyja?

Myśl o przychylności losu wydała mu się niesmaczna. Wytrwałość, posłuszeństwo i pogodzenie z losem, towarzyszące mu przez całe dzieciństwo i młodość, przyprawiły go teraz o mdłości. Dlaczego

i w jaki sposób znalazł się tutaj, by trwonić wolne popołudnie przy kawiarnianym stoliku? Czemu wybrał to miejsce na uboczu i dlaczego zadowolenie z minionego życia spaliło się na popiół? Nie wstawał od stolika, by nie musieć wracać do domu. Tkwiał na tarasie, żeby nie iść do pokoju hotelowego, bo zamknięcie w nim przypominało zapadnięcie się pod ziemię. Chciał jeszcze zwrócić czyjąś uwagę, czyjeś zaciekawienie, choć z pewnością nie zamierzał natrętnie zabiegać o towarzystwo. Tymczasem w oczach obcego człowieka, na przykład kelnera, był tylko tuzinkowym, powściągliwym Anglikiem, i ta myśl przepełniała go poczuciem nieodwołalnej straty, nie tylko straty Putnama, ale straty całego życia, które przebiegło bez przygód, bez szybszego bicia serca, bez zobowiązań. Teraz już było za późno. Nikomu serce nie bije szybciej, gdy ma sześćdziesiąt pięć lat, i nikt w tym wieku nie przyprawia innych o szybsze bicie serca. Tak, będzie się musiał obejść bez kobiet. Ta myśl go poraziła. Przecież nie traktował ich bezceremonialnie. Czasami flirtował, czasami nawiązywał sentymentalne przyjaźnie, ale przede wszystkim miał Louise, która była dla niego jakby żoną i matką jednocześnie. Louise odeszła — chociaż niezupełnie — ale w istocie należała do jego minionego życia, które teraz wspominał z niesmakiem. Westchnął na myśl o tym. Jakby w odpowiedzi na ten gest, zbliżył się kelner. Bland zapłacił i dodał mu napiwek. Był to przyjemny, poważny chłopiec i Bland chciał się czegoś więcej o nim dowiedzieć. Kelner jednak, podejrzewając jakiś ukryty motyw, nie zamierzał dać się wciągnąć w rozmowę.

— *Bon, merci* — zakończył swą próbę Bland.

— *A votre service* — brzmiała krótka odpowiedź. Były to jedyne słowa, jakie tego dnia ktokolwiek do niego skierował. Odszedł w kierunku Place Mas-sena, gdzie już prawdopodobnie dowieziono angiels-

kie gazety. Morze nabrało matowego połysku, jakby przygotowując się na przyjęcie ciemności. Przez godzinę mógł jeszcze spokojnie spacerować, ale później czekał go już pusty czas poprzedzający kolację. W domu przetrwanie tej pory byłoby równie trudne, może nawet trudniejsze. Tam nie dociera niosące pociechę złociste słońce, od którego kręci się w głowie, tam nie czuje się rozrzewniającego, ciepłego podmuchu nadchodzącej nocy. W domu zostanie mroczne, szare, wysuszające ciepło centralnego ogrzewania. Może warto zostać tu dłużej? Nie miał się do czego spieszyć. Zaświtała mu myśl o przeczekaniu tutaj zimy. Byłby staromodnym angielskim turystą, niezbyt szanowanym, bo powściągliwym i samotnym, raczej niewartym uwagi po załatwieniu podstawowych spraw. Mógłby nawet kupić dom — uświadomił sobie ze smutkiem — teraz było go na to stać, ale życie bez towarzystwa odpychało, wydawało się dobrowolnym wygnaniem, w każdym razie czymś gorszym od zwykłych wygod domowych. Pomyślał o liściach opadających w parku, o ciszy w czytelni, o ruchliwych domach towarowych. I nagle poczuł ukłucie w sercu. Czy to dawało o sobie znać poczucie samotności, czy tęsknota za domem?

Robiło się coraz ciemniej, zapadała noc. Jeszcze raz rzucił okiem na obojętne morze i kierowany impulsem, ruszył zdecydowanym krokiem w stronę hotelu. Podeszedł do recepcjonisty i powiadomił go, że nazajutrz wyjeżdża. W pokoju zaczął się systematycznie pakować, wstrzymując się przed zbędnym pośpiechem. Nie powinienem był tu przyjeżdżać — powiedział sobie — powinienem był zostać w pracy... to znaczy w domu. Ta pomyłka wywołała w nim popłoch, jakby tracił grunt pod nogami. Ciemność, jak co dzień, zapadła niepostrzeżenie, cisnąc się do okien. Samochody huczały, przejeżdżając drogą ciągnącą się wzdłuż brzegu morza.

Toczyło się tutaj jakieś obce życie, me mające z nim nic wspólnego. Co ich to obchodzi, czy wyjedzie, czy zostanie? Może jeszcze udałoby mu się znaleźć wolne miejsce w samolocie odlatującym dziś wieczorem? Pomyślał o tym zbyt późno. Trzeba wracać. Wracać do domu. Całą noc ta myśl chodziła mu po głowie, nie pozwalając zasnąć. Opuścił hotel z samego rana, z poczuciem niezwyklej ulgi, jakby cudem uniknął niebezpieczeństwa. Dopiero w samolocie zelżało napięcie i poczuł jakiś nieokreślony komfort, kojarzący się z dobrą pielęgniarzką opieką. Musiał coś nieświadomie zapamiętać z reklamy — to mu pozostało z lat ubogiej młodości — wierzył bowiem, że British Airways szczerze chcą się nim opiekować. Zresztą któż inny miałby mu pomóc, gdyby doszło do awarii? Później zostanie sam, bez steru i busoli. Ogarnęła go rozpacz. Musiał stawić czoło przeciwnikowi, który doskonale wiedział, że jego system obronny się załamał, że przestał działać i nie da się naprawić.

## II

Serce zawsze zostaje w domu. Smutek też. To, co Bland myślał o swoim mieszkaniu, było jakąś pośrednią opinią wyznaczoną przez te dwa przekonania. Z dala od domu ogarniała go tęsknota, chciał wrócić tam, gdzie mógł się bezpiecznie zaszyć przed światem. Ale gdy już się zasiedział w swej kryjówce, otoczony bezpieczeństwem, spokojem i ciepłem, tak jak zawsze o tym marzył, dom wprawiał go w rozdrażnienie dlatego właśnie, że zapewniał mu to, czego pragnął. Spokój, który tak wysoko cenił, wywoływał w nim wewnętrzną burzę i Bland nie potrafił znaleźć sposobu na rozerwanie tego błędnego koła nastrojów.

Jego mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze eleganckiego nowoczesnego bloku, w równej odległości od parku i Edgware Road. W ciągu pięciu minut mógł bez pośpiechu dojść do jednej lub do drugiego punktu. Ale rzadko wybierał się tak daleko, ponieważ wszystko, czego potrzebował na co dzień, mógł kupić w sklepikach pod arkadami na parterze swego domu. Budynek sprawiał zdecydowanie korzystne wrażenie już na pierwszy rzut oka. Wchodziło się do holu, zwykle opustoszałego, i napotykało

wzrok Hipwooda, który pracował, lepiej lub gorzej, codziennie do szóstej. Winda się nie psuła, oświetlenie było stonowane, lecz wystarczające, po zamknięciu drzwi zdawało się, że cały świat został na zewnątrz, skąd dochodził tylko głuchy szmer ulicznego ruchu.

Problemy zaczynały się w mieszkaniu. Tam Blanda opuszczały siły i musiało się to jakoś wiązać ze stanem jego umysłu, z niemożnością podjęcia decyzji. Zakup mieszkania był jednak starannie przemyślany. Jakieś cztery lata temu obejrzał je dokładnie z Putnmem, który wyraził swoją aprobatę. Było to znacznie lepsze mieszkanie od tego przy stacji Baker Street — nie tylko pierwszego, które nabył bezpośrednio po ucieczce z domu Punctha i Alfredy Roger-son przy Radnor Place, ale nawet drugiego, większego i bardziej ponurego, mieszczącego się na trzecim piętrze tego samego domu. Kupił je, gdy zaczął zdecydowanie lepiej zarabiać. Z tym większym mieszkaniem czuł się związany niemal przez wszystkie lata pracy, choć właściwie nie dbał o nie i nie przeszkadzało mu na przykład to, że było marnie umeblowane, a pęknięta szyba w łazience nigdy nie została wymieniona.

To nowe, świadomie wybrane, było całkiem inne. Bland postanowił urządzić je tak, by wyrażało jego osobowość. Skądinąd nie miał złudzeń co do ostatecznego efektu takiego zamiaru. Jak można wyrazić człowieka, który jest uczciwy, ale raczej bezbarwny, który stroni od ryzyka, choć nie brak mu odwagi? Główną zaletą nowego mieszkania było więc to, że znajdowało się nie opodal domu Putnama przy George Street. W ten sposób przyjaciele zamieszkali blisko siebie i w nagłym wypadku jeden łatwo mógł przywołać drugiego. Taka potrzeba w końcu powstała, ale wypadek zdarzył się w miejscu publicznym i fakt ten był dla Blanda podwójnie bolesny.

Nie myślał o tym w chwili, gdy Putnama chwyciły bóle, podobnie jak później nie zwracał uwagi na nie znane sobie jęki i odgłosy oddziały szpitalnego, dopóki chorego nie przeniesiono do izolatki w końcu korytarza, gdzie skołał.

Razem przemierzali te wygodne, puste pokoje, myśląc z radością o latach, gdy będą się tu spotykać, kiedy przestaną już pracować. Dziś mieszkanie zionęło pustką, nadzieja na spotkania w wolnym czasie przepadła bezpowrotnie. Ta pustka będzie wypełniać mu każdy dzień, aż do ostatniego, który nie wiadomo kiedy nadejdzie, tak jak nie było wiadomo, kiedy nadejdzie ostatni dzień Putnama.

Utratę przyjaciela pogarszał brak pracy. Bland pogodził się z perspektywą przejścia na emeryturę, tak jak otwarcie stawiał w życiu czoło wszelkim trudnościom. Tę niewesołą perspektywę łagodziła wizja Dalekiego Wschodu, dokąd obaj z Putnamem zamierzali się wybrać. Teraz ta podróż stała się niemożliwa, a zastąpienie Indonezji Niceą wydawało się symbolicznym dowodem na to, jak bardzo musiał ograniczyć swe ambicje. Jadąc na górę windą, z żalem myślał o Nicei. Tam przynajmniej mógł wysiadywać na słońcu. Tu jego dni będą pochmurne i spokojne. I obdarzone tą jakąś nieuchwytną właściwością, która wpędza go w przygnębienie. Słabe żarówki na korytarzu i mdłe, zgniłe ciepło wydzielane przez kaloryfery pomalowane na kolor brązu drażniły jego zszarpane nerwy i zwiastowały depresję. Po wejściu do mieszkania natychmiast podszedł do okna w salonie i wychylił się, by zaczerpnąć powietrza. Było wilgotne, ale orzeźwiające. Dostrzegł drzewo, które jakoś zdołało utrzymać się przy brzegu chodnika. Wiosną, oblepione kwieciami, wyglądało cudownie, teraz wisiało na gałęziach kilka zwiędłych liści, czekając bez życia, aż porwie je silniejszy podmuch wiatru i przy-

klei do krawężnika, który — zroszony lekkim deszczem — rysował się czarną smugą. Wilgotne powietrze wpadało do środka, usuwając odurzające ciepło z dusznego pokoju. Bland przypomniał sobie o planach na zimę. Skończyło się złudzenie przedłużonego lata w Nicei. W listopadzie Londyn wyglądał w sposób najbardziej dla siebie typowy. Jego mieszkańcy ulegli już przedświątecznej gorączce, szukali jakiegokolwiek urozmaicenia, które pomogłoby im zapomnieć o niepomyślnym roku, niepomyślnym nie tylko dla niego. Ta myśl wywołała w nim mieszane uczucia: rozpacz i zarazem chęć pozbierania się. To prawda, że wypadł już z konkurencji, ale póki brał udział w zawodach, dawał z siebie wszystko. Znów przypomniał sobie i przeliczył dobrodziejstwa losu. Tym razem niewiele to poprawiło jego samopoczucie. Powtórzył sobie jednak skrupulatnie, że stać go na dom, ubranie i jedzenie, że jest sprawny fizycznie, zdrowy i bogaty. Nawet jeśli wszystkie te atrybuty nie zasługiwały same przez się na wysoką ocenę i raczej wiązały się z faktem, że żył dość długo, ich brak — co doskonale rozumiał — stawiałby go w rozpaczliwym położeniu. Musiałby utrzymywać się z emerytury, mieszkać przy jakiejś brzydkiej ulicy z dala od centrum i wygod, do których przywykł. Znał takie ulice ze swych niedzielnych wędrówek po podmiejskich osiedlach; wędrówek, na które nigdy nie udało mu się namówić Putnama. Po lunchu jego przyjaciel pędził do domu, żeby wygodnie rozsiąść się przed telewizorem i oglądać stare filmy. Tymczasem on brał autobus do Hammersmith albo Camberwell i — trawiony ciekawością graniczącą z niepokojem — jechał zobaczyć, jak żyją zwykli ludzie, dla których miał nieprzebrane pokłady współczucia. W istocie nigdy nie był w stanie stwierdzić, czy są szczęśliwi, czy nieszczęśliwi. Na ulicach nie



widywał nikogo. Dopiero w parku, gdy wracał piechotą do domu, spotykał oznaki życia: rodziny azjatyckie, skupione w dużych grupach, biegaczy kompletnie zaabsorbowanych treningiem, z dużymi plamami potu na plecach i na piersiach swoich sportowych bluz, stateczne panie rzucające patyki swym nadmiernie podekscytowanym psom. Czy w takich właśnie miejscach miał szukać ruzinkowych mieszkańców podmiejskich dzielnic, ludzi podobnych do tych, wśród których spędził młodość? Do dziś zachował życzliwą pamięć o tych osiedlach, a właściwie wytworzył sobie ich wyidealizowany obraz, jakiś rodzaj społecznej fantazji. Chętnie, jak ci ludzie, oglądał seriale telewizyjne, choć raziło go, że bohaterowie są zbyt cukierkowi, zbyt dobrze wyglądają i są zbyt młodzi. Mimo to starał się zaspokoić owo bolesne atawistyczne upodobanie, tę niechętnie wyznawaną fascynację ludźmi, którym tak bardzo zazdrościł, gdy był chłopcem. Pamiętał, że czasami zapraszali go do stołu i wtedy przysłuchiwał się ich rozmowom, uczył się ich manier, zwyczajów i nawyków.

Rzecz jasna Putnam dobrze rozumiał źródła tej nostalgii, ale jej nie podzielał. Tym bardziej że nie była to nawet nostalgia, tylko jakieś pragnienie ukojenia, poszukiwanie domu, w którym można się czuć jak u siebie; domu, w którym przygarnęliby cię obcy. Putnam pojmował te dziwne tęsknoty, lecz uważał je za słabość. Sam żył wygodnie w czasie teraźniejszym i próbował wyrobić u swego przyjaciela podobny nawyk. Problem jednak polegał na tym, że Bland z teraźniejszością zawsze miał kłopoty. Teraz też. Prawie wpadł w panikę, zastanawiając się w półmroku swego pokoju, co powinien dalej robić. W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Louise, której niezmienna stałość nastrojów kojarzyła mu się z poczuciem zadomowienia. Ale to była sobota, nie

niedziela, i Bland nie śmiał złamać ustalonej tradycji. Będzie mógł z nią porozmawiać jutro wieczorem, tak jak to robił przez niezliczone lata. Ten zwyczaj miał dla niego tak wielkie znaczenie, że niemal skłonny był uznać — na tej wyłącznie podstawie — że nadal kocha Louise. Nie pierwszy raz zresztą analizował swoje do niej uczucie i zawsze z drżeniem zatrzymywał się na granicy uznania, że ją kocha. Nigdy jednak tej granicy nie przekroczył, nigdy nie uległ pokusie stwierdzenia, że to miłość. Przyczyny tego upatrywał w jej braku wyobraźni i w nie mniejszym stopniu we własnej obawie, że jest to stan zaraźliwy, a nie chciał, by jego życie stało się równie spokojne, skromne i potulne jak jej. Gdyby się na to zgodził, stałby się starcem w ciągu roku. Tymczasem czuł, że jakaś część jego osobowości pozostała do dziś nie rozbudzona, że mogłaby się jeszcze rozwinąć, rozpaść, zapłonąć.

Jeśliby miał być ze sobą do końca szczery — a zawsze był wobec siebie szczery — musiałby przyznać, że boi się nie tyle podeszłego wieku, ile związanych z nim upokorzeń. Jak długo jeszcze wolno mu marzyć o kochaniu się z kobietą, nie wywołując natychmiast przykrej myśli, że pewnego dnia będzie się wstydził przy niej rozebrać? Wiedział, że te problemy można rozwiązać, ale zarazem zdawał sobie sprawę, że on ich z wdziękiem rozwiązać nie umie. Krótko mówiąc, nic się nie da zrobić. Starzał się — a może nawet już się zestarzał — i choć zasługiwał na szacunek, bo ze wszystkich sił o to zabiegał, będzie musiał dokończyć swego życia najlepiej jak potrafi w takich warunkach, jakie są. A jeśli nie zdoła pogodzić się z perspektywą ostatnich dni, ma schowane pigułki nasenne, które przepisał mu mądry lekarz. Zachowują swoje właściwości przez dwa lata, co sprawdził na opakowaniu. Później przestaną być mu potrzebne. W wyobraźni dawał sobie właśnie dwa lata na rozstrzygnięcie, czy

zabłyśnie, czy też ostatecznie podda się nawykowi i rozżaleniu. Na szczęście zachował pełną jasność umysłu i z pewnością będzie umiał ocenić, co się z nim dzieje, oraz zdecydować, jak powinien postąpić.

Wiedział, że nie może liczyć na pocieszenie. Nie wierzył w Boga. Gdy słyszał o ukojeniu, jakie daje religia, wydawało mu się ono raczej torturą. Myśl, że mogłaby go wchłonąć jakaś światłość wiekuista, że miałby uczestniczyć w tej tajemnej, dzielonej z innymi błogości, głęboko go niepokoiła, kojarzyła się z szaleństwem. Przykłady ludzi głęboko religijnych, takich jak odrażający Rogersonowie, odsunęły go od religii na zawsze. Nie próbował też szukać pociechy na własną rękę. Wybrał umiarkowany stoicyzm i uznał to stanowisko za zdecydowanie świeckie. Przyjął, że wymaga skrupulatnego wypełniania zadań przypadających na każdy uciążliwy dzień i daje w nagrodę poczucie czystego sumienia. Doznawał tego co pewien czas pod koniec pracowitego dnia. Czym innym była sztuka. Przez swą niezwykłość i niepowtarzalność przypominała jakieś niesprecyzowane dążenie do miłości, lecz mimo podobieństwa, nie można jej było do tego sprowadzić. Sztuka — którą w jego rozumieniu były malarstwo i literatura, a mniej muzyka — wywoływała w nim przeczucie istnienia jakiegoś świata znacznie przekraczającego jego niepozorny świat doznań. Podniosłe idee i szlachetne tematy otwierały mu umysł i serce. Chodził do czytelni i do muzeów, tak jak inni chodzą do kościoła. Wracał z zawrotem głowy, pod wrażeniem czegoś niepojętego, jakiejś niezwyklej energii, wydawkowanej — jak sądził — z niemałym cierpieniem na stworzenie arcydzieł. Był zadziwiony subtelnością własnych odczuć. Sam nie potrafił tworzyć, ale doceniał efekt twórczości, i to mu wystarczało. Chociaż zdarzały się też dni, gdy tylko patrzył i niczego nie umiał przeżyć. Wtedy darzył sztukę

szacunkiem i oceniał ją okiem beznamietnego badacza. Z niewytłumaczalnych powodów ten respekt nie pojawiał się przy silniejszym kontakcie ze sztuką. Uważał siebie za dwudziestowiecznego poganina, którego nie nawrócą nowinkarskie objawiania zelotów ani zresztą żadne inne objawienia. Zaniósł swoją ciągle nie otwartą torbę do sypialni, sprawdził, czy pani Cordozo zmieniła pościel, i poszedł otworzyć drugie okno. Coraz wyraźniej spostrzegał, że brakło mu powietrza i w wewnętrznym, i w zewnętrznym świecie. Uzmysłowił sobie, że ten krótki wyjazd nie przyniósł mu żadnych korzyści, wprost przeciwnie — tylko zszarpał nerwy. Nadal stało przed nim to samo zadanie — jak najlepiej wykorzystać okoliczności, w których się znalazł, i cieszyć się, że gdy się posypie — co z pewnością nastąpi — nikt nie będzie widział jego fizycznej hańby. Nikt z rodziny nie poczuje się zawstydzony tym, że już nie potrafi zetrzeć kurzu czy skosić trawnika. Nikt, choćby z tego powodu, że nie miał rodziny. Był jedynym dzieckiem pary tak niezaradnej, że często zadziwiała go jego własna, nie najgorsza skądinąd przedsiębiorczość. Wcześniej wyćwiczone w nim zdolność przeczekiwania, a zawdzięczał to matce i w pewnym stopniu także ojcu. Nie winił ich za tę lekcję. Ta umiejętność przydała mu się niejednokrotnie, teraz też. Do dziś pamiętał drżący niepokój ze swego dzieciństwa. Teraz już umiał sobie z nim radzić — napięcie można rozładować dowolnym zajęciem, im bardziej trywialnym, tym lepiej. Ta strategia okazała się po wielekroć skuteczna i pomagała przewycięzać frustrację. Poleciliby ją każdej młodej osobie — synowi czy bratankowi, gdyby ich miał. A ponieważ nie miał, pozostawało mu tylko samemu korzystać z własnych porad. Zdecydował, że najpierw weźmie kąpiel, potem zaparzy kawę, a następnie spędzi pół godziny, czy-

tając „Timesa”. Na koniec pójdzie do działu spożywczego w Selfridges, gdzie kupi sobie coś dobrego na lunch.

Zsunął zegarek i zaczął rozwiązywać krawat, gdy zadzwonił telefon.

Zrazu wpadł w popłoch. To pewnie Louise, może jest chora albo ma jakiś inny kłopot. A gdy usłyszał delikatny, ale zdecydowany głos, nie mógł się zorientować, z kim mówi. Odetchnął z ulgą, zrozumiał, że to nie Louise, lecz paraliżowała go myśl, iż woda w wannie może się przelać.

— Czy to pan Bland?

— Tak, to ja.

— Proszę mi wybaczyć, że pana niepokoję, panie Bland. Mówi Moira Lydiard, z wyższego piętra.

Wie pan, mieszkam na czwartym.

— Oczywiście, pani Lydiard, ale muszę panią na chwilę przeprosić. Przygotowuję sobie właśnie kąpiel. Zakręcę tylko kran i zaraz wrócę.

Pani Lydiard — zastanawiał się, kładąc z boku słuchawkę. Czy to ta całkiem przystojna kobieta ze srebrnymi lokami i smukłą figurą, zawsze dobrze ubrana? Czasami widywał ją w holu albo w windzie.

Miał o niej dobre zdanie. Cenił kobiety, które dbały

o siebie i dobrze się prezentowały, nawet wychodząc do sklepu; które nigdy w miejscu publicznym nie wyglądały inaczej niż doskonale. Szanował panią Lydiard także za to, że — podobnie jak on — mieszkała sama, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie,

i bynajmniej z tego powodu nie zdziwaczała. Nigdy nie widział jej w towarzystwie mężczyzny, choć oczywiście mógł sobie wyobrazić, że ukrywa w domu przykutego do łóżka męża. To wydawało mu się jednak mało prawdopodobne. Elegancja pani Lydiard była wypracowana, programowa, tak jakby ta kobieta nie miała obok siebie nikogo, kto mógłby jej pomóc w życiowym zadaniu utrzymywania się na powierz-

chni. To była bez wątpienia dzielna osoba. Nie potrafił zgadnąć, ile ma lat, nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał. Mogła być w jego wieku albo kilka lat starsza. Z kobietami nigdy nie wiadomo. Budynek, w którym mieszkali, był w gruncie rzeczy nieoficjalnym domem emerytów. Pani Lydiard nosiła swoją zbroję, jakby codziennie wyruszała do walki, ponieważ wyłącznie sama musiała się troszczyć o swą przyszłość. Gryzie ją samotność — przeszło mu przez głowę — lecz natychmiast zatrzymał ten tok myśli. To nie jego sprawa i nawet jeśli czuje się samotna, nie może oczekiwać, że on będzie ją pocieszać. Dość ma własnej samotności.

— Pani Lydiard — powiedział, podnosząc słuchawkę — czym mogę pani służyć?

— Jest mi niezwykle przykro, że pana niepokoję, ale nie mogę sobie poradzić. Jakaś młoda osoba siedzi na schodach przed moimi drzwiami. Kobieta.

— Czy zapytała ją pani, o co jej chodzi?

— Oczywiście. Mówi, że przyjechała do Dun-lopów. Ale oni nie mieszkają na moim piętrze. Chyba na pańskim, prawda? Zresztą wydaje mi się dziwne, że ona nie wie, gdzie mieszkają.

— Czy ktoś ją przedtem widział?

— Nie wiem, ja jej nie widziałam. Ale nie ma powodu, żebym ją widywała, skoro jest przyjaciółką Dunlopów.

Wiedział o Dunlopach tyle co o pani Lydiard. Szybko im się kłaniał i pędził dalej. Nigdy nie zaprzętałi jego myśli dłużej niż przez kilka sekund. Ona miała na imię Sharon, on Tim. Tyle mu kiedyś powiedzieli, wręczając na przechowanie zapasowe klucze. „Oboje jesteśmy tak narwani, że możemy się kiedyś zatrzasać” — wyjaśniła dziewczyna. Mógł uwierzyć, że to ona jest narwana, ale jej mąż sprawiał wrażenie pedanta. Od tamtego czasu Sharon oznaczała dla niego tylko parę stóp dudniących na kory-

tarzu każdego ranka. Była dziennikarką, dobrą, choć bez stałego zatrudnienia. Jej mąż wychodził do pracy później, poruszał się stateczniej, ale głośniej. Był dyrektorem jakiejś małej firmy na południowym brzegu rzeki. Nic nie mógł im zarzucić jako sąsiadom. Czasami prosili go, żeby podlał kwiaty, gdy wyjeżdżali na dłużej. Po powrocie okazywali tyle wdzięczności, ile należało. W zeszłym roku przyjemnie go zaskoczyli, wręczając mu na Boże Narodzenie kartkę z życzeniami, wypisanymi wielkimi okrągłymi literami. Po chwili dudnili po schodach, spiesząc na jakieś przyjęcie lub może kilka przyjęć, bo wrócili bardzo późno, koło czwartej nad ranem. Słyszał ich kroki, ponieważ nie spał. Dopiero później zapadł w ciepły, odurzający sen, zwiastujący nadejście poranka.

— Cierpi z powodu różnicy czasu — kontynuowała pani Lydiard. — Najwyraźniej przyleciała ze Stanów. Mówi, że z zachodniego wybrzeża. Miła dziewczyna. Ładnie się wyraża. Ale nie chcę jej do siebie zapraszać. Może to głupie.

— Jeśli mówi, że przyjechała do Dunlopów, to musi ich lepiej znać niż my. Martwi mnie, że oni chyba wyjechali. Spotkałem ich tuż przed moim wyjazdem, ale nie wspominali, że ktoś ma ich odwiedzić.

— Dziewczyna wygląda na uczciwą. Tylko... Och, pewnie pomyśli pan, że jestem staroświecka, ale ona jest tak niedbale ubrana. Ci młodzi tak się teraz noszą, wie pan, w butach do joggingu...

— W adidasach?

— Właśnie. I nie ma bagażu, tylko nylonową torbę.

— Ja sam dopiero wróciłem z Francji — zaczął wyjaśniać, starając się mówić bardzo łagodnie.

Pożałował, że wyjechał z Nicei tak szybko. Co go ta głupia sprawa obchodzi? Już widział, jak wymyka mu się z rąk spokojny dzień, na który tak bardzo liczył. A poza tym woda stygnie w wannie.

— Mam nadzieję, że nie wydam się panu niemądra, ale ta sprawa wygląda trochę dziwnie, nie sądzi pan?

— To zależy od tego, jak dobrze ona zna Dunlopów.

— Twierdzi, że to jej starzy przyjaciele i że pozwolili jej mieszkać u siebie, ilekroć będzie w Londynie.

— Bez względu na to, czy są w domu, czy nie?

— Tak właśnie mówi.

— No cóż, nie mamy prawa kwestionować ich decyzji.

— Oczywiście, ale ona siedzi tu na schodach, panie Bland. A to znaczy, że oni wyjechali.

— Tak, zwykle o tej porze roku przebywają w Stanach. Pewnie tam się spotkali. To, że nic nam nie powiedzieli o swojej obietnicy, nie ma większego znaczenia. Martwi mnie co innego: że ona nie ma klucza.

— No właśnie. To też mi się wydało dziwne.

— Być może nie mają drugiej pary zapasowych kluczy, bo jedne zostawili u mnie. Czasami mnie proszą, żebym odbierał pocztę podczas ich nieobecności. Ale tym razem tego nie zrobili. Chociaż ostatnio byłem za granicą...

— Rozumiem — powiedziała pani Lydiard bez przekonania.

Zapadła cisza.

— Gdzie ona teraz jest? — zapytał Bland po chwili.

— Ciągle siedzi na schodach. Nie bardzo chcę ją zapraszać do siebie. Mówiłam już panu... Może jestem staromodna, ale mieszkam sama...

— Proszę zjechać z nią na dół. Jeśli faktycznie Dunlopowie ją zaprosili, dam jej klucze i na tym koniec.

— Czy myśli pan, że to rozsądne?



— Nie, nie myślę, ale ona nie może biwakować na schodach. I prawdę mówiąc, to nie my stworzyliśmy problem, tylko Dunlopowie.

— O nie, to mi się nie podoba. I Hipwood też się na to nie zgodzi. Nie uważa pan?

Bland rozumiał jej obawy, lecz nie rozumiał, dlaczego Hipwood miał o wszystkim decydować. Postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

— Proszę, niech panie zjadą do mnie. Poznamy się, wypijemy kawę, zobaczymy, co to za dziewczyna, i postaramy się ją namówić, żeby się stąd zabrała.

— Świetny pomysł. Jakże pan jest uprzejmy. Czy możemy się spotkać za pięć minut?

— Doskonale, za pięć minut.

Telefon wreszcie umilkł. Bland poszedł do łazienki i wypuścił wodę z wanny. Nie miał nawet czasu, by zmienić koszulę. Zawiązał ponownie krawat i naciągnął na lewy przegub zegarek na sprężynowej bransoletce. Wszedł do kuchni, nalał wody do ekspresu i odmierzył trzy porcje kawy. Na tacy stylizowanej na japoński antyk postawił trzy spodki, a na nich trzy filiżanki. Z przykrością stwierdził, że nie ma herbatników. Nagle poczuł się głodny. Zanim jednak zdążył o tym pomyśleć, zabręczał dzwonek u drzwi.

Pani Lydiard wystroiła się na tę domową wizytę z typową dla siebie starannością. Wyglądała tak, jakby szła na ważne spotkanie. Miała na sobie granatową spódnicę i granatowo-biały żakiet. Jej ramiona zdobił odważny czerwony wełniany szal, przerzucony dłuższym końcem z frędzlami przez lewe ramię. Ten strój uderzająco kontrastował z ubiorem drugiego gościa, o wruszająco bladej twarzy, całkiem nie zadbanego, choć może to wrażenie powstawało wskutek porównania z silnym makijażem pani Lydiard i jej perłowymi klipsami w uszach. Dziewczyna wydawała się ociężała, powolna i pod każdym względem niegodna uwagi. Miała na sobie

banalny strój — szerokie džinsy i kurtkę z tego samego materiału, a na nogach groteskowo olbrzymie adidasy. Może po uwolnieniu z tego munduru wyglądałaby bardziej pociągająco — pomyślał — ale nie sposób było tego odgadnąć. Jej twarz nie zatrzymywała spojrzenia. Spostrzegł tylko, że ma usta wykrzywione w podkówkę i dość rzadkie kasztanowe włosy. Ale za to świetną karnację, bardzo białą. Tyle zobaczył. Trudno mu było wyciągnąć wnioski. Wyglądała na przeciętną osobę w swoim wieku, bez żadnych cech charakterystycznych. Z pewnością natomiast była zawałidrogą. Coś z nią trzeba było zrobić, to oczywiste. Zdecydował, że jeśli o niego chodzi, postara się zrobić jak najmniej; tak mało, jak tylko na to pozwolą okoliczności.

— Proszę do środka — powiedział, może o ton zbyt serdecznie. — Napijemy się kawy, a potem coś zdecydujemy... George Bland, a to pani Lydiard, którą już pani poznała.

— Katy Gibb — oświadczyła, podając zaskakująco małą dłoń. — Jakie przyjemne mieszkanie. To była dziwna uwaga jak na tak krótką znajomość, ale właściwie cała sytuacja była dziwna. Gdy usiedli, każde za swoją filiżanką kawy, Bland chciał użyć autorytetu byłego szefa działu personalnego, by dowiedzieć się o dziewczynie czegoś więcej. Z jakiegoś jednak powodu nie potrafił postawić rutynowych pytań: wiek? dochód? poprzedni adres? nazwiska dwóch osób mogących służyć referencjami? W końcu ta dziewczyna nie najmowała się do pracy. Choć pewnie to byłoby lepsze.

— Dziwię się, że Sharon nie zadzwoniła do pana — odezwała się panna Gibb — tak jak się umówiliśmy w Nowym Jorku.

— Przyleciała pani z zachodniego wybrzeża, jak wiem od pani Lydiard?

— Tak, ale widziałyśmy się w Nowym Jorku.

Poleciałam tam, żeby się z nią zobaczyć, zanim pojedzie do swojej siostry. Nie pamiętam, gdzie ona mieszka.

— Na Florydzie.

— O właśnie! — Wykrzywiła twarz z obrzydzeniem. — To strasznie plastikowe miejsce. Zatrzymałam się na krótko w Nowym Jorku i tam się spotkałyśmy. Doprawdy miałam szczęście. To wtedy omówiłyśmy mój przyjazd tutaj i Sharon obiecała do pana zadzwonić. Ale wie pan, jaka ona jest.

Bland świetnie zdawał sobie sprawę z niekonsekwencji zawartych w tym, co usłyszał. Zwrócił też uwagę, że dziewczyna kontroluje swój głos i cedzi słowa stylem dygnitarza. Nie była to trwała maniera. Odniósł wrażenie, że panna Gibb zmusza się do niej w pewnych okolicznościach, na przykład wówczas gdy jest rozdrażniona, tak jak teraz. Spozstrzegł to, ale zdecydował, że jej uczucia go nie obchodzą. Mówiła z akcentem angielskim, co jakiś czas tłumionym wymową amerykańską. Zastanawiał się, co by o niej powiedział profesor Higgins.

— W czym problem? — zapytała, podnosząc brwi. Bland tylko potrząsnął głową. To wszystko mogło być prawdą. Choć twarz pani Lydiard wyrażała co innego — skupienie i przestach. Ci młodzi ludzie często teraz umawiają się na łapu-capu. Czy oczekują, że ich tego oduczymy? Z pewnością nie. Jego zdanie nic tej dziewczyny nie obchodzi. Czuł jeszcze w dłoni uścisk jej drobnej ręki, zupełnie niepodobnej do zmarszczonej, gruzłowatej, ptasiej łapy pani Lydiard i tak różnej od jego własnej żylastej dłoni.

— Jak długo chce tu pani pozostać? — zwrócił się do niej.

— Do ich powrotu. Niech się pan nie martwi. Niczego nie zniszczę, i Sharon naprawdę wie o wszystkim.

Lekko westchnęła.

— Można by pomyśleć, że mi pan nie wierzy. Zamiast odpowiedzi wręczył jej klucze.

— Proszę, panno Gibb.

— Katy.

Musiał się do tego zmusić, ale powtórzył:

— Dobrze więc, Katy. Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Choć mam nadzieję, że nie będziesz niczego potrzebowała — dodał w myśli. Dziewczyna ziewnęła i nagle jeszcze bardziej pobladła.

— Przepraszam, ale muszę się położyć, jeśli mi państwo wybaczą. W przeciwnym razie zaraz tu zemdleję.

— To proszę iść do łóżka — powiedział. Przy drzwiach odwróciła się i wyciągnęła rękę.

— Oboje państwo byli niezwykle uprzejmi. Do widzenia, pani Lydiard.

— Moira.

— Do widzenia, panie Bland.

— George — rzekł szczerze poirytowany. Nie miał ochoty spoufalać się z nią. — Chyba znajdziesz wszystko, co będzie ci potrzebne. I wiesz, gdzie nas szukać — dodał serdeczniej.

Chciał się jej pozbyć, zanim zemdleje, chociaż może tak tylko straszyla.

— Nie zapomnę ci tej uprzejmości — zapewniła przeciągle.

Zaskoczyło go promienne spojrzenie, jakie mu rzuciła — było niemal zalotne. Ale zaraz potem równie jasnym spojrzeniem objęła panią Lydiard, więc przestał o tym myśleć.

Gdy drzwi się zamknęły, odczuł prawdziwą ulgę. Najwyraźniej jednak pani Lydiard czuła się ożywiona tym niezwykłym porannym spotkaniem i chciała zostać dłużej. Bland chrząknął, aby zagłuszyć burczenie w brzuchu.

— Zastanawiam się, w jaki sposób udało jej się zwieść Hipwooda — powiedział.

— Pewnie akurat robił sobie herbatę. Muszę pana przeprosić, panie Bland. Zapewne pan uważa, że zrobiłam z igły widły, ale przecież nie mogłam pozwolić, żeby ona siedziała pod moimi drzwiami. Prawda?

Jedyne, z czym pani Lydiard przesadziła, było przejście na ty z tą dziewczyną — pomyślał Bland, uprzejmym gestem prawej dłoni starając się powstrzymać swego gościa od dalszych wyjaśnień. Sprawa jest już zamknięta, pani Lydiard może wrócić do swoich zajęć, od których ją oderwano, a on sam też wykorzysta resztę dnia, jaka mu została. Ale kobieta odrzuciła szal i wygodniej usadowiła się w fotelu. Tak, z pewnością jest samotna — uznał Bland. Nie może jej odmówić chwili rozmowy.

— Przypomina mi moją córkę — oznajmiła pani Lydiard.

Z tej uwagi Bland wywnioskował, że jej córka zapewne nie żyje, wydał więc lekkie westchnienie i przygotował się do złożenia kondolencji.

— Nie wiedziałem, że miała pani córkę — zauważył ostrożnie.

— Prawie się z nią nie widuję. Mieszka w Ameryce. Stąd to skojarzenie. Teraz jest w Filadelfii, ale jej mąż wiele podróżuje. Nigdy go nie polubiłam. To doprowadziło do zerwania między nami. Kiedy pomyślę, za kogo mogła wyjść, chce mi się płakać. I wiele płakałam, panie Bland. Niegdyś. Teraz już się z tym pogodziłam. To znaczy z tym, że jestem sama. Mówiąc szczerze, chyba nie byłam dobrą matką. Za bardzo się niepokoiłam. Angela nigdy mi nie wybaczyła, że się rozwiodłam z jej ojcem. Ale jak małemu dziecku wytłumaczyć, że dalsze małżeństwo nie ma sensu? Mój syn lepiej to zrozumiał.

— Ma pani syna? — zapytał, zastanawiając się, czy nie powinien zrobić więcej kawy.

Zdecydował, że nie powinien.

— W Yorkshire — odpowiedziała zdawkowo. Odniósł wrażenie, że myśl o synu, wszystko jedno, szczęśliwym czy nieszczęśliwym, szczególnie jej nie poruszała, natomiast sytuacja córki jątrzyła ją jak cierń. Skoro ta dziewczyna, Katy Gibb, przypominała jej córkę, mógł sobie wyobrazić, że ta prawdziwa córka też musiała popaść w bezwład posepności, by przeciwstawić się sztucznie podtrzymywanemu czarowi swej matki. Katy była zresztą nie tylko posepna, ale i nachalna. Przez nią stał się teraz rozbitkiem wrzuconym do własnego mieszkania razem z panią Lydiard, lecz każde z nich powinno się było zajmować własnymi sprawami, nie nawiązując znajomości. Zupełnie sobie nie życzył tej nieoczekiwanej intymności, lecz najwyraźniej pani Lydiard zamierzała skorzystać z okazji. Znowu westchnął. Cóż go obchodziły jej sprawy? Doceniał bez wątpienia — gdy o tym pomyślał — jej wspaniały styl, to, że tak przyjemnie się na nią patrzyło, gdy odbywała swoją poranną pielgrzymkę do Marksa i Spencera. Osiągała doskonały efekt, dbając o siebie pod względem fizycznym i psychicznym. W duszy podziwiał ją za to, że z niczym się do niego nie zwracała, że wyraźnie nie oczekiwała od niego pomocy. A jednak teraz tu się znalazła, w sobotę, w samo południe. Siedziała

i opowiadała mu o swoim życiu, nie dbając o to, czy chce jej słuchać, czy nie.

Pozory mogą mylić — uświadomił sobie. Dla kogoś z zewnątrz ta kobieta była kimś samowystarczalnym, wzorem samodzielności, a jednak za taką postawą kryła się biografia, którą pani Lydiard na pewno by zmieniła, gdyby to było możliwe. Ludzie dość często zwierzali mu się, biorąc uprzejmość za wyraz zainteresowania. Wzmianka o córce wydała

mu się konwencjonalna, powierzchowna. Czy pani Lydiard miała coś więcej na myśli, wspominając o niej? Hamował się, by nie przypisać jej niewłaściwych intencji. To, co się dzieje między matkami i córkami, było dla niego nie do pojęcia. Nawet to, co się dzieje między matkami i synami, było trudne do zrozumienia. Zachował ambiwalentne uczucia do własnej matki. Podejrzewał, że gdyby kiedykolwiek spotkał córkę pani Lydiard, stanąłby raczej po jej niż matki stronie, ale ta ostatnia była już pogodzona z sytuacją i teraz odprężona. Opowiedziała, co jej leżało na sercu, tak jakby złożyła wiadomości na swój temat w ręce kogoś sprawniejszego od niej samej. Bland wysłuchał wielu wynurzeń w życiu i nauczył się dyskretnie kierować nimi — jeśli było to konieczne — w taki sposób, by prowadziły do jakiejś konkluzji. Umiał wypatrzeć okrucich pociechy, znaleźć rozwiązanie pozwalające uratować przynajmniej część godności w najbardziej beznadziejnych okolicznościach. Pani Lydiard jednak, niepomna swego wyznania, że była złą matką, najwyraźniej nie zamierzała nic więcej dodać na ten temat. Zaczęła gładzić rękawiczki, jakby dopuściwszy go do własnych tajemnic, czekała w zamian na jego zwierzenia. Nie wiedział, co to znaczy — czy była to po prostu bezmyślność, czy jej wnętrze było obwieszane równie pustymi dekoracjami jak ciało. Z pewnością dłużyły się jej godziny samotności, podobnie jak jemu, i powinien był okazać trochę współczucia, nawet jeśli go nie odczuwał. Lubił ją bardziej, gdy jej nie znał, gdy była tylko abstrakcyjną postacią, przyjemną kobietą na tle krajobrazu.

— Są jakieś wnuki? — zapytał dość bezradnie.

— Córka ma dwoje dzieci. — Jej twarz się wykrzywiła. — Jedno czarne, drugie koreańskie. Oczywiście adoptowane. Mój zięć nigdy nie był praktyczny. Dlatego właśnie nie potrafiłem go zaakcep-

tować. Ale nie chcę pana obarczać swoimi sprawami. Już pójdę. Przykro mi, że zepsułam panu ten dzień. Proszę mi dać znać, gdyby były jakieś kłopoty z panną Gibb, dobrze? Trochę mi jej żal. Wygląda na bardzo zmęczoną. Znam ten wygląd. Angela tak wyglądała, gdy nie mogła sobie poradzić z lekcjami. Zostawię panu swój numer telefonu i oczywiście mam już pański. Będziemy się mogli kontaktować.

Wcale nie chcę się kontaktować — pomyślał Bland, otwierając drzwi. Potem zamknął je z ulgą. Pragnął, żeby go zostawiono w spokoju, nawet jeśli nie lubił swojej samotności. Miał wrażenie, że znudził sobą panią Lydiard i że sam też się wynudził. Ale nudziarze niekoniecznie do siebie pasują, a w każdym razie nie zamierzał upaść tak nisko, by zawierać znajomość jedynie po to, by służyć przyjacielowi pomocą. Mimo swego naturalnego pociągu do kobiet nie chciał ich znać zbyt wiele. Och, gdzie jesteś, Putnamie? Z pewnością potrzebował silniejszych wrażeń niż te związane z lilipucimi nieporozumieniami, z bierną akceptacją wszystkiego, co los zdarzy, ze słuchaniem plotek pani Lydiard — potrzebował silniejszych uczuć niż irytacja nieznośnymi sprawami, w które go wplątano.

Rzucił okiem na zegarek i doszedł do wniosku, że jest za późno, by wyjść kupić coś na lunch. Znalazł jabłko i zjadł je, potem siedział z pół godziny, patrząc nieruchomo w przestrzeń, co jakiś czas bębniąc palcami w poręcz fotela. Chciał żyć. Chciał więcej życia. Wydarzenia dzisiejszego ranka przez swoją miałkość wyraźnie mu to uprzytomniły. Nigdy w życiu nie stracił głowy, nie spalił za sobą mostów, nie szukał czegoś wymykającego się kontroli rozumu, nie gonił za czymś nieosiągalnym. Zawsze trzymał się domu, był rozsądny, ostrożny i średnio zadowolony. Jak nagły skurcz chwyciło go uczucie pogardy



dla siebie samego, mącąc na chwilę wzrok Izami. Przetarł oczy palcami i wydał się sobie niewiarygodny. Podziękował opatrznosci, że nie było świadków. Muszę być wyczerpany — uznał. Ciężko podniósł się z fotela i poszedł do sypialni. Zamknięta torba wciąż leżała na łóżku. Nie otwierając jej, postawił ją na podłodze. Położył się i po kilku minutach zasnął.

### III

Coś go wyrwało ze snu. Jakaś wibracja w ciemnym pokoju nasuwała myśl, że zabręczał telefon albo dzwonek u drzwi. Wymacał ręką budzik koło łóżka i spojrzął na tarczę. Było wpół do piątej. Przespał całe popołudnie. Przez minutę lub dwie leżał na plecach, zastanawiając się, co go nagle zbudziło i dlaczego przedtem zasnął. Telefon milczał. Widocznie dzwonek mu się przyśnił. Zaniepokoiła go ta popołudniowa drzemka. Zwykle spał tylko nocą, i to bardzo lekko, budząc się kilkakrotnie. Miał zwyczaj nastawiać sobie radio i w zaciszu sypialni przysłuchiwać się rozmowom. Sprawiało mu przyjemność, że może słuchać i nie musi odpowiadać. W ciągu życia wielokrotnie go zapraszano na kolacje — najpierw jako kandydata na męża, z biegiem czasu jako osobę nadliczbową — i na tych przyjęciach wypełniał swe towarzyskie obowiązki najlepiej jak potrafił. Z tego powodu, a ponadto bez wątpienia z wielu innych, niedocieczonych, lubił po powrocie do swego mieszkania zgasić światło i spokojnie przysłuchiwać się dyskusjom, które go nie niepokoiły, gdyż nie musiał brać w nich udziału. Z potoku słów, jak nurek wypływający na powierzchnię, wyławiał

niekiedy interesującą zdobycz, a dodatkową korzyścią było to, że tych godnych uwagi spostrzeżeń nie musiał pamiętać następnego ranka.

Dzisiejsza drzemka była inna, głębsza, bardziej niezwykła. Miał nawet jakieś sny, co mu się raczej nie zdarzało. W jednym z nich wyraźnie widział twarz swojej matki, ironiczną i nieprzyjazną. Taką ją pamiętał z czasu śmiertelnej choroby, gdy siedziała w fotelu, z włosami i sukienką przesłoniętymi dymem papierosowym i fruującymi strzępami popiołu. Wbijała w niego oczy, gdy w poczuciu winy usiłował czytać książkę, która jej zdaniem musiała być pretensjonalna. Z tą opinią mógłby się nawet zgodzić, ale książka zastępowała mu cały świat, do którego nie miał dostępu. Pragnął, żeby jak najprędzej umarła, i ta myśl nie dawała mu później spokoju. Odpokutował za to pragnienie, w gruncie rzeczy dość niewinne, ponieważ było tylko pragnieniem wolności. Miał dziewiętnaście lat i jego serce przepełniały żal i litość dla tej nieszczęsnej kobiety, która kochała go tak bardzo jak on ją. Zrobił dla niej, co mógł, chyba nawet więcej, niż można było oczekiwać od dziewiętnastoletniego chłopca.

Wytrwał przy niej do końca. Stąd wspomnienie pełnej napięcia twarzy było mu zdecydowanie niemiłym obrazem przeszłości. Drugi sen, z którego zapamiętał tylko fragment, był błahy, lecz wyrazisty: jakaś ulica, którą kiedyś musiał znać, a teraz nie potrafił zlokalizować, przesuwaną się przed oczami w ciszy podmiejskiego popołudnia.

Z tych dwóch snów, obrosłych w nowe skojarzenia, gdy ponownie przemknęły przed wewnętrznym okiem jego pamięci, drugi wyrył się mocniej na siatkówce, pozostawiając trwałą impresję. Wszystko — pogoda i pora dnia — było nadal obecne i zgadzało się z rzeczywistością: niedziela, około czwartej po południu. Tylko umiejscowienie ulicy pozostało nieokreślone, choć, w pewnym sensie, nieistotne.

Chodził takimi ulicami w młodości, gdy pragnął uspokoić stargane nerwy po kolejnej awanturze w domu — jeśli tak swarliwe miejsce można w ogóle nazwać domem. Niedziela dawała ku temu najlepszą okazję, ponieważ dość wcześnie siadali do obfitego lunchu. Później mógł zbijać baki przez całe popołudnie, dopóki zmęczenie nie zagoniło go do domu. Drugi sen wiązał się z pierwszym, cofając go do lat dorastania, lat cierpień i uduchowienia charakterystycznych dla tego okresu (czy te nastroje miały się nigdy nie skończyć?), lecz zawierał nieco późniejszy materiał, jakby podmiejskie ulice były odległym ideałem nie dającym się pogodzić z jego obecnym, bardzo miejskim otoczeniem i ukazywały je przez porównanie (w mgnieniu oka, podczas rojenia na jawie) jako coś wydumanego, sztucznego i ułudnego. Czyżby mozolne dochodzenie do zamożności było błędem i nie mogło dać szczęścia? Z Louise żyłby inaczej, był tego pewien. Mieszkaliby przy takiej właśnie ulicy, pośród dobrze znanych sąsiadów, w solidnym, lecz bezpretensjonalnym domu, w którym przestrzegano by rytuału popołudniowej herbaty. Tu nie znał niemal nikogo i nieraz stawiał sobie pytanie, jak potrafił wytrzymać w tym mieszkaniu, choć w tamtych bolesnych latach taki dom wydawał mu się nieosiągalną doskonałością. To nie jest w ogóle dom — skonstatował, patrząc w czeluść pokoju. Tu nie jest przytulnie i nic nie zasługuje na zapamiętanie. Co nie znaczy, że chciałby żyć wspomnieniami. Powinien natomiast znaleźć w sobie dość siły, żeby się go pozbyć i wymazać z pamięci złe skojarzenia. Mógłby znów wyjechać, tym razem bez pośpiechu, w sposób przemyślany, tak jak postępuje człowiek majątny. A po powrocie z dalekiej podróży znaleźć sobie i założyć nowy dom, tym razem prawdziwy. Marzył o spokoju, jednocześnie jednak drażniła go perspektywa bezczynności, którą przywołał

sen. Nie chciał zginąć w pustce i ciszy. Uznał, że spokój wywołuje w nim popłoch i że to go właśnie zbudziło.

Niemal z radością powitał więc dzwonek u drzwi, który musiał się rozlec po raz wtóry. Żałował, że nie jest w lepszym nastroju do przyjmowania wizyt. Wzwał niezdarnie półbuty i zdając sobie sprawę, że jest rozczochrany i w pomiętym ubraniu, pokuśtykał przez korytarz, zapalając po drodze światła. Na klatce schodowej czekała spokojnie Katy Gibb. Wyglądała dużo lepiej niż przy pierwszym spotkaniu. Pozbyła się kurtki i adidasów. Jej białe stopy, co natychmiast spostrzegł, były piękne i drobne, białe i nieskazitelne. Przypomniał sobie przyjemny dotyk jej dłoni. Miała zdrowo zaróżowione policzki. Białe, niezbyt duże oczy patrzyły na niego w sposób zdradzający nieśmiałość i szczerłość. Jedynym dziwnym elementem jej wyglądu — jeśli pominąć białe stopy — były zupełnie mokre włosy.

— Jak się masz, czujesz się lepiej? — zapytał, uświadamiając sobie, że to on się źle czuje, nie ona.

— Przyszłam ci podziękować — odpowiedziała — za to, że byłeś tak uprzejmy dla mnie dziś rano. Chciałam też prosić, żebyś pożyczył mi herbaty. W mieszkaniu nie mogę jej znaleźć.

— Sklepy są jeszcze chyba otwarte — zauważył.

— O, nie warto wychodzić po jedną rzecz, a poza tym mam mokre włosy.

Wiedząc, że jest w nie najlepszej formie, wolał nie zapraszać jej do środka, ale gdy się obrócił i skierował w stronę kuchni, ona w naturalny sposób podążyła za nim.

— Przyjemne mieszkanie — stwierdziła. — Sam tu mieszkasz?

— Tak — odparł oschłym tonem. — Proszę, oto herbata.

Spostrzegł, że to ostatnia torebka. Rano będzie

musiał zrobić większe zakupy. Dzisiaj było już za późno, żeby o tym myśleć. Pod tym względem miała rację. Pragnął tylko wykapać się i przebrać. Czuł się rozbity po zbyt długim śnie.

— Bardzo ci dziękuję. Czy możesz mi jeszcze powiedzieć, gdzie tu można coś zjeść? Obawiam się, że jestem słabo zadomowiona. Czy zechciałbyś mnie poinstruować? Nie chcę ci być ciężarem, ale tak się składa, że wszyscy moi przyjaciele wyjechali na weekend.

Można to było zrobić taktowniej — pomyślał. Natychmiast jednak zawstydził się swego rozdrażnienia. Przestraszył się, że Katy mogła je spostrzec. Trudno mu też było przejść do porządku dziennego nad obrazem rozbitka z bosymi stopami i włosami jak zmokła kura.

— Może tak byśmy poszli na kolację? Wzięlibyśmy panią Lydiard i mogłabyś nam wszystko o sobie opowiedzieć.

— Cudownie! — wykrzyknęła tak entuzjastycznie, że zdziwił się, czemu nie słyszy klaskania w ręce. Powinna się lepiej kontrolować — skonstatował i uśmiechnął się kwaśno na myśl o swoich reakcjach żółwia w skorupie. Jednocześnie zaczął się niepokoić, że tak szybko porzucił swą mizantropię — tak właśnie pragnął określić swoją postawę tego dnia: jako mizantropię, nie mizogynię, ponieważ nie zamierzał wieczorem z nikim się spotykać, ani z kobietą, ani z mężczyzną, czując, że jest odpychający i chimeryczny.

— To o której mam wpaść po ciebie? — zapytała Katy Gibb.

Znów nietakt — pomyślał, ale poskromił irytację, perswadując sobie, że jej źródłem jest brak kąpieli i pusty od dawna żołądek. Przecież jeszcze dzisiaj byłem w Nicei — stwierdził ze zdziwieniem.

— Może o wpół do ósmej — zaproponował. — Za

rogiem jest całkiem dobra włoska restauracja. Ale przedtem spotkajmy się tu wszyscy na kieliszek sherry.

Zadzwoił do pani Lydiard, która z zachwytem przyjęła niespodziane zaproszenie. Zrobił sobie filiżankę herbaty, wysypując resztki listków ze słoja. Zastanowił się, czy zdąży zjechać na dół do sklepu, ale uzmysłowiwszy sobie, że są pilniejsze sprawy — torba podróżna była wciąż nie rozpakowana — postanowił na śniadanie wypić kawę. Przeszło mu przez głowę, że kawę też powinien zachować, na wypadek gdyby Katy znów zażądała czegoś do picia, ale tym razem miał dość przyzwoitości, by wyśmiać siebie i pobiec do wanny. W łazience, jak zwykle, zamyślił się nad sobą posepnie. Jego ciało nie bardzo nadawało się na obiekt pożądania, a może nawet samo już nie było zdolne pożądać, choć dotąd służyło mu dobrze i co ważniejsze, nie zdradzało oznak ukrytej słabości czy skłonności do chorób. Może jakaś anomalia rozwijała się pod białą skórą lub między sterczącymi żebrami, lecz na razie zostawiała go w spokoju. Mimo iż kościsty, nie sprawiał wrażenia cherlaka, a niewielkie przygarbienie dawało się wyprostować pewnym wysiłkiem woli. Tracił pewność siebie, gdy musiał zrobić coś, co wykraczało poza jego zwykłe zajęcia. Prawdopodobnie dlatego, że miał tak niewymagającą partnerkę jak Louise, choć w pewnym momencie i ona go nieźle zaskoczyła, a to znaczyło, że zaskoczył sam siebie. Trochę się więc wstydził swojego przywiązania do niej. Nigdy też jej nie zapytał, czy ona nie czuje się skрэpowana własną stałością.

Osuszył ciało ręcznikiem i natarł się wodą „Sauvage”. Przyjrzał się swojej twarzy i widząc nie dogoloną szczecinę koło uszu, rzucił niechętnym okiem w stronę staromodnej maszynki z żyłką. Popatrzył na zbyt głębokie zakola na czole i pęknięte

żyłki pod skórą przy krawędzi nozdrzy. Dokonywał tego przeglądu codziennie i nigdy nie przestawały go dziwić te dowody rozkładu, których poza tym w sobie nie dostrzegał. Ubrał się i znów był panem sytuacji — wytwornym, wysokim, raczej szczupłym mężczyzną

o nie rzucającej się w oczy twarzy i dużych dłoniach. Ogólnie biorąc, udało mu się w życiu, choć teraz nie bardzo wiedział, co ma ze sobą począć. Musi sobie ułożyć plany na przyszłość — postanowił, ustawiając kieliszki na tacy. Musi czymś wypełnić czas. Jeśli dzisiejsze popołudnie miało być zwiastunem przyszłości, groziło mu staczanie się w dół, aż do poziomu wyjściowego, daleko od tego, do którego dotarł.

Gdy ponownie zabrzączał dzwonek — dzwoni teraz niemal stale, przemknęło mu przez myśl — pospiesznie otworzył drzwi z poczuciem ulgi. Stał przed trzecim objawieniem Katy Gibb, które zrobiło na nim niespodziane wrażenie. Rankiem widział rozgniewaną hippiszkę, po południu uczennicę z różowymi policzkami i wilgotnymi włosami. Teraz zobaczył istotę śmiałą i wyrafinowaną, w czarnych jedwabnych spodniach i czarnym jedwabnym żakiecie, narzuconym na czarny jedwabny podkoszulek. Jej ciało, bardziej teraz widoczne niż zakryte, było drobne i przyjemnie zaokrąglone, być może zbyt szerokie w biodrach. A cóż dopiero twarz... Oniemiał na widok lśniących czerwonych warg. Policzki były pociągnięte głębokim czerwonym różem, oczy powiększone i okolone cieniem, rzęsy silnie przyciemnione. Mata Hari — pomyślał, ale zdał sobie sprawę, że nic jej to nie mówi.

Mimo woli czuł się rozbawiony jej wyglądem, choć ujęło go, że zadała sobie tyle trudu wyłącznie ze względu na niego. Nie pachniała kosztownymi perfumami, lecz szamponem i pudrem. Dostrzegał pod jedwabiem jędrne ciało, ale jego wzrok kierował się ku jaskrawo, sztucznie ubarwionej twarzy. Obraz, jaki Katy sobą przed-



stawiała, był efektem dziecinady i kalkulacji. Jego zdaniem kalkulacja przeważała nad dziecinadą, ponieważ dziewczyna musiała włożyć więcej starań w osiągnięcie takiego wyglądu, niżby można wytłumaczyć dziecinnym rozbawieniem.

Efekt był bez wątpienia godny uwagi. Ale silniejsze wrażenie niż jej intensywne barwy, niż nieme poddanie się jego ocenie, silniejsze niż chęć zaskoczenia go swym powabem sprawiała jej wyraźna, świadcząca

o pewności siebie zalotność. Całe to przedstawienie inspirowane było wiarą w siebie i, niewątpliwie, jakimś upodobaniem do własnej powierzchowności. Był przekonany, że to zaplanowany występ.

Wszystko, co chciała przekazać — przeistoczenie się dziewczyny w kobietę, uwodzicielska moc, którą zdecydowała się ujawnić — widoczne było na pierwszy rzut oka, kiedy tak stała na podeście przed otwartymi drzwiami. Był rozbawiony, ale też zaintrygowany

i już ulegał jej czarowi. Uwodził go rysujący się przed nim obraz czystej kobiecości, który postanowiła mu ukazać, to niespodziane wejście do świata otoczonego świętą tajemnicą, gdzie mogło się kryć coś tak niepojętego jak świątynna prostytutka.

Nie miał zbyt dużo kontaktów z tym światem i jak wielu mężczyzn nieco się go lękał. Louise przekształciła się z nieśmiałej i prawie nie używającej ozdób dziewczyny w skromną, lecz dobrze utrzymaną wdowę. Zrobiła to niemal niepostrzeżenie. I teraz wszystko, co mu po niej zostało, było tylko wspomnieniem, jak stoi przed lustrem u niego w domu, obrócona plecami, i układa włosy. Tak mu się w każdym razie wydawało, gdy spoglądał na tę kobietę, która dzięki upiększeniu — kosmetykom i makijażowi — przemieniła surowy materiał w dzieło sztuki. Właśnie tak na nią patrzył — jak na dzieło sztuki, jakby był uduchowionym koneserem kontemplującym w galerii portret kurtyzany pędzla

Veronese'a lub obraz Jacopa Palmy. Katy zastygła w hieratycznym bezruchu, jak gdyby dla dokończenia jej występu potrzebny był teraz jakiś gest z jego strony. To w pewnym sensie osłabiało jej atrakcyjność, gdyż nie można się było oprzeć wrażeniu, że reprezentuje egzemplarz pewnego gatunku, a tylko incydentalnie siebie samą. Z całym rozmysłem wystawiła się na pokaz. Stała więc bez ruchu, oczekując oznak zaskoczenia lub podziwu. On jednak nie odczuwał pożądania. Właściwie nic go nie ciągnęło do tej dziwnej istoty, która w wyniku niespodzianej metamorfozy przestała być niepozorną dziewczyną, z którą rozmawiał rankiem i której wyglądu nie potrafił już odtworzyć. Odczuwał raczej wdzięczność i zadowolenie, że zadedykowano mu to niezwykle i rzadkie przedstawienie. Lecz było to zadowolenie pozbawione intelektualnych treści. Tę przemianę wyglądu, jak mu się wydawało, musiał zaplanować bystry umysł, choć nic nie świadczyło o tym, by miał do czynienia ze szczególnie subtelną inteligencją. Nie mógł sobie przypomnieć, co od niej słyszał, a to sugerowało, że nie usłyszał niczego, co by zasługiwało na zapamiętanie. Z jej wyglądem kojarzył się umysł królowej Saby lub Kleopatry, ale miał wątpliwości, czy Katy należy do tej kategorii. Wcześniej odniósł wrażenie, że jest raczej tępawa i grymaśna. Był jednak gotów nie dostrzegać wad jej charakteru w zamian za przeżycie estetyczne, którym go niespodzianie obdarzyła po tak nudnym poranku. W myśli określił to przeżycie jako spotkanie z Jacopem Palmą i miał cichą nadzieję, że dziewczyna okaże się głuptasem. W przeciwnym razie jej moc mogła być w istocie przeogromna. Zniecierpliwiona jego milczeniem i zapewne własnym — co było wyraźną wskazówką, że jej intelekt nie jest pierwszej próby — Katy zrobiła krok do

przodu i niemal ocierając się o niego, weszła do środka. Jak na zbawienie, w tym samym momencie rozległ się zawodzący dźwięk windy, oznajmiający przybycie pani Lydiard.

Pani Lydiard również się postarała, ale na swe nieszczęście także wybrała czerń. Do czarnej wełnianej garsonki włożyła czarno-białą bluzkę z tafty i w ten sposób odebrała naturalny rumieniec swej ładnej, choć nieco niezadowolonej twarzy. Wyglądała wytwornie i atrakcyjnie na swój wiek, lecz Katy ją zdeklasowała. Wcześniej nie spostrzegł, że pani Lydiard lekko utyka, gdyż niewiele czasu spędził w jej towarzystwie. Zauważył to dopiero teraz. Poczul też mocny zapach perfum. To sprawiało przykre wrażenie.

— Och, jak miło znowu cię widzieć — powiedziała Katy, całując ją w policzek.

— Ciebie też, moja droga — zapewniła pani Lydiard.

— Może sherry? — zapytał. Katy się zawahała.

— Pomyślisz pewnie, że jestem głupia, ale czy masz szampana...?

Miał. Tuzin butelek Moet et Chandon, pożegnalny prezent z okazji przejścia na emeryturę, o których niemal zapomniał.

— Gdy zaczynam w jakimś nowym miejscu, lubię się napić szampana.

— Więc się napijemy — podjął. — Ale co to znaczy „gdy zaczynam w nowym miejscu”? Zrozumiałem, że mieszkałaś w Ameryce, lecz odniosłem wrażenie, że jesteś w takim samym stopniu Angielką jak ja. I jak pani Lydiard — dodał natychmiast, przypominając sobie o dobrych manierach.

— Mogę tu zostać — oznajmiła Katy. — I założyć własną firmę.

Nie była to, ściśle biorąc, odpowiedź na jego pytanie — pomyślał Bland.

— Och, doprawdy, to bardzo interesujące — rzekła pani Lydiard. — Uważam, że kobieta powinna pracować. Ja zawsze pracowałam i bardzo to lubiłam...

— W obecnych czasach kobieta może sobie wybrać styl życia — uroczyście oświadczyła panna Gibb. Miał więc rację. To, co mówiła, było poniżej tego, jak wyglądała. I to mu się podobało. Mógł sobie teraz wygodnie usiąść i się zrelaksować. Zaczynał się wieczór bez konsekwencji. Bardzo mu to odpowiadało. Niczego nie będzie się od niego wymagać. Zapytał, jaką firmę ma na myśli, nie wierząc, by istotnie miała jakiegokolwiek plany.

— Tego jeszcze nie mogę ujawnić — odparła Katy. — Muszę rozkręcić interes i oczywiście potrzebuję sponsorów.

— Moje życie zawodowe było nadzwyczaj ciekawe — ciągnęła pani Lydiard. — Przez wiele lat byłam sekretarką poważnego specjalisty od raka.

Podawała sławne nazwisko. Bland zdziwił się, ale po namyśle uznał, że coś przecież musiało ją absorbować, skoro tak skutecznie oddaliła od siebie męża i dziecko.

— Ja raczej nie mam przekonania do medycyny konwencjonalnej — oznajmiła panna Gibb. — Cieszę się, że jej dni są policzone. W przyszłości będzie się preferowało naturalne leczenie, i to mnie interesuje.

— Mój pracodawca uratował życie wielu ludziom — zauważyła pani Lydiard.

Patrzyła na dziewczynę z naciskiem, jakby chcąc jej przekazać, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, że choroba czasem skrada się podstępnie, że wróg może uderzyć z najmniej spodziewanej strony. Nie wypowiedziała jednak tych uwag albo powstrzymana dobrym wychowaniem, albo zniechęcona młodym wiekiem rozmówczyni. Atmosfera nieco się zmieniła.

Bland odczuł tę zmianę, lecz uznał, że go nie dotyczy. Spektakl był zbyt interesujący. W krótkim olśnieniu zrozumiał monstrualny egotyzm i czysty solipsyzm artysty.

— Jeszcze szampana?

Spostrzegł, że niemal opróżnili butelkę, choć pani Lydiard ciągle bawiła się pierwszym kieliszkiem.

— A może już pójdziemy? To zaraz za rogiem — zwrócił się do Katy.

— Mam nadzieję. — Wskazała na swoje czarne sandałki. — Daleko w nich nie zajdę.

— To blisko — zapewnił ją, zastanawiając się, czy powinien podać jej ramię. Ten pomysł go pociągał. Czuł się pobudzony.

— To blisko — powtórzył.

A może to działał szampan. Niezła myśl — wypić jeden lub dwa kieliszki wieczorem. Tylko że wtedy trzeba albo wykończyć butelkę samemu, albo mieć towarzystwo.

Przejście do restauracji nie odbyło się bez wahań, jakby obie kobiety oczekiwały pomocy z jego strony. Szli wolno, wolniej, niż to było konieczne, ze względu na stukające o chodnik sandałki Katy. Dziewczyna była dobrze zbudowana i z pewnością nie bała się wysiłku — spostrzegł Bland. Ta powolność wydała mu się przesadna, lecz go bawiła. Nie miał pojęcia, czego Katy oczekiwała po tym przypadkowym zaproszeniu, oprócz, rzecz jasna, dobrego jedzenia. Nadmiernie się wystroiła na tę kolację, ale może liczyła na jakieś inne przelotne znajomości, niezależnie od spotkania z nimi dwojgiem. Może wszystkie młode kobiety tak się dzisiaj zachowują, uważając za niezmiernie ważne pokazać się w publicznym miejscu w zwracającym uwagę stroju. Wiedział, że kobiety są teraz inne. Już nie siedzą ze spuszczoneym wzrokiem, tak jak to robiła Louise, gdy ją poznał, i nie słuchają uważnie, co mężczyzna zechce im zaproponować.

Obecnie role się odwróciły. To mężczyzna musi udowodnić, że zasługuje na uwagę. Dobrze, że nie musiał brać Katy serio. Cały ten wieczór został mu narzucony. A może on sam go sobie narzucił? Nie był pewien. Przyłapał się na tym, że zerka w jej stronę, zaniehbując panią Lydiard, która musiała sama sobie radzić najlepiej jak potrafiła. Nie miał dość siły, żeby bawić je obie jednocześnie, i żałował, iż nie zaprosił też jakiegoś mężczyzny. Dziewczyna chyba się tego spodziewała. Gdy usiedli, wsunęła palce we włosy i odrzuciła je z twarzy. Znow zauważył jej jasną karnację.

— Co zjecie? — zapytał.

Łapczywa mina Katy, nieświadomej swojej fizjonomii, byłaby doskonałą nagrodą dla każdego fundatora kolacji — pomyślał.

— Moira? — zwrócił się do pani Lydiard, ponieważ od kiedy dziewczyna wymogła to na nich, mówili sobie po imieniu.

— Chyba wezmę solę z grilla — powiedziała pani Lydiard. — Zwykle nie jadam wiele na kolację.

— Ja to samo. A ty, Katy?

— Ślimaki i królewskie krewetki *al forno*. Popatrzyli na nią z uznaniem. Amatorka przygód, ponad wszelką wątpliwość.

— A czego się napijecie? — wymamrotał Bland.

— Jeszcze szampana, wy też?

— Moira?

— Dla mnie nic, George, ja prawie nigdy...

— Ależ to święto, Moira! — wykrzyknęła dziewczyna. — I tak podniecające! Może rozpocznę tu nowe życie. Warto to uczcić, prawda?

— Jak sobie życzysz, moja droga — odparła pani Lydiard, sprawiając nagle wrażenie kobiety zmęczonej i wiekowej.

— Wypijmy więc za twoje plany, o których musisz nam więcej opowiedzieć — oznajmił Bland, okazując

jej wciąż coś na kształt profesjonalnego zainteresowania.

— Mówiłam ci już. Nie mogę tego jeszcze ujawnić. Ale mam nadzieję zbudować coś na swoim amerykańskim doświadczeniu.

— Co to było za doświadczenie?

— Pracowałam z Howardem Singerem — oświadczyła krótko, odstawiając kieliszek, jakby dla podkreślenia wagi tej deklaracji.

Bland zaczął grzebać w pamięci, ale nie mógł sobie przypomnieć niczego, co by brzmiało jak Howard Singer Enterprises czy Howard Singer Corporation.

— Kto to jest Howard Singer? — odezwała się pani Lydiard.

Katy wykonała gest komicznego zniecierpliwienia, jak gdyby pierwszy raz w życiu spotkała się z podobną ignorancją.

— Dziwi mnie, że nigdy o nim nie słyszałaś — rzekła. — W Stanach jest bardzo sławny. Prowadzi jeden z najśłynniejszych warsztatów przeciwstresowych na zachodnim wybrzeżu.

Skromnie spuściła oczy, jakby oczekując hołdu. W tym momencie postawiono przed nią talerz z aromatycznymi ślimakami.

— Co on robi? — zapytała pani Lydiard bez ogródek.

Katy uniosła wzrok.

— Co robi? Uprawia shiatsu, vibrasound, masaże tantryczne, refleksologię, chakrę, terapię kryształową, stosuje olejki pierwiastkowe — to moja specjalność — leczenie kwiatami i doradztwo w zakresie kolorów. Co tylko zechcesz.

— Terapię seksem też? — podsunął Bland.

— Oczywiście. Musisz wiedzieć, że wiele ludzi wybrało złą drogą.

Należało się domyślać, że większość, a w ocenie Singera prawdopodobnie wszyscy.

Bland umiał sobie wyobrazić tego człowieka, tego Singera. To z pewnością wiecznie uśmiechnięty, opalony szarlatan z białymi zębami. Nosi hawajską koszulę, nie dopiętą, by odsłonić siwe włosy na piersi. Do tego kucyk i bransoletkę z włosów słonia. Widział to tak wyraźnie jak swoją rybę, którą zręcznie oddzielał od ości. Nad stołem unosił się zapach czosnku. Obawiał się, że pani Lydiard nie czuje się zbyt dobrze. On natomiast bawił się lepiej, niż się spodziewał. Dopełnił kieliszek Katy pytając:

— I ty chciałabyś robić to samo?

— Słyszałam o tym — wtrąciła się pani Lydiard. — To się nazywa New Age, prawda?

— Świetnie, Moiro! Byłam pewna, że jesteś otwarta na nowe pomysły. Uważam, że to cudowne, kiedy ludzie tacy jak ty nadążają za zmianami.

Oczywiście miała na myśli „starzy ludzie”. Przez moment nie było pewne, czy nie poniesie jej temperament. Wyglądało na to, że zawsze trzyma w zanadrzu nagły wybuch złości. Bland skupił się na jej głosie, który przed chwilą jeszcze rozbrzmiewał mieszaniną dźwięków angielskich i amerykańskich, a teraz nabrał odcienia wyniosłości.

— Ja jestem zdecydowanie zadowolona ze swojego lekarza... — oznajmiła pani Lydiard.

— Ja też — dodał Bland, myśląc o ukrytej fiołce pigułek nasennych.

— Nie macie racji — oświadczyła Katy. — Masaż pomógłby ci na twoją nogę, Moiro, bo z pewnością wszystkie pigułki okazały się bezużyteczne.

Tak, dziewczyna była niewątpliwie rozjątrzona, choć oboje robili, co mogli, by uprzyjemnić jej wieczór. Chce się czuć nieobliczalna — skonstatował.

— I przypuszczam, że pierwszy krok polega na tym, by się porozumieć z dzieckiem w środku? — zapytał.



— Z wewnętrznym dzieckiem. Mówimy: z „wewnętrznym dzieckiem”.

— Z wewnętrznym dzieckiem — powtórzył posłusznie.

Bawił się coraz lepiej, chociaż opuścił go apetyt. Pani Lydiard też jakby zniechęciła się do ryby. Jej pozowanie na osobę nie z tego świata i wyraźna chęć wzniesienia się ponad wszystko, co uznawała za niegodne swej uwagi, prawdopodobnie było wywołane poczuciem wyłączenia z rozmowy. Z ożywienia Katy, z jej zaabsorbowania sobą i okazywanej gorączkowości widać było, że szkoda jej czasu na starsze panie. Kierowała co najwyżej roztargniony uśmiech w stronę pani Lydiard, która, choć zapewne niezdolna do oceny czyjegoś charakteru, nie była głupia. Najpierw ucieszyła się z zaproszenia na kolację, potem z radością ubrała się odświętnie, licząc na przyjemny wieczór, a teraz czuła się jak lalka odrzucona w kąt. W powietrzu wisiała awantura. Może kobiety zawsze tak się odnoszą do innych kobiet — pomyślał. Szczególnie gdy są w towarzystwie mężczyzn, choćby ledwie wartego uwagi, który okazuje im przynajmniej odrobinę zainteresowania. On zresztą nie tyle się nimi interesował, ile bawił. Uśmiechnął się do siebie. Miał na szczęście dość zdrowego rozsądku, by nie myśleć, że któraś z nich walczy o niego.

Dziewczyna go fascynowała, ponieważ dostrzegał jej spryt i zręczność, a przy tym szczerą naiwność, z której nie zdawała sobie sprawy. Co do jej „pracy”, to Bland uznał, że nawet jeśli potrafi robić doskonale coś, co jest kompletną bzdurą, niekoniecznie daje tym dowód braku inteligencji. Co więcej, umiając się utrzymywać z hochsztaplerstwa, a do tego wydawała mu się najzupełniej zdolna, osiągała niemały sukces — jeśli nie w innym sensie, to przynajmniej w sensie żyłki do interesów. Zastanawiał się nad jej

związkiem z tym zasługującym rzekomo na podziw Singerem, o którym nigdy nie słyszał. Jego wyznawczyni — pomyślał. Ten człowiek to prawdopodobnie jakiś guru, a chyba nawet — nie chyba, z pewnością — ktoś więcej. Mimo stosunkowo młodego wieku Katy była doświadczona, bardziej doświadczona niż którakolwiek z pozostałych osób przy stole. Pamiętał jeszcze szok, jakiego doznał, gdy objawiła się — nie, nie można użyć innego określenia — objawiła się na progu jego drzwi. Teraz, gdy pozwoliła sobie na bardziej naturalne reakcje, jej wygląd nie robił już tak dramatycznego wrażenia, choć sposób, w jaki jadła swą okropną kolację, zmuszał do zastanowienia. Jadła wybrednie, ale z morderczą wytrwałością. Sos lśnił na jej wargach. Bland ocenił, że ma jakieś dwadzieścia dziewięć - trzydzieści lat. Gdy wejdzie w wiek średni, trudno jej będzie utrzymać talię i biodra, zwłaszcza jeśli będzie jeść tak zapamiętale jak dzisiaj.

— Masz absolutną rację — kontynuowała pani Lydiard, której poczucie obowiązków towarzyskich przyćmiewało wszelkie inne cnoty — że chcesz założyć własną firmę. Przyszłość należy do tych, którzy pracują u siebie. W przeciwnym razie człowiek jest narażony na straszny szok, gdy przechodzi na emeryturę. Czy zgodzisz się ze mną, George?

— Nie miałem jeszcze czasu się przyzwyczaić — odpowiedział.

— Ja czułam się jak sierota — dodała pani Lydiard. — Zupełnie jak sierota.

Zaczynał ją rozumieć. Nie tęskniła do dzieci i z pewnością nie do męża. Tęskniła do pracodawcy, z którym spędziła tyle szczęśliwych dni przy Harley Street. To dla niego ubierała się tak starannie przez cały ten czas i gdyby dzisiaj był tu przy niej, nie dotknęłaby jej żadna impertynencja. Nie była przybita obrotem rzeczy. Zdawała sobie sprawę, że przy

tej szczególnej okazji miała pełnić funkcję balastu. Ponadto nie mniej niż Bland, którego pewnie postanowiła poznać bliżej, była zaintrygowana surowym wdziękiem tej dziewczyny i chciała wziąć udział w tym, co Kąty nazwała świętowaniem. I jeśli to możliwe — ciągle jeszcze nie była tego pewna — chciała się włączyć do zabawy. Obserwując panią Lydiard, musiał oderwać oczy od Kąty i uświadomił sobie, że ta dziewczyna miała dziwny dar: ściągała wszystkich na granicę złego zachowania w prosty sposób — sama zachowywała się niezdalnie. Będąc przy niej, trzeba było zabiegać o jej uwagę, podnosić głos, podkreślać własną obecność. Bez względu na to, jak bardzo człowiek starał się być sobą, po kilku minutach, najdalej po półgodzinie, w tajemniczy dla siebie sposób zmieniał się w kogoś innego. Zauważył, że pani Lydiard stara się teraz naprawić błąd swej chwilowej nielojalności — nawet jeśli nie była w pełni gotowa wyprzeć się swego uznania dla medycyny konwencjonalnej, nie mówiąc o innych poglądach. Miał wrażenie, że sam też zachowuje się nierozsądnie, już choćby dlatego, że widział wyraźnie, jak dziewczyna kręci. Nabrał do niej sympatii, ale nie przestał krytycznie oceniać jej postępowania.

— Jak poznałaś Sharon? — zapytał od niechcienia, dolewając szampana do kieliszka Kąty.

— Sharon...?

Kąty była teraz mocno zarumieniona, jej oczy i zęby błyskały.

— Gdy ją poznałam, nazywała się Sheila. Sheila Robinson. Zmieniła imię na Sharon, bo uważała, że to wykwiłtne, chociaż każdy mógłby jej powiedzieć, że to niewiarygodnie nadęte.

Znów ścieśniała samogłoski, jej głos się zmienił, gdy zaczęła cedzić słowo po słowie. Nawet wyraz jej

twary uległ zmianie, jakby się oddaliła i z dystansu przypatrywała rzadko spotykanemu ludzkiemu dziwactwu.

Spostrzegł, że znowu nie odpowiedziała na jego pytanie, a także że — choć wiele wypła — nie była pijana. On natomiast czuł się lekko zamroczony i rozgrzany. Pani Lydiard poprawiała rękawiczki i torebkę, jakby chcąc przyspieszyć koniec przyjęcia. Rękawiczki — prawie słyszał, co Katy myśli — to tak niewiarygodnie nadęte. Podano kawę.

Przywołał kelnera, żeby zapłacić rachunek, i spojrzął na zegarek. Ze zdziwieniem stwierdził, że jest wpół do dwunastej.

— Wybacz, że tak długo was zatrzymałem — zwrócił się do pani Lydiard. — Na szczęście jutro jest niedziela.

Uśmiechnęła się do niego wyrozumiale, jakby chciała powiedzieć, że dla niej każdy dzień jest niedzielą. Przystanęli na chwilę przy drzwiach. Miał wrażenie, że są teraz ociężali i niezgrabni, poruszają się z trudem. Dobrze, że nie muszą prowadzić auta — pomyślał. Na ulicy świeże powietrze oszołomiło go swą czystością. Dodało mu siły i zawstydziło. Nagle wieczór wydał mu się niesmaczny. Stracił czas i pieniądze. Żałował, że nie pozostał na dystans z panią Lydiard i że ta niezgrabna dziewczyna wplątała się w ich życie. Wcześniejsze poczucie swobodnego rozbawienia zastąpił niesmak. Pani Lydiard milczała. Może jej duma została zraniona, a może przygnębiła ją świadomość, że każda młoda osoba, nawet tak niepozorna jak ta — chociaż w końcu cóż o niej wiedzą? — potrafi zepchnąć ją na drugi plan. Bland widział to wyraźnie — pani Lydiard poczuła się stara. I nagle on również tak się poczuł.

— Bardzo dziękuję, George — powiedziała pani Lydiard głosem, który brzmiał tak, jakby dobiegał z oddali. — Nie, nie odwoź mnie na górę. Sama

sobie poradę. Lepiej odprowadź Katy do drzwi. Jestem pewna, że wszystkim nam już się spieszy do łóżka. Mnie na pewno.

— Spieszy do łóżka...? — podchwyciła dziewczyna z rozbawieniem, gdy nieco chwiejnym krokiem szli na górę. — Z pewnością nie mnie. Ja rzadko chodzę spać przed drugą. Czasem nawet później. Nocą jestem w najlepszej formie, wtedy mi się najlepiej myśli. Nieraz przeprowadzaliśmy z Howardem godzinę spotkań o tej porze...

— Godzinę spotkań? — zapytał.

— Chyba rozumiesz? Sesja pytań i odpowiedzi. Analiza transakcyjna. Howard opanował tę cudowną technikę ułatwiania ludziom zrozumienia, co im dolega.

— Chcesz powiedzieć, że on przyjmuje klientów, to znaczny pacjentów czy jak ich tam nazywacie, w środku nocy?

— Oczywiście. Co ci się w tym nie podoba?

— Nie podobałoby mi się, gdyby mnie przyjmował o takiej porze.

— Mogę ci o tym więcej opowiedzieć, jeśli cię to interesuje. Mogę ci nawet zrobić sesję próbną, jako rodzaj wprowadzenia. Idziesz już do siebie? — zdziwiła się. — Chyba nie położysz się jeszcze?

Chętnie obejrzałabym z tobą telewizję. Mocne programy zaczynają się właśnie koło północy. To lubię najbardziej — amerykańskie filmy. Howard i ja znaliśmy wielu ludzi w przemyśle rozrywkowym.

Wkładając klucz do zamka swoich drzwi, odparł:

— Chyba się jednak położę, jeśli się nie obrazisz. Jestem dość zmęczony. Dziś rano wróciłem z Francji. Dobranoc, Katy. Dziękuję za miły wieczór.

Mówiąc to, wszedł do przedpokoju. Dziewczyna stała nieruchomo, mierząc go wzrokiem. Stwierdził, że jest nią znużony, poczuł przyływ wrogości, jakby bał się, że stanowi dla niego zagrożenie, że może

zburzyć jego spokój, jakby to od niej zależało, czy będzie mógł nadal wieść spokojne i wygodne życie, tak jak je sobie ułożył. Zachował jednak dość kontroli nad swoimi odczuciami, by jeszcze raz życzyć jej dobrej nocy i podziękować za przyjemny wieczór. Nieco z tym przesadził, bo czuł się wyczerpany i zawstydzony własnymi reakcjami.

— W porządku — rzekła Katy. — Ale pamiętaj: jeśli zechcesz się z kimś podzielić swoimi pomysłami albo choćby powiedzieć, co ci chodzi po głowie, wiesz, gdzie jestem.

Nawet w swym opłakanym stanie zauważył, że mu nie podziękowała, nie wyraziła zadowolenia ze wspólnie spędzonego wieczoru. Tak się teraz kobiety zachowują — pomyślał. Niewiele o tym wiedział, bo tkwił w kokonie staromodnej grzeczności, niewątpliwie fałszywej, pełnej uśmiechów i słów uznania motywowanych obowiązkiem i wyrażanych z szacunkiem. Spostrzegł także, że ekscesy tego wieczoru — a w każdym razie to, co jemu wydawało się ekscesem — nie pozostawiły na niej żadnego śladu, jakby były tylko przygrywką. W mieszkaniu odczuł ulgę zmieszaną z niepokojem, że dał się nabrać. Oczywiście wieczór był katastrofą, jeśli chodzi o poziom rozmowy. W pewnych momentach patrzył z niesmakiem nie tylko na dziewczynę, ale i na siebie. Taki wieczór nie mógłby się zdarzyć, gdyby żył Putnam. A gdyby się zdarzył, przyjaciel sprowadziłby go na ziemię swym szyderczym komentarzem. To była jedna z wielu jego użytecznych funkcji. Bland wiedział, że nie jest z sobą zupełnie szczery. Pobudził go widok dziewczyny ogarniętej pragnieniami — z pewnością miała ich wiele. Traktował ją jak zagadkę, którą zesłano mu po to, aby zajęła mu czas w trudnych dniach przymusowej beczynności, aby urozmaiciła życie przemijające bez przygód i wydarzeń. Postanowił bliżej ją poznać. Nie było w tym nic złego.

W łóżku, zanurzony w ciemność, myślał o tym, jaka jest jeszcze młoda. To znaczyło bardzo wiele. Wszystkie pragnienia, cierpienia i frustracje jego własnej młodości stawały mu przed oczyma, gdy przypominał sobie jej pałające policzki i ostro obrysowane oczy. Te kuszące obrazy sprowadziły sen. Jej policzki i oczy. Błyszczące wargi obejmujące kęs jedzenia i szkarłatne paznokcie skazujące ślimaka na nieuchronną zagładę.

#### IV

Dochodzące z radia dźwięki Amazing Grace w wykonaniu beczących piszczałek uprzytomniły mu, że jest niedziela. Usiadł ostrożnie. Nie jest źle, choć z drugiej strony nie czuł się tak dobrze jak zwykle. Trudno zresztą było oczekiwać czegoś innego po tym, ile wypił poprzedniego wieczoru. Z zabawieniem myślał o minionej kolacji. Co go, do licha, opętało, że zorganizował tę eskapadę? Na szczęście przerwał ją w stosownym momencie i to go uratowało. Ale też ponownie dawało powód do niepokoju. Odrzucił okazję spotkania, z której inny mężczyzna chętnie by skorzystał. Tym postępkim, a właściwie brakiem jakiegokolwiek postępkim, potwierdził swój status zasługującego na szacunek starego kawalera, niemal skazanego na celibat, samotnika bez szans i nadziei. Wczorajszy incydent niepokoił go, nie dlatego że — jak sądził — pożądał tej kobiety, ale dlatego że musiał się uznać za godnego pożalowania. Gdyby pani Lydiard nie wyraziła wcześniej swej zawołowanej dezaprobaty, zaprosiłby dziewczynę do siebie. Nie dlatego, żeby pójść z nią do łóżka, ale żeby bliżej ją poznać. Obudziła w nim niemal zawodowe zain-



teresowanie. Dręczyły go wątpliwości. Katy nie była bynajmniej tak szczerą, za jaką chciała uchodzić. Czy to nie zastanawiające, że wozi ze sobą z kontynentu na kontynent w nylonowej taniej torbie kosztowny kostium z jedwabiu, jakby gotowa na spotkanie z przypadkowym nieznanym, choćby tak mało obiecującym jak on? Ale to jest zły trop — pomyślał, spiesząc do łazienki, by wziąć kąpiel. Najbardziej niepokojące było to, że przez cały miniony wieczór wcale się nie czuł jak fundator kolacji. Czuł się — uświadomił sobie teraz z pewnym zażenowaniem — jak młody mężczyzna, a w każdym razie jak ktoś, kto nie ma tylu lat co on. Katy musiała to dostrzec. Brał za dobrą monetę wszystkie jej aluzje, choćby najbardziej dwuznaczne. Ochoczo dał się wciągnąć w jakiś rodzaj flirtu, który tym tylko się różnił od ordynarnego zalecania, że był flirtem z prawdą — jakby się uparł koniecznie wydobyć z dziewczyny prawdę.

Ciągle jednak nie rozumiał własnego zachowania, częściowo motywowanego dobroduszością, a częściowo zaciekawieniem. Dziewczyna z pewnością rozbudziła w nim emocje i był jej za to wdzięczny. Powinien jednak być rozważniejszy niż wczoraj, w towarzystwie pani Lydiard, która — pożegnawszy się z nimi przed windą i w ten sposób demonstrując swą wyższość — odcięła się od ich podejrzanego związku. Musi pamiętać, że Katy Gibb nie została mu przysłana jako obiekt studiów, że dziewczyna ma swe własne życie, choćby tak puste, jak to podejrzewał. W końcu będzie musiała opuścić mieszkanie Dunlopów, bo trudno sobie wyobrazić, żeby mieszkała z nimi — i nigdy więcej jej nie zobaczy. Byłoby więc rozsądnie, a nawet wskazane, trzymać ją na dystans, traktować jak obcego, bo tak czy owak, jest i pozostanie dla niego obca. Powinien zachować *decorum* odpowiadające jego nienagannej pozycji życiowej.

Wstydział się wspomnienia, że coś innego mogło mu w ogóle przemknąć przez myśl, tym bardziej że po zastanowieniu uznał dziewczynę za jawnie prowokującą. Już to samo w sobie stanowiło powód do zmartwienia, choć z pewnością nie była to jego sprawa. Katy była młoda — no, może nie tak młoda — i miała poczucie, że się wyrwała na wolność. Wypiła trochę za dużo i zapewne uważała, że jej swoboda stanowi dowód wdzięczności za zaproszenie na dość skądinąd mdły wieczór. Jednocześnie jednak wyczuwał, że w jej duszy czaił się gniew, niezrozumiała, bezprzedmiotowa złość mogąca wybuchnąć pod byle pretekstem, bez względu na okoliczności, jakby pod wpływem skojarzeń powstających w jej umyśle, kompletnie niezrozumiałych dla otoczenia. Zastanawiał się, czy ona sama była pacjentką Howarda Singera i czy korzystała z jego terapii, a właściwie wielu metod terapeutycznych, z „pracy konfrontacyjnej”, jak ją nazywała. Choćby ten człowiek był kompletnym hochsztaplerem, z pewnością musiał dostrzec i umieć rozpoznać to niezwykle połączenie skrytości i agresji. Być może jej umysł był złożony i ciekawy, ale jeśli nawet, to poza tym był zamknięty, niekomunikatywny, nie dopuszczający do kontaktu i nie poddający się badaniu. To właśnie musiało go tak głęboko poruszyć, gdy zapadał w sen wczoraj wieczorem.

Pamiętał ostatni obraz, jaki pojawił się w jego świadomości poprzedniego dnia — wargi mocno zaciskające się na czymś lśniącym i bezbronnym. Obraz ten wywołał w nim przestach i nadal go przerażał. Teraz jednak rozumiał, że był to obraz wulgarnie zmysłowy. Na jego twarzy odmalowało się zakłopotanie, z którego nie zdawał sobie sprawy — uświadomił sobie bowiem, że znalazł się na krawędzi. Na krawędzi, której nie potrafił dostrzec, ale która wyznaczała granice akceptowalnego zachowania; ak-

ceptowalnego nie tylko społecznie, lecz przez jego wewnętrznego cenzora, któremu nigdy w życiu się nie sprzeciwił. Co prawda zrozumiał natychmiast, że to, co określa akceptowalnym zachowaniem, sprowadza się do godnej pożałowania ostrożności wobec innych, unikania ryzyka, odmawiania sobie prawa do skorzystania z okazji — takich na przykład jak ta, która pojawiła się wczoraj. Pojmował też ze zgrozą, że nigdy nie stanie się panem swej w gruncie rzeczy karłowatej przeszłości i równie karłowatej przyszłości, jeśli nie przekroczy tej granicy. W pewnym momencie będzie musiał stanąć przed rozstrzygającą decyzją — uznać, że taka granica istnieje, i ją przekroczyć. Stojąc na krawędzi, ruszy przed siebie i będzie się zachowywać tak, jakby nic go już nie powstrzymywało. Stanie się wolnym człowiekiem. Zrozumiał też, że pewne sytuacje i pewni ludzie stwarzają okazję do tej próby... Ale zachowanie jest w takim samym stopniu sprawą nawyku co zasad, a Bland był przekonany, że w jego wieku nawyków już się nie łamie. Był więc skazany na pozostanie tym, kim był zawsze. Co więcej, musiał być przezorny, a nawet czujny, jeśli miał pozostać tym, kim był dotąd, a przeczuwał, że tego właśnie pragnął. Gdyby było inaczej, to czy potrafiłby tak szybko dostrzec anomalie w swych reakcjach, czy wtedy to leciutkie okrucieństwo, na które pozwolił sobie podczas kolacji, dałoby mu owo poczucie wolności, natychmiast zgaszone przecuciem grożącego niebezpieczeństwa? Wniosek z tego płynął prosty: musi się trzymać z dala od krawędzi, bo w przeciwnym razie zrujnuje sobie resztę życia. Powinien się pogodzić z prawdą, że jest postacią niepozorną i nie umie zachować pewności siebie w dwuznacznych sytuacjach. Walczył o prawo do szacunku przez całe życie i nie miał zamiaru wystawiać go teraz na szwank. W miarę jak świt się rozjaśniał, myślał, że mężczyzna w jego wieku

mógłby się zabawiać z dziewczyną tak młodą, iż mogłaby być jego córką, wydała mu się groteskowa i niesmaczna. Wyrwał ją z korzeniami. Ale Katy musiała to zrozumieć przed nim. Stąd jej irytacja, że najpierw wydawał się dobrze bawić, a później schował się za maskę wyniosłej godności. Teraz musi — jak mawiają księża — unikać okazji do grzechu. Musi się ukryć za barykadą nawyków i przyzwyczajęń. Był tak zde gustowany swym wczorajszym popisem godnego pożałowania podrywacza, że uznał, iż dziewczyna zasługiwała na lepsze traktowanie, nawet jeśli sama też się siliła na odgrywanie jakiejś komedii. I choć przedtem czuł się przez nią zagrożony, teraz odwrotnie — zaczął się o nią niepokoić. W każdym razie — zdecydował — dla nich obojga będzie lepiej, jeśli będą się trzymali z dala od siebie.

Poszedł do kuchni i poczęstował się kilkoma torebkami herbaty z prywatnego zapasu pani Cor-doza. Przekonał się, że nie ma nic do jedzenia. Postanowił, że zrobi zakupy i coś ugotuje, i że ogólnie biorąc, będzie się zachowywać rozsądnie. Problem polegał jednak na tym, że obmierzło mu już takie zachowanie. Nie mógł ścierpieć myśli, że czeka go kolejny dzień bez żadnych zdarzeń, i myśl tę mógł zagłuszyć tylko jakimś gwałtownym działaniem. Z wielu powodów zdecydował się koniecznie wyjść z domu. Chwycił tweedowy kapelusz, który nosił tylko w niedzielę i tylko podczas przechadzki po parku, i ruszył w stronę drzwi. Instynkt nakazywał mu zamknąć je za sobą z trzaskiem, by obwieścić światu, że jest panem samego siebie i nie zrobił nic, czego musiałby się wstydzić lub z czego powinien się usprawiedliwiać. Uległ jednak innemu instynktowi, równie silnemu, i zamknął drzwi ostrożnie i jak najciszej, a następnie na palcach przeszedł obok drzwi Dunlopów. Dopiero na schodach zaczął iść normalnym krokiem. Znalazł eleganckie wytłuma-

czenie dla tego, co zrobił. Przede wszystkim dziewczyna prawdopodobnie ciągle jeszcze spała. Ponadto w interesie ich obojga leżało, by życie każdego z nich biegło swoją drogą. A w każdym razie coś takiego leżało w jego interesie. Gdy znalazł się na uspokajającej swą codziennością ulicy, z powracającym niepokojem ogarnął myślą zaprzatające jego umysł rozterki ostatnich chwil. Dość już tych spekulacji, które wywodzą go poza krąg dotychczasowego życia. Musi ich zaprzestać raz na zawsze.

Park otoczył go swą obojętnością. Ranek był wspaniały. Słońce migotało w kroplach rosy i okruchach miki. Poszedł w stronę rzeźby Piotrusia Pana. Patrzył, jak światło odbija się od powierzchni sadzawki, po której rozgorączkowane gęsi i kaczki prześcigały się, marszcząc powierzchnię wody, by schwycić pożywienie z rąk podnieconych dzieci. Obserwował tę scenę każdej niedzieli, zawsze wpadając w zachwyty. W oczach miał słońce i z trudem rozpoznawał otaczające go przedmioty. Dobrze jednak znał to miejsce i słysząc odgłos męskich kroków, był pewien, że mijają go ludzie w jasnych ubraniach, podobnie jak on opromienieni aureolą beztroski, stanowiącej nagrodę za mozolne życie. Ruszył na śniadanie w stronę South Kensington, gdzie miał do dyspozycji kilka otwartych o tej porze kawiarni. Myśl o smakołykach — choćby najdrobniejszych — wprowadziła go, jak zwykle, w dobry nastrój. Pogoda była piękna. Zbyt zachwycająca, by można mieć nadzieję, że jasność poranka potrwa długo. Postanowił więc cieszyć się wczesną porą, po której musi nastąpić ponure niedzielne popołudnie. Szedł równym, zwawym krokiem aż do wylotu Exhibition Road. I rzeczywiście, gdy znalazł się tam, niebo zasnuła srebrzysta mgiełka. Nadchodziły krótkie, zimowe dni. Marzenia o życiu w pełnym słońcu pozostaną nie spełnione, najwyżej uda mu się co

pewien czas wykraść jakąś jasną chwilę, tak jak teraz. Poza tym, o ile to możliwe, będzie się musiał pogodzić z mroczną egzystencją.

Popijając niespiesznie kawę, zastanawiał się, co ma robić dalej, czym sobie wypełnić czas.

Najpilniejszą sprawą było Boże Narodzenie. Wszyscy mają z tym problem. Jak zwykle posypią się zaproszenia, ale tym razem nie będzie mógł się uciec do zwykłych wykrętów, ponieważ wiadomo, że przeszedł na emeryturę i że mieszka sam. Będzie musiał wyjechać — zdecydował — ale myśl o podróży nie była już tak kusząca jak niegdyś, gdy miał do czego wrócić. Teraz ta perspektywa napawała go lękiem, jakby obawiał się, że przytrafi mu się coś strasznego, gdy będzie z dala od domu, bez pomocy; jakby czekała go śmierć, o której nikt się nigdy nie dowie. Coś jednak ze świętami trzeba będzie zrobić i lepiej zdecydować to od razu. Może Rzym albo Wiedeń — pomyślał. Oba miasta znał dobrze i wiedział, że znajdzie w nich wygodne hotele. Z ociąganiem zapłacił za kawę i grzanekę — jak gdyby wyjście z kawiarni oznaczało początek dalekiej podróży — i postanowił poszukać jakiegoś supermarketu. Kupował z roztargnieniem wyszukane specjały: ikrę z dorsza, karczochy i tłustą włoską kremówkę, nie mając pojęcia, przy jakiej okazji zamierza je zjeść. Następnie obciążony plastikową torbą ruszył północną stroną parku do domu.

W sąsiednim mieszkaniu panowała cisza. Podkraść się do swoich drzwi, otworzył je i zamknął bezszelestnie, rozpakował wiktuały w kuchni i umieścił je, gdzie trzeba. Zdał sobie sprawę, że ostatecznie nie kupił niczego odpowiedniego na lunch i znów będzie musiał wyjść. Znowu odegra pantomimę przed swoimi drzwiami, choć w gruncie rzeczy nie była to żadna pantomima, tylko zwykła ucieczka przed spotkaniem, przed zatrzymaniem w pół drogi. Z ulgą

opuścił budynek. Na ulicy oddychał swobodniej. Postanowił zjeść obiad w klubie i później zwiedzić jakąś galerię obrazów.

To były jego zwykle niedzielne zajęcia, jeśli nie wybrał się na jedną ze swych nostalgicznych podróży po przedmieściach. W każdym razie tak spędzał niedzielę, gdy czuł się zmęczony i przygnębiony. A teraz był zmęczony poprzednim wieczorem i przygnębiony powracającą myślą, że nie ma już Putnama. Takiego dnia jak ten mogliby razem zjeść lunch, zanimby każdy z nich odszedł do własnych zajęć, które potem omówiliby podczas poniedziałkowego lunchu. Tak spędzony najdłuższy dzień tygodnia miał w sobie jakiś cel. Choć zdarzało się, że rozmawiali ze sobą dopiero w następną niedzielę. Mimo zwłoki ich kontakt nie doznawał szwanku. Mogli się natknąć na siebie w pracy, gdy trzeba było uzgodnić jakąś premię lub specjalne uprawnienia, albo spotkać się przypadkiem. Wtedy nie zatrzymywali się nawet na chwilę, tylko pozdrawiali gestem dłoni. W każdym razie wszystko, co im się przytrafiło, stanowiło materiał do omówienia przy najbliższej sposobności i te komentarze pomagały jednemu i drugiemu. To, że Putnam z pewnością sceptycznie oceniłby wieczorną eskapadę Blanda, było teraz szczególnie przykre, tak przykre jak sam brak Putnama, choć to ostatnie uczucie wywołane zostało nagle specjalną okolicznością. Gdyby przyjaciel żył, nie pozwoliliby mu zrobić z siebie durnia. To sprawiało, że przywiązywał do jego miążdzących opinii tak ogromną wagę. Putnam był oczywiście matematykiem i o tym nie wolno zapominać, a w matematyce — jak powiedział Stendhal — nie ma hipokryzji, i to ją różni od większości innych zajęć naukowych. A mimo to, choć Putnam nie był skłonny do czułościowości, cenił i szanował rozwagę Blanda. Teraz brak przyjaciela dawał mu się bardzo we znaki.

Sztuka daje pocieszenie — przypomniał sobie Bland. W końcu po to istnieje. A w ostatnim czasie on zajmował się głównie pocieszaniem siebie lub przynajmniej szukał pocieszenia. Pogoda już się psuła i wyglądało na to, że w ciągu popołudnia ulice opustoszeją. Zaczęła go dręczyć myśl, że sztuka może się okazać bezsilna. Może nikomu nie pomaga? Organizm człowieka na krawędzi wyczerpania traci wrażliwość na smugi oleju na płótnie i ślepie na widok słów na papierze. Ale głównie zatracą zdolność widzenia obrazów, gdyż — jak podejrzewał — zamalowane płótno staje się wtedy symbolem próżności. Czego więc miał się uchwycić? Religia była przed nim zamknięta, pociągała go w niej najwyżej jakaś skromna wiara w coś dobrego. Postanowił zatem, że postara się doszczętnie wypełnić świadomość obrazami, przechować w pamięci tak wiele szczegółów, ile tylko zdoła zapamiętać. Już wcześniej spostrzegł, że jego pamięć najlepiej przechowuje obrazy, i wiązał to z darem szczególnej spostrzegawczości. Z pewnością byłby szczęśliwy, gdyby umiał wiernie odtworzyć fragment pejzażu Rubensa albo wazon z kwiatami Odilona Redona. W każdym razie byłoby to najwyższe szczęście, do jakiego jest zdolny ze względu na swój raczej melancholijny temperament. Cały jednak ten plan wydał się mu dość wydumany, jakby był czymś w rodzaju przygotowania na śmierć, a może w istocie nie był niczym innym. Może śmierć czyhała na niego za rogiem? Podejmował te swoje niedzielne spacerunki z ciężkim sercem, czując się jak jakiś nędzarz, który przyszedłszy do banku, dowiaduje się, że wyczerpał konto. Gdy znalazł się w Akademii Królewskiej, opuściły go wątpliwości i czarne myśli. Z radością spostrzegł, że trafiła mu się nie lada gratka, której zupełnie się nie spodziewał — wystawiano prace Sickerta. Po kilku minutach w pierwszej sali uległ atmosferze



dowcipu i szyderstwa, olśniony śmiałością wyrazu i specyficzną nastrojowością. Przechodził z sali do sali, zapominając o upływie czasu, zafascynowany światem pijackich scen, rozgrywających się w świetle gazowych lamp. Mężczyźni w źle skrojonych frakach wyśpiewywali wulgarne piosenki przerywane czkawką. Zęby im lśniły, gestykulujące dłonie pozostawiały za sobą różową smugę w powietrzu. Skromni, lecz szanujący się biedacy w melonikach wyciągali szyje z najwyższego balkonu, by uchwycić grymas oddalonego artysty na scenie. Oglądał plac Świętego Marka pod seledynowym weneckim niebem, Dieppe o kredowym odbłasku, odtworzone grubymi pociągnięciami pędzla w odcieniu lilaróż. Uśmiechał się razem z innymi widzami w galerii na widok kloc-kowatych *Panien Tillera*, które wywołane przed kurtynę, kłaniały się w smugach karminu i błękitu. Zdał sobie sprawę, że sztuka nie zawsze jest uroczysta, a nawet — co za heretycka myśl — może go bawić. Być może wszyscy artyści, także ci najbardziej wzniośli, pracowali w gruncie rzeczy dla przemysłu rozrywkowego. Obiecał sobie, że wróci do tej myśli.

Te odmładzające refleksje zaczęły drażnić jego świadomość, gdy po raz drugi przechodził przez ciąg sal wystawowych. Wtedy też rzuciły mu się w oczy dwa płótna, wzbudzając nagle ból i tęsknotę za pierwszym domem, przywołując wspomnienia spędzonego w biedzie dzieciństwa. Jedno z nich przedstawiało witrynę sklepu „Dawson i Bracia” z białymi kapeluszami, które wydawały się unosić w powietrzu jak stado rybitw. Na drugim stacja metra z napisem „Whitleys” pośrodku pokazana była od frontu, bez żadnej perspektywy, w płaski, przygniatający sposób. Proste sceny, odtworzone bez komentarza. Ten człowiek kochał miasta — uznał Bland — nawet ich najbardziej niepozorne widoki. Nie tylko Wenecję, ale również Whitleys. Jakby dając się zwieść przy-

ćmionemu światłu w galerii, poczuł się nagle jak chłopiec, który dostał nowe długie spodnie i ucieka przed gderaniem skłóconych rodziców, rozleniwionych niedzielnym popołudniem. Wychodzi na ulicę niepewien swych zamiarów, ale poza domem znajduje spokój — tak jak on dzisiejszego ranka — gapi się na wystawy i cieszy każdą chwilą, dopóki nie nadejdzie pora powrotu. W istocie to uczucie nigdy go nie opuściło. W katalogu znalazł tytuł następnego obrazu: *Kilka słów*. Trawiony niecierpliwością mężczyzna zmyśla jakiś wykręt, żeby uciec do pubu. To wykapany ojciec. Tylko że ojciec był wymuskany, bardziej jowialny i nie silił się na wykręty. Za to do perfekcji opanował sztukę upijania się i udawania przy tym trzeźwego. Matka miała na imię Dorothy, ojciec Clive. Te imiona pasowały do nich doskonale. Bland skierował się w stronę wyjścia, czując, że opuszczają go siły. Po drodze zatrzymał się, by spojrzeć uważnie na cień skrzypka grającego we francuskiej kawiarni ponad głowami kilku pań, nachylających się ku sobie tak, że niemal dotykały się kapeluszami. Obraz nosił tytuł: *O Nuit d'Amour*. To musi być tytuł melodii — domyślił się Bland — i natychmiast przed oczami stanęły mu wydarzenia poprzedniego wieczoru i dzisiejszego ranka. Znów odechciało mu się wracać do domu.

Lekko potykał się w zapadającym zmierzchu. Zdał sobie sprawę, że był poza domem cały dzień i większość tego czasu na nogach. Musiał koniecznie wypić filiżankę herbaty. Właściwie nie miał już nic do roboty i mógł wracać. Przechodząc koło Ritza, na rogu dziwnie bezludnej ulicy dostrzegł przejeżdżającą taksówkę. Zatrzymała się z piskiem. Znów wrócił do katalogu, nie mogąc się rozstać z tymi obrazami miejskiego życia. Ten dziwak artysta żył we własnym świecie — skonstatował pełen podziwu. Niedzielną ciemność zamykała go w coraz ciaśniej szej klatce

smutku. Bolały go łydki. Ledwie się wygramolił z taksówki, gdy stanęli przed jego domem. W kilku oknach paliły się światła, ale większość była jeszcze ciemna. Dostrzegł światło w mieszkaniu Dunlopów i przypomniał sobie, że musi być ostrożny. Był jednak zbyt zmęczony, by przejmować się myślami, które dręczyły go do rana. Wszedł do budynku i z przyjemnością stwierdził, że w holu nie ma nikogo i że jest ciepło. Nieco się obawiał, że może wpaść w zasadzkę zastawioną przez panią Lydiard albo, co bardziej prawdopodobne, przez Kąty Gibb. Nie pojmował, dlaczego ci ludzie sądzili, że mogą mu się naprzykrzać, a był pewien, że obie panie uznały, iż mają do niego nieograniczony dostęp. Nagle zapragnął nigdy ich więcej nie spotkać, nie mieć z nikim do czynienia. Chciał zostać sam, czytać, oglądać obrazy, zżyć się ze swoją samotnością, znaleźć w niej jakąś przyjemność, a przede wszystkim uwolnić się od rozbieżnych żądań sumienia i popędu. Jego namiętności, choć ich intensywność zmieniała się w ostatnich latach, nigdy nie wygasły. Tak silne pragnienia są nietypowe dla człowieka z końca dwudziestego wieku — pomyślał. Mówi się, że popęd jest nieograniczony, lecz to twierdzenie uważał za bardzo wątpliwe.

Czuł się młodo jak na swój wiek, szczególnie teraz, gdy odżyły w nim wspomnienia niedzielnych przechadzek z okresu dorastania, przywołane z całą wyrazistością przez obrazy, które właśnie obejrzał z takim przejęciem. *Ennui*, najslynniejsze dzieło na wystawie, najlepiej oddawało stan jego ducha sprzed lat. Czuł się wtedy tak samotny, tak nie przygotowany na spotkanie ze światem. Nawet przyjaźń stawiała żądania, którym wówczas nie potrafił sprostać. W domu byli kłótlivi rodzice, a on nie miał pewności, czy ich kocha, czy nie. To była tortura. Gdy zaczął pracować po roku studiów na uniwersytecie, zdu-

miała go liczba osób gotowych obdarzyć go przyjaźnią w takiej lub innej formie. Dopiero z czasem zrozumiał, że była to zwykła życzliwość, która zadziwiała go tylko dlatego, iż zakładał, że nikt nie zechce okazać mu ciepłych uczuć. Zaczął nabierać wiary w siebie, ale w tym samym czasie stan matki znacznie się pogorszył i zamiast iść na koncert, wykład czy do biblioteki, pędził do domu, by się nią zająć. Niespodziana śmierć ojca, spowodowana atakiem serca na wyścigach, po tym gdy jak zwykle przegrał pieniądze, załamała matkę nieporównanie silniej, niż którekolwiek z nich mogłoby się spodziewać. Po latach swarów matka pojęła, że nie potrafi żyć bez męża, i w związku z tym całkowicie się zaniedbała. Robiła to z przesadą, wprost prowokacyjnie, i George znów odczuwał do niej niemal odrazę. Ale był cierpliwy i lojalny. Miał przynajmniej te zalety. Jednakże lojalność i cierpliwość, rozwijane we wczesnym okresie życia charakteryzującym się spontanicznością i ekscytacją, zahamowały rozkwit jego żywotnych instynktów, wzbudzając w nim raczej przywiązanie niż miłość i przemieniając strach przed nieznanym w dominujące uczucie.

— Przepraszam pana uprzejmie — powiedział Hipwood konfidencyjnym tonem, wychylając się zza swojej lady. — Czy mogę zamienić z panem dwa słowa?

Bland niechętnie zawrócił, choć już prawie wsiadał do wina. Dziś nie miał ochoty na wspinanie się po schodach.

— Co mogę dla pana zrobić, panie Hipwood? Bland zwracał się do portiera po nazwisku, on do Blanda nigdy, co świadczyło o dzielącej ich różnicy społecznej. Hipwood nosił granatowy mundur i krótko przystrzyżone wąsy, niewyraźnie sugerujące, że w przeszłości mógł mieć do czynienia z wojskiem, chociaż z pewnością nie bezpośrednio. Teraz był

zwierzchnikiem całej sieci sprzątaczek, chłopców do mycia samochodów, gazeciarzy i rozmaitych innych pracowników pomocniczych. Nic więc dziwnego, że zależała od niego większość lokatorów i z rezygnacją znosiła ten los. W pewnym sensie dysponował władzą, przekazując administracji budynku więcej informacji, niż było to jego obowiązkiem. Bland podejrzewał, że pani Cordozo, jedna z protegowanych Hipwooda, donosiła mu

o wszystkim, co jej się udało ustalić na temat przyzwyczajzeń i wydatków lokatorów — ile kto pije, ile jej płaci, ilu przyjmuje gości itd. Choć z drugiej strony te informacje mogły nie przedstawiać specjalnej wartości, biorąc pod uwagę dziwny akcent i nagłe wybuchy humorów u tej skądinąd dobrodusznej kobiety. Bland nie lubił Hipwooda, który wydzielał ostrą woń jakiejś maści i jeszcze mocniejszy zapach cukierków miętowych, ssanych w przerwach między chwilami ostentacyjnego zapracowania.

— Wydaje się, że mamy kogoś obcego w budynku.

— Doprawdy? — zapytał Bland. Kiedy indziej ten temat mógłby go zainteresować, teraz jednak myślał tylko o tym, żeby wypić filiżankę herbaty.

— To młoda kobieta.

— Aha, rozumiem.

— Weszła wczoraj rano, gdy miałem coś do zrobienia na zapleczu. Pewnie sądziła, że jej nie widzę, ale ja widziałem. Nic jednak nie powiedziałem. Rzecz w tym, że ona dotąd nie wyszła. Gdzie może być?

— Chyba mogę to wyjaśnić, panie Hipwood...

— To sprowadza na mnie dodatkowe obciążenia, które wykraczają poza moje obowiązki, proszę pana. Ludzie mają do mnie zaufanie. Polegają na mnie. Nie mogę ich zawieść, prawda?

Bland słuchał tych utyskiwań wielokrotnie, zwykle

przed Bożym Narodzeniem, kiedy to Hipwood deklarował swoje oddanie i lojalność każdemu, kto się znalazł w zasięgu jego głosu.

— To panna Gibb, przyjaciółka Dunlopów. Zatrzymała się w ich mieszkaniu na czas ich nieobecności. Ręczę za jej uczciwość, panie Hipwood. Co więcej, gdyby miał pan służbę wczoraj wieczorem, spostrzegłby pan zapewne, że pani Lydiard i ja wzięliśmy ją na kolację.

Wspomnienie pani Lydiard nieco uspokoiło Hipwooda, ale nie na długo.

— Ja jej dzisiaj nie widziałem. Powinna zejść na dół i się przedstawić. Przecież tak zrobiłaby większość ludzi.

...I przy okazji zostawiliby napiwek w podziękę za nieustanną czujność — dodał w myśli Bland. Ale takie zachowanie nie mieściło się oczywiście w pojęciach Katy Gibb. Ona z pewnością zachowałaby się jak wyniosła księżniczka wobec zadomowionego sługi, na co by sobie nigdy nie pozwolili pozostali mieszkańcy budynku.

— Ponadto pan Dunlop nic mi nie mówił przed odjazdem — kontynuował Hipwood — a to dziwne, bo to niezwykle skrupulatny człowiek, jeśli chodzi o swoje sprawy.

Miało to znaczyć, że Tim Dunlop był sknerą i pedantem.

— Zdaje się, że uzgodnili to w Ameryce. Spotkali się w Nowym Jorku i tam pani Dunlop zaprosiła pannę Gibb do siebie.

Dobrze wiedział, że nie wszystko było tak proste, jak to przedstawiał, ani tak niewątpliwe, jednakże wobec nieustępliwości Hipwooda i swego krańcowego wyczerpania postanowił nagle konsekwentnie trzymać stronę Katy.

— Ale to wielka odpowiedzialność, proszę pana. Proszę się postawić w mojej sytuacji. W zeszłym

miesiącu były kłopoty. Przebywał tu inny obcy człowiek.

Każdy, kogo Hipwood nie znał osobiście, stawał się „obcym człowiekiem”. Bland słyszał o poprzednim incydencie już kilka razy. Wyjął portfel, wyciągnął z niego dwa dziesięciofuntowe banknoty i wręczył je portierowi.

— Jestem pewien, że to pokryje pańskie dodatkowe obciążenia — powiedział. — I oczywiście powiadomię pana, jeśli dowiem się czegoś nowego od Dunlopów.

To ostatnie zdanie sprytnie sugerowało, że był z nimi w kontakcie. Sam się zdziwił swej przebiegłości, ale teraz najważniejszą sprawą było uciszyć Hipwooda i przerwać jego skargi. Zrobił to zbyt pospiesznie, bez zastanowienia. Czy ta sprawa w ogóle go dotyczyła? Czy wypadało go uciszyć w ten sposób? To było prymitywne, lecz skuteczne zagranie. Hipwood się uspokoił i szybko wrócił za swój kontuar.

Dopiero u siebie w mieszkaniu, po chwili namysłu, Bland zdał sobie sprawę, że zrobił monumentalne głupstwo. Ta dziwna hojność musiała wprawić portiera w osłupienie i skłonić do pochopnych wniosków. Bez wątpienia, gdy tylko Dunlopowie się pojawią, Hipwood natychmiast weźmie ich na stronę, jeszcze zanim zdążą postawić na podłodze swoje walizki. Wtedy Bland będzie musiał dostarczyć nowych wyjaśnień w obronie osoby, która w szczególny sposób sama ich skąpiła na swój temat. Pospiesznie wlał wrzącą wodę do dzbanka z herbatą, rozchlapując jej część i parząc się przy okazji. Jednocześnie usłyszał dzwonek u drzwi i serce w nim zamarło. Przez chwilę miał wrażenie, że jeśli nie zdąży wypić herbaty przed otwarciem drzwi, umrze z wyczerpania.

Katy miała na sobie dzinsy i podkoszulek i, jak

spostrzegł, obie części garderoby były niezupełnie czyste. Ani śladu zalotności z poprzedniego wieczoru. Księżniczka znów się przeistoczyła w podkuchenną, a przynajmniej w pochmurną istotę, pół kobietę, pół dziewczynę, taką jaką widział przy pierwszym spotkaniu. Ta zmiana go zaciekawiła. Doszedł do wniosku, że dziewczyna staje się flejtuchem, jeśli nikt na nią nie patrzy, i to go uspokoiło z powodów, których przy swym zmęczeniu nie potrafił zidentyfikować. Nadal jednak zachowywała się w sposób pański, niemal władczy. Weszła do środka jak do siebie. Poruszała się pewnym, niedbałym krokiem, rozglądając się, jak gdyby chciała zlustrować wyposażenie mieszkania. Po chwili dała za wygraną, jakby ogarnięta nagle zmęczeniem lub obojętnością. Bland bezwiednie pomyślał o kobiecie, do której się kiedyś bez większego zapędu zalecał. Edwina Sutton okazywała pogardę wszystkiemu i wszystkim. Jego matka określiła ją lapidarnie: „Ani bystra, ani zabawna”. Matka używała tego zwrotu wobec każdego, kogo nie lubiła, czyli w praktyce wobec niemal każdego, kto był na tyle niewybredny, by złożyć jej wizytę. Bland zapamiętał to wyrażenie. Gdy Edwina Sutton przyszła do jego domu przy Baker Street, zdjęła z półki kilka cennych książek i natychmiast je odłożyła, uznał bez wahania, że stanowią niedobraną parę. Kiedy ją potem spotkał, pozdrowił serdecznie i z przejęciem zaczął się rozwodzić o tym, ile ma pracy. To dziewczyny nie zwiodło, ale była zbyt bezwolna, by mu zaprzeczyć.

Katy nie była bezwolna, tylko podobnie jak on nie miała zajęcia. Puste dni nie mobilizowały jej do jakiegokolwiek działania, nie wywoływały nerwowości, jak to bywa u innych ludzi. Będzie czekała, aż samo pojawi się coś, co ją zaabsorbuje. Gdyby było inaczej, z pewnością nie czekałaby na niego przez cały dzień. Jej wizyta nie wróżyła nic dobrego,



zwłaszcza po tym napiwku wręczonym Hipwoodowi. Poza tym nic w niej nie przyciągało dziś jego uwagi, jeśli pominąć tę pewność siebie. W znoszonym ubraniu czuła się swobodnie i zachowywała tak, jakby była zła, jakby ją w jakiś sposób zawiódł. Nie odezwała się pierwsza, najwyraźniej oczekując, żeby to on się wytłumaczył, wyjaśnił swą nieobecność. Znow była boso. Spostrzegł, że ma teraz pomalowane paznokcie u nóg. Ten jedyny dowód na to, że coś jednak w ciągu dnia robiła, nie sprawiał dobrego wrażenia, był raczej żalospny niż drażniący. Chyba ponownie umyła włosy, bo lekko pachniały cytryną. Myśl o tym, jak puste musiało być jej popołudnie, wywołała w nim głębokie przygnębienie. Przede wszystkim pragnął, by sobie poszła. To pragnienie owładnęło nim bez reszty. „Królowa nocnego klubu” — przypomniał sobie inne pogardliwe określenie matki i natychmiast stanął mu przed oczami nocny klub w blasku dnia: światła pogaszone, sala się wietrzy, pracownicy sprzątaję. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ten obraz narzucił mu się z taką siłą. Ocknął się wreszcie i skupił na terażniejszości. Odczuwał krańcowe zmęczenie.

— Jak się masz? — spytał, starając się nadać swemu głosowi przyjazne brzmienie. Z niesmakiem spostrzegł jednak, że mówi głosem swojego ojca.

— Myślałam, że do mnie zajrzysz, żeby zobaczyć, jak sobie radzę.

Powiedziała to bez zalotnego uśmiechu, którym go obdarzała minionej nocy.

— Dzwoniłam do ciebie wcześniej, ale nikt się nie odzywał.

— Nie było mnie przez cały dzień — odparł. — Poszedłem do Akademii Królewskiej zobaczyć wystawę — dodał tonem usprawiedliwienia.

— Szkoda, że mi nie wspomniałeś. Poszłabym z tobą. Kocham sztukę.

Zauważył, że nie mówiła o sztuce przez duże „S”. Napomknęła o niej z jakimś dziwnym rozdrażnieniem, jakby przypisywała jej znacznie niższy status niż swoim pozostałym zajęciom. Znowu wydawała się zagniewana, i to on był przyczyną jej złego humoru lub przynajmniej jego obiektem. Chociaż ten problem mógł mieć głębsze podłoże — przemknęło mu przez myśl — i dłuższą historię. Dostrzegł w tym coś pociągającego. Może za tymi dąsami kryje się jakiś sekret i jemu przypadnie przyjemne zadanie rozwiązania zagadki. Odczuł dreszcz prawdziwego zaciekawienia. Przypomniały mu się dawne dni, gdy do jego obowiązków należała ocena ludzi proponowanych do awansu lub ubiegających się o przeniesienie. Badał ich zawsze dyskretnie i taktownie, ale to, co ustalił, miało moc prawa. Może gdyby poddał tę dziewczynę umiejętnemu badaniu — pomyślał — udałoby mu się jakoś zaspokoić jej nie wyrażane, lecz nieustanne żądania, którymi go atakowała, mącąc spokój jego umysłu.

— Właśnie zrobiłem herbatę — rzekł. — Nie napiłabyś się ze mną? Chyba że już piłaś. Trochę się opóźniłem.

— Może być herbata.

Gdy wrócił z kuchni, niosąc filiżanki na tacy, siedziała na kanapie z ramionami rozrzuconymi wzdłuż krawędzi oparcia. Jej prawa kostka spoczywała na lewym kolanie. Ponownie spostrzegł, że ma piękne stopy.

— A ty co robiłaś przez cały dzień? — odezwał się pogodnie, podając jej herbatę.

Odkleiła jedno ramię od oparcia i przyjęła filiżankę.

— Większość dnia przespałam. Odczuwam jeszcze różnicę czasu. Za wcześnie się położyłam wczoraj po kolacji. To był błąd. Nie powinieneś był pozwolić mi zasnąć.

— Owszem, ciebie rozpierała energia, ale dla mnie

to już była późna pora. I dla pani Lydiard też. My nie jesteśmy tak młodzi jak ty.

Znów wyczuł w swym głosie niesmaczną jowialność. Nienawidził tej przymilności. Chciał uciec i zostać sam. Z chęcią odebrałby jej nawet tę filiżankę herbaty, gdyż nadal odczuwał pragnienie.

— Tak sobie właśnie pomyślałam — powiedziała Katy i popadła w zadumę.

Na szczęście zadzwonił telefon. Spojrzał na zegarek. Było wpół do siódmej. O tej porze zwykle dzwonił do Louise. Usłyszał jej głos w słuchawce. Senne pytanie: „George?” sprawiło mu ulgę i prawdziwą przyjemność.

— Jedna myśl łączy nasze umysły. Zamierzałem właśnie dzwonić do ciebie.

Lubił w rozmowie w Louise używać wyświechtanych frazesów.

— Chciałam cię poinformować, że będę jutro w Londynie. Zatrzymam się na noc u Philipa i Sary i chyba zrobię świąteczne zakupy.

— Doskonale. Kiedy się spotkamy? Zjesz ze mną lunch? Tak będzie najlepiej. Przyjedź tutaj prosto z Waterloo. Wypijemy kawę i zdecydujemy, co zrobić z popołudniem.

— Świetny pomysł — zgodziła się Louise. — I może poszukamy czegoś dla dzieci w Selfridges, jeśli masz czas.

— Louise, bardzo bym chciał, żebyś zobaczyła wystawę Sickerta. Zakupy możesz zrobić w Lymington.

— Kłopot polega na tym, że one zażyczyły sobie gier elektronicznych.

— Przypuszczam, że Philip cię w tym wyręczy.

— No właśnie, czy to nie śmieszne? On mówi, że ma ich w pracy powyżej dziurek od nosa, i nie chce w domu rozmawiać na ten temat. Dlatego to jest problem. Bo wiesz, mają już rowery...

— Louise, muszę kończyć. Mam gościa. Zobaczymy się jutro.

— Dobrze, kochanie.

Jak zwykle wzruszyła go jej czułość. Była taka uległa i zgodna. W takich właśnie momentach najlepiej rozumiał, dlaczego o mało się z nią nie ożenił i dlaczego ostatecznie postanowił tego nie zrobić. Bo właściwie nie musiał tego robić. W ich związku nigdy nie było poczucia, że należy podjąć decyzję, nawet wtedy gdy się poznali. Byli jak dwa okazy jakiegoś wymierającego gatunku, szukające u siebie wzajem ochrony przed zagładą. Jakieś resztki tego uczucia tliły się w nim po latach.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się w stronę kanapy, z której Katy Gibb spokojnie go obserwowała.

— Jutro też będę cały dzień zajęty — oznajmił tonem tej samej okropnej jowialności. Nie umiał się od niej uwolnić.

— Czyli znowu cię nie będzie — zauważyła. — Szkoda. Ale trudno. Zadzwońię do Moiry. Masz jej telefon?

Zapisał jej numer telefonu i patrzył, jak wsuwa kartkę papieru do kieszeni zdecydowanie opiętych dżinsów.

— No właśnie... — zaczął.

— Chcesz, żebym sobie poszła — powiedziała bez ogródek. Brzmiało to dość obcesowo, lecz uwaga była trafna. — Myślałam, że sobie pogadamy. Omówimy moje plany i tak dalej. Ale niech będzie. Może następnym razem.

Po złożeniu tej interesującej propozycji podniosła się z kanapy, machnęła ręką i ruszyła w stronę drzwi.

— Plany? To bardzo ciekawe. Musisz mi o nich opowiedzieć.

Lecz ona tylko raz jeszcze machnęła ręką i wyszła. Było coś nieodwołalnego w tym odejściu. Czuł się, jakby to jego wyrzucono z domu.

Całe to spotkanie nie miało sensu. Katy chciała zrobić wrażenie, że go potrzebuje i chce z nim w jakiś sposób współdziałać, że zamierza mu wyjawiać jakieś informacje o sobie, by skłonić go do zaakceptowania planów, które mu przedstawi. Ale co to za plany? Czemu jej o nie nie wypytał? Na razie właściwie nic o niej nie wiedział. Napomknęła wprawdzie mgliście, że zamierza założyć własną firmę, ale jaką, nie powiedziała. Jego zdaniem Katy pozbawiona była jakichkolwiek kwalifikacji, a poza tym cały świat biznesu dławiała recesja, którą już niektórzy zaczęli nazywać kryzysem. Kto więc wyłoży pieniądze na wątpliwe przedsięwzięcie oparte na jakimś hochsztaplerskim pomysle z Kalifornii rodem? A ona sama z pewnością nie ma kapitału. Gdyby nawet udało jej się znaleźć naiwnych z pieniędzmi, cały ten pomysł nie miał podstaw, wisiał w powietrzu. Przecież trzeba mieć jakieś pomieszczenie, zatrudnić personel. Pokręcił głową. Nawet najbardziej hojni sponsorzy nic tu nie wskórają.

To po prostu nonsens — zdecydował, kładąc się do łóżka. Nie będzie żadnych sponsorów i żadnych pieniędzy. Powinien był to zrozumieć od razu. Ona sama jest bez grosza — zdążył to już zauważyć w trakcie ich krótkiej znajomości. Jej obecność w mieszkaniu Dunlopów też się nie daje niczym usprawiedliwić i może doprowadzić do kłopotów. Właściwie już doprowadziła. Na wspomnienie dwudziestu funtów wsuniętych Hipwoodowi w rękę zaklął pod nosem. Co ona ma z nim wspólnego? Jemu potrzebna jest swoboda, aby mógł spokojnie cieszyć się resztką życia, jaka mu została. Marzył o tym jeszcze wtedy, gdy był młodym człowiekiem, młodszym niż ona teraz. Ale natychmiast zdał sobie sprawę, jak okropnie musi się czuć ktoś schwytyany w sidła i spętany. Pomyślał, że ta dziewczyna — ponieważ ciągle wydawało mu się, że Katy jest bardziej

dziewczyną niż kobietą — prawdopodobnie próbuje wyrwać się z więzów, jakie ze zdumiewającą jasnością podsuwała mu ciągle pamięć. Młodych ludzi nie wolno powściągać. To rzutuje na ich całe późniejsze życie. Nagle zrobiło mu się jej żal. Porzucona w czyimś mieszkaniu, czuje się jak w więzieniu i nie ma dokąd pójść.

W stosunku do siebie odczuwał tylko smutek. Smutek, który osaczył go jak zmrok zwiastujący nadejście nocy. Gdyby tak mógł być młodym, zacząć od nowa! Tym razem byłby zupełnie kimś innym — człowiekiem samolubnym i nieustępliwym. Za dobre maniere płaci się zbyt wysoką cenę. Jego obecna wolność była właściwie złudzeniem wywołanym przez pełne godności odejście na emeryturę. To nie była wolność, tylko jakieś jej blade odbicie. Prawdziwa wolność to rączę stopy i gorące serce. Teraz jest za późno, aby czuć rozgoryczenie. Rozgoryczenie zamieniło się w smutek. Czuł ucisk w sercu i obawiał się, że zaraz wybuchnie płaczem. Bez Putnama i bez biura był zagubiony. Nikt nie przywracał mu poczucia godności. Życie stawało się mordegą. Przygnieciony tą myślą, leżał z otwartymi oczami przez ponad pół nocy. Przestał już myśleć o tym, co mu zostało z życia, i poddał się pragnieniu zmiany, które przesłoniło i stłumiło wszystkie inne dążenia — te, które wyleciały mu już z pamięci, i te, które nadal rozpałały wyobraźnię. Tak musiał się czuć święty Antoni na pustyni. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru miały jakieś niepojęte znaczenie. Odniósł wrażenie, że stanowiły punkt zwrotny, którego prawdziwy sens zostanie mu objawiony dopiero wówczas, gdy jego czas się wypełni.

## V

Halloa! — zawołała pani Cordozo od drzwi wejściowych. Było to jej zwykłe pozdrowienie.

— Dzień dobry — odpowiedział Bland i poszedł do kuchni zrobić jej kawę. Czyli na tym polega emerytura — pomyślał. Z tą pijesz herbatę, z tamtą kawę, ale żadnej sobie nie wybierasz.

Pani Cordozo była pogodną, choć hałaśliwą niewiastą. Starał się być przy niej równie pogodny, nie słyszeć jej niespodzianych popisów śpiewaczych i nie dostrzegać karczemnego stylu, w jakim wywiązywała się ze swych znikomych obowiązków. Często zapewniała go o swej lojalności, a on czuł się od niej bardziej zależny, niż potrafił to pogodnie ścierpieć, choć robiąc dobrą minę do złej gry, zapraszał ją na półgodzinną pogawędkę przy kawie. Słuchał wtedy bardzo nieuważnie tego, co mu opowiadała, bo pani Cordozo wielokrotnie relacjonowała te same wydarzenia. Próbował jednak skupić się na tym, co mówiła, jeśli trafiało się jakieś nowe zdanie.

Jej mąż był portierem w szpitalu, rzekomo stale zagrożonym utratą pracy. Przyczyny tego zagrożenia pozostawały okryte tajemnicą. Bland słyszał wiele razy o intrygach na oddziale i usiłował je zrozumieć.

Niestety bez powodzenia. Raz lub dwa razy spotkał pana Cordozo, gdy przyjechał po żonę. Wywarł na nim wrażenie przyzwoitego i rozsądnego człowieka, w każdym razie bardziej układnego niż jego rozhukana połowica. Bland zaproponował, że się za nim wstawi, jeśli osobista rekomendacja może odnieść pożądany skutek, ale pani Cordozo odrzuciła tę propozycję bez namysłu. Nie dlatego — jak zapewniła — że nie wierzyła w skuteczność jego poparcia, ale dlatego że jej mąż nie był wart zachodu. To beznadziejny przypadek — wyjaśniła — dla którego nie opłaca się tracić czasu; to samo dotyczyło prawie wszystkich mężczyzn. Jej stosunek do Blanda, którego uważała za bogatego maminsynka, jak zresztą większość Anglików, był mieszaniną lekceważenia i niedowierzania. Bland pogodził się z tym. Tym bardziej że swą pogardę rezerwowała głównie dla męża, do którego wybryków robiła co jakiś czas aluzję. Kawa kończyła się wybuchami śmiechu — zawsze takimi samymi — po czym pani Cordozo łaskawie wstawiała zza stołu, odkręcała kurki od zimnej i ciepłej wody oraz nastawiała radio. To oznaczało, że już pracuje. Wzruszony jej ociężałością i czując się za nią odpowiedzialny, Bland przesadzał w trosce o jej dobre samopoczucie. Uważał, że byłoby niegrzecznie zostawić ją samą w domu, gdy sprząta, chociaż jej hałaśliwość przeganiała go z pokoju od pokoju. Takiego dnia jak ten chwycił się krzyżówki w „Timesie” i zmuszał do jej rozwiązywania mimo wszystkich przeszkód. Pocięszał się myślą, że dyscyplina jest dobra dla duszy i umysłu.

Dziś był dzień spotkania z Louise, więc ubrał się lepiej niż zwykle, w szary garnitur. Dbał o swój wygląd nie mniej niż Louise. Oboje nosili się teraz elegancko, chociaż początki były dość skromne. Ale od kiedy poznali się w Reading, zawsze jej schludność sprawiała mu radość. Lubił jej bluzki i plisowane



spódnice. Uważał, że ubiera się jak grzeczna dziewczynka, a on, będąc przedstawicielem swojej generacji z wyostrowionym poczuciem przynależności do klasy społecznej, uznawał grzeczność za cnotę. Jedynymi przejawami kokieterii u Louise były lśniące włosy i słodki zapach pudru, nasuwający myśl, że właśnie wyszła z ciepłej łazienki. Spotkali się po raz pierwszy, gdy mieli po osiemnaście lat. On był początkującym studentem, ona urzędniczką w lokalnym oddziale Banku Lloyda. Pozwalając sobie na niezwykłą śmiałość, zaproponował jej któregoś dnia randkę. Przyjęła propozycję z niezmaconym spokojem, co dodało mu odwagi. Nie wydawała się ani przestraszona, ani zaintrygowana tą propozycją i dzięki temu poczuł się pewniej. Udało mu się opanować nerwowość, której nie chciał ujawniać.

Mieszkała z matką tak jak on i jej życie było lustrzanym odbiciem jego losu. Na swą pierwszą randkę poszli do kina i zachowywali się całkiem poprawnie. Później odkryli, że spacer w niedzielne popołudnie jest o wiele przyjemniejszy. Jej życie stanowiło dla niego otwartą książkę; jego było równie czytelne dla niej. Bardzo wczesnie pomyślał, że chciałby się z nią ożenić. Ale był przywiązany do swej matki, której stan gwałtownie się pogarszał. Początkowo była to jakaś ogólna zapaść, bez konkretnych symptomów, charakteryzująca się sakrazmem i odmową robienia czegokolwiek, w czym mógł ją wyręczyć syn. Czasem myślał, że matka symulowała osłabienie, i nigdy nie wyzbył się tego podejrzenia. Był zbyt młody i zbyt niedoświadczony, by dostrzec oznaki prawdziwej choroby. Z zażenowaniem wspominał swą nieudolną gościnność. Kiedyś postanowił zaprosić Louise na herbatę, pewien, że jej nienaganne maniery zapewniają bezpieczeństwo im obojgu. Było to niedzielne popołudnie, gdyż od jakiegoś czasu spotykali się już tylko

w niedzielę i szli na spacer, jeśli było łacinie, albo do kina, gdy padało. Kiedy poinformował o tym matkę, oświadczyła, że wszelkie przygotowania są zbędne. Postanowiła uczcić tę okazję, rozsiadając się z zagadkową miną, jakby Louise miała być przedstawiona na dworze. Gdy wstępne uprzejmości, na które dziewczyna zdobyła się z pełną desperacją, dobiegły końca i zanosilo się na to, że reszta spotkania przebiegnie w całkowitej ciszy, matka postanowiła wreszcie wydobyć z siebie głos:

— Myślę, że potrafisz coś zrobić z tym moim synkiem. On już za długo jest dzieciuchem.

Zrozumiał natychmiast, co miała na myśli, i oblał się rumieńcem. Louise wsunęła dłoń w jego rękę i pokochał ją za ten gest, prosty dowód niezłomnego poparcia. Pomyślał wtedy, i do dzisiejszego dnia nie zmienił zdania, że ta niewymuszona prostota znamionowała jakąś wielkość w Louise, której ona sama była całkowicie nieświadoma.

W istocie Louise i George zostali kochankami półtora miesiąca wcześniej, w mieszkaniu pożyczonym na jedno popołudnie. Było to udane spotkanie dla nich obojga, lecz wspólnie uznali, że następne odłożą do momentu, gdy uda im się znaleźć odpowiednie miejsce. W tym postanowieniu też była prostota i brak natarczywości, bardziej zgodne z jego naturą niż płomienna namiętność, do której upoważniała go młodość. Miał w sobie wrodzoną powściągliwość i los obdarzył go podobnie reagującą kobietą. Louise była spokojna i na zaloty odpowiadała bez nerwowości, swobodnie poddając się przyjemności, którą przeżywała naprawdę. Wiedział o tym, bo nie potrafiła udawać. To była jej następna zaleta, bardziej mu droga, niż jego matka, mrużąc oczy w papierosowym dymie, mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić. Podczas tego jedyne spotkanie obu kobiet matka nie zrobiła najmniejszego gestu, by

okazać gościnność, więc Louise powiedziała, że spieszy się do domu, ponieważ mieszka z matką i nie lubi jej zostawiać samej zbyt długo. Wylewnie podziękowała za przyjęcie i jej słowa zostały ospale przyjęte jako zasłużony hołd. George palił się ze wstydu, ale pociechą była mu myśl, że przed Louise nigdy nie straci twarzy.

W roztargnieniu odprowadził dziewczynę do domu, z równym roztargnieniem ona zaprosiła go do środka. Mała, siwa kobiecina powitała ich z pewnym zdziwieniem, ale poczęstowała herbatą, a potem nawet postanowiła upiec biszkopt. Czekali na niego w nieznośnej ciszy, podczas gdy z kuchni dochodziły dźwięki ubijania białka i mieszania ciasta. Był to dzień zażenowania, które w jego umyśle już zawsze odtąd kojarzyło się z Reading, tak jakby bolesne odczucie były podarunkiem, jaki to miasto zsyłało swym synom i córkom. Podziękował za biszkopt z niezwykłym zapalem i wtedy jego oczy napotkały nieprzeniknioną, bezbarwną twarz zakonnicy. Niewielkie niebieskawe oczy przypatrywały mu się bez pobłażliwości. Pani Wilson nie wzięła sobie herbaty, tylko zabrała tacę do kuchni i tam już została, albo ostentacyjnie wyrażając uprzejmość, albo z czystej obojętności. W chwilę później Louise poszła za nią do kuchni. Usłyszał słowa:

— Jeszcze tam jest?

Dziewczyna wróciła ze smutkiem na twarzy. Wziął ją za rękę i pocałował w policzek. Wstał i wyszedł, gdyż tego od niego oczekiwano. O wydarzeniach tego popołudnia nigdy ze sobą nie rozmawiali. Każdy komentarz podważałby ich miejsce w świecie, ich własną tożsamość. Bez słów pocieszali się wzajem, jak potrafili najlepiej.

Prawie ją kochał i byłby się z nią ożenił, gdyby była nieznacznie inna pod jednym, zasadniczym względem. Ona chyba wiedziała o tym i myślała

o nim podobnie. Każde z nich było zbyt lojalne wobec drugiego, by postawić mu jakieś wymagania, by zażądać czegoś mniej sielankowego. W swym niezmaconym spokoju Louise była zdrową kobietą, on zaś ciągle cierpiał na niezaspokojone pragnienia. Mimo to świetnie się rozumieli. Na wszelki wypadek oswajali się z myślą o rozstaniu, ale póki do niego nie dochodziło, cieszyli się wzajemną przyjaźnią. Ich stosunki były cywilizowane i serdeczne. Swój romans wiedli podczas długich spacerów, pijąc herbatę w odległych hotelach, omawiając wydarzenia mijającego tygodnia. Patrząc wstecz, Bland uznał, że była to pełna godności niewinność. We wczesnych latach znajomości potrafili otwarcie mówić na temat swych dość kłopotliwych rodziców. Ich przywiązanie podtrzymywały umówione intymne spotkania. Pożyczone mieszkanie zastąpili małym hotelem, później większym, aż do czasu gdy zmarła jego matka i Bland przeprowadził się do Londynu. Odezwał się do Louise po jakimś czasie, dziękując za list z kondolencjami i wyjaśniając, że wydarzenia ubiegłego roku były tak smutne — „smutne” wydało mu się najbardziej neutralnym słowem z tych, które przysły mu do głowy — że nie zdecydował się na podtrzymanie kontaktu, teraz jednak bardzo pragnie się z nią spotkać. Kiedy mogliby się zobaczyć?

Miał już wówczas mieszkanie przy Baker Street Station i ich spotkania mogły być łatwiejsze i częstsze. Umawiali się więc, aż do chwili gdy Louise oznajmiła mu, że wychodzi za mąż. W tym czasie oboje osiągnęli już dobrą pozycję zawodową, lecz nadal żyli samotnie, nie potrafiąc uwolnić się od nawyków wyrobionych w trakcie wcześniejszych kontaktów. Widywali się, dopóki Louise nie wyjechała do Lymington i nie wyszła za swego okropnego męża. W każdym razie mąż był okropny w oczach George'a. Poznał go, a właściwie spotkali się — nie-

zupełnie przez przypadek — na koncercie w Wigmore Hall. Wysoki, kościsty, prawie łysy, przyszły małżonek Louise był emerytowanym lekarzem. Przywitał się z nim w sposób niemal zawodowy, pospiesznym uściskiem dłoni, bez zbędnych słów. Bland nie spodziewał się, że go polubi, ale lubił go mniej, niż się spodziewał, i postanowił umyć ręce od całej tej sprawy. Było mu jednak przykro z powodu utraty Louise, choć w końcu wiążącej ich nici nic nie zerwało. Tym razem czas stanął po ich stronie.

Wkrótce po tym, jak urodził im się syn, mąż zachorował i wkrótce zmarł. Louise nie cierpiała przesadnie. Miała syna, dom i pozycję społeczną. Bland uznał, że z natury jest dość tuzinkowa, ale rozgrzeszał ją. Sam też był konwencjonalny. Gdy wynajęto na stałe opiekunkę do dziecka, Louise łatwiej było przyjeżdżać do Londynu. Teraz kochali się rzadziej, choć nie zaniebdywali okazji. Przyjmowała ich sytuację spokojnie i nie cierpiała, a w każdym razie nie było widać, by cierpiała na poczucie winy. Dość tym zaciekawiony, zapytał ją kiedyś o to wprost.

— Ostatecznie znałam ciebie, zanim poznałam Denisa — odpowiedziała.

Dała mu do zrozumienia, że w jej oczach ich romans jest usprawiedliwiony i z technicznych względów nie może go uważać za zdradę małżeńską. Zrozumiał, że kobiety miewają przebłycki geniuszu, do którego mężczyzna nigdy nie będzie zdolny.

Od tego czasu stale do siebie dzwonili. Prowadzili banalne rozmowy, które jednak zapewniały im głęboki spokój i poczucie zaufania. Byli ze sobą związani, mieli wspólną przeszłość. Owe telefoniczne rozmowy były nawet bardziej udane niż spotkania. Wymieniali uwagi w sposób tak schematyczny, że aż niemal abstrakcyjny. Każde szło tropem własnych myśli, lecz doskonale się rozumieli. W pewien sposób

ciągle ją kochał i nie potrafił bez niej żyć. Czasami, poprawiając włosy w jego sypialni, pytała: — Co będzie dalej?

Czytał jednak w jej rzewnym uśmiechu, że sercem jest gdzie indziej. Oboje się postarzel, może przedwcześnie. Nie czuli teraz przymusu ani potrzeby wyjaśniania sobie czegokolwiek, szukania usprawiedliwień. Odprowadzał ją do taksówki i żegnał gorącym pocałunkiem wyrażającym miłość.

Poczytywał to za prawdziwą łaskę losu, że Louise odpowiada mu tym samym uczuciem.

Wyglądało na to, że ułoży sobie życie bez żony. Doszedł do wniosku, że jego przeznaczeniem jest żyć w samotności, że zawsze tak żył i zawsze będzie, pozostając sobą. Niekiedy samotność wprawiała go w oszołomienie. Nie wiedział właściwie, dlaczego, gdyż świetnie się z nią zżył. W miarę jak wspinał się po drabinie społecznej i zawodowej, uciekając od dotkliwego osamotnienia młodości, udawało mu się zdobyć swobodę, a może raczej niezależność, która zawsze była jego najgłębszą potrzebą, największym pragnieniem. Uwolnił się od gderliwych rodziców, od swej miłości do Louise, od skromnych mieszkań z jedną sypialnią. Był teraz otoczony niemal nadmiarem komfortu, mieszkał o kilka minut spacerem od parku. Każdą kolejną zmianę sytuacji przyjmował z entuzjazmem, ale — jak spostrzegł — bez zadowolenia. Przestronne pokoje i większe okna wydawały mu się znakami, które przywabiały go podczas ucieczki, kierowanej wyłącznie przez zewnętrzne impulsy, jakby działał całkowicie pozbawiony własnej woli. Brakowało mu aprobaty otoczenia. Starannie wybierał dywany, zasłony i tapety, osiągając znośny wynik — dobry smak bez osobistych upodobań. To wystarczało, gdy wracał wieczorami do domu, w ciągu dnia jednak wydawało się okropne. Teraz będzie miał więcej czasu i albo wyszuka jakiegoś nowe miesz-

kanie, które od początku urządzi, albo idąc za swymi zainteresowaniami, znajdzie sobie zajęcie na cały dzień i wracając wieczorami, ponownie będzie odczuwał kojącą satysfakcję, że zaoszczędzone pieniądze pozwalają mu żyć w wygodnym przepychu. Zadzwoił wewnętrzny telefon.

— Jest tu pani Arnold, proszę pana — usłyszał głos Hipwooda.

Portier zaakceptował Louise, bo umiała z nim postępować. Zawsze zatrzymywała się na chwilę rozmowy, pytając o jego zdrowie. Wysyłała mu nawet życzenia świąteczne, choć Hipwood zapewniał ją, że to nie jest konieczne. Meldowała się u niego, by nie pomyślał sobie czegoś najgorszego. Bland wiedział, że to nie ma znaczenia, bo Hipwood podejrzewa wszystkich automatycznie, Louise jednak, w dziwnym poczuciu niewinności, uważała za swój obowiązek stworzyć sytuację, w której inni muszą o niej dobrze myśleć. W ostatnich latach nabrała ponadto zwyczajów właścicielki ziemskiej, przyzwyczała się do oznak szacunku i w zamian chętnie okazywała łaskawość. Czasem Bland myślał, że gdyby była odrobinę perfidna, łatwiej by się z nią żyło, ale wiedział, że nic już jej nie zmieni, podobnie jak nic nie mogłoby zmienić jego. Był nieco znudzony, zdając sobie sprawę, że wszystko będzie jak zawsze, nawet formuła powitania nie zmieni się ani na jotę, i to wprawiało go w przygnębienie. W ich wzajemnych relacjach wszystko było pewne, gdyż opierało się na atawistycznej bliskości uformowanej w embrionalnym okresie ich uczuć, potem nieco stonowanej różnicą upodobań, która z latami stawała się coraz większa.

— To ty, kochanie — powiedziała Louise, tak jak się spodziewał, gdy otworzył jej drzwi.

— To ty kochanie — odparł, wprowadzając ją do salonu.

Po tym wstępie miał wrażenie, że wie dokładnie, jak będzie wyglądał ich wspólnie spędzony dzień. Louise opowie mu o swoich wnukach — co go kompletnie nudziło — on będzie przytakiwać, wydając odpowiednie pomruki i zwracając co jakiś czas jej uwagę na widok czy dźwięk, który mógłby jej sprawić przyjemność. Pokaże jej niemal oswojoną kawkę na gałęzi drzewa przed jego oknem, twarz jakiegoś dziecka, które na chwilę mignie w tłumie. Wolał dzieci anonimowe od tych, które pojawiały się z rodzicami. Anonimowe dzieci należały do każdego. Louise jak zwykle nie będzie o nic pytać, pozostawi jego życie wewnętrzne w spokoju. Były to szczególne chwile harmonii, podczas których przez długi czas milczeli. Ta cisza wypełniona porozumieniem bez słów bardziej niż rozmowa umacniała ich dawno powstałą zażyłość. Bland z niecierpliwością wyczekiwał tych chwil i wiedział, że może na nie liczyć. W tych momentach powracała ich dawna bliskość, tak potrzebna i jemu, i jej, i tak swojska. Warto było narazić się dla nich na nieco nudy.

Jak zwykle ucieszył go jej widok. Wyglądała dobrze w ciemnozielonym kostiumie, z szalem od Hermesa, który jej sprezentował na poprzednie Boże Narodzenie. Szykowna — powiedziała by, gdyby chciał opisać jej wygląd. Zresztą tego należało się spodziewać po zdrowej, zadbanej kobiecie, która kupowała wybrednie i chodziła do fryzjera dwa razy w tygodniu. Kształtne, łagodne oczy błyszczały pod nie epilowanymi brwiami. Dyskretna różowa szminka ożywiała ciągle jeszcze dziewczęce usta. Nigdy nie była piękną, ale potrafiła wyglądać atrakcyjnie. Jej spojrzenie było miłe, szczere, jakby nic już nie zobowiązywało jej do skromności. Cesała się w sposób odpowiedni dla niemłodej kobiety. Niegdyś miała dobrą figurę, teraz jej kształty zaokrągliły się, lecz nogi pozostały zgrabne jak dawniej. Z przyjemnością dbała o swój



wygląd, co, jak sądził, stanowiło odzwierciedlenie tego, że żyła przyjemnie, jako zadowolona z życia wdowa mieszkająca w miasteczku, gdzie ją dobrze znano i lubiano. Ponadto częścią przyjemności, jeśli nie treścią jej życia, były wizyty u niego w Londynie. Nie dostrzegała żadnych anomalii w ich długiej historii spotkań i w jej przekonaniu miały one trwać zawsze, dokładnie w tej formie co teraz.

— Zjemy lunch za rogiem — powiedział, zamierzając ponaglić ją do wyjścia. — Potem pokażę ci wystawę Sickerta. Jest wyjątkowa. Widziałem ją wczoraj i nie mogę się doczekać kolejnej okazji.

— Zrobimy, jak zechcesz — odparła — ale chyba pamiętasz, że muszę pójść do Selfridges? Mówiłam ci, jaka jest sytuacja, prawda? I powinnam kupić jakiś materiał na zasłony. Te błękitne w pokoju werandowym wypłowały zeszłego lata. Wyglądają okropnie.

Aha, pokój werandowy — odnotował w myślach i mruknął coś niezobowiązującego.

— A to taki dobry kolor — ciągnęła. — Gdyby się udało znaleźć o odcień ciemniejsze...

— Ale zaczniemy od lunchu? — upewnił się niecierpliwie. — Później pójdziemy wprost na wystawę, następnie ty pojedziesz po zakupy i wrócisz do mnie na herbatę.

— Wspaniale — orzekła. — Zostaw mi tylko dość czasu.

Zatrzasnęła prasowany puder, przewiązała szal i oświadczyła, że jest gotowa. W dobrych nastrojach poszli za róg do włoskiej restauracji, gdzie go dobrze znano i gdzie zwykle jadł cielecinę.

— To miło, że znów pana widzimy — powiedział kelner. Oczywiście pamiętał wczorajszy wieczór.

Uśmiechał się. Zapadła cisza i trwała aż do kawy. Wtedy dopiero odezwała się Louise:

— Wspaniale.

Tak łatwo sprawić jej przyjemność — pomyślał. Na tym po części polegał jej urok. Może dlatego właśnie stał się człowiekiem dość niezaradnym, może potrzebował kogoś bardziej wymagającego, kogoś, kto oczekiwałby gry wstępnej — jak to określili. Jednocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że bardziej wymagająca kobieta pokonałaby go. Wprawdzie najpierw byłaby zabawniejsza, ale później wprowadziłaby zamęt w jego myśli i zostawiła na mieliźnie, a w najgorszym razie roztrzaskała o rafy. Z Louise natomiast czuł się bezpieczny. To też dodawało jej uroku. Prawie wszyscy mężczyźni cenią taki dar. I jeśli nawet czasem odczuwają pewne rozczarowanie, wiedząc, że ich ciekawość świata nie została zaspokojona, nauczyli się cieszyć tym, co mają, tym szczerzej, im wyraźniej czas wprowadza w ich życie swe nieubłagane zmiany. Z tego właśnie powodu stare małżeństwa są szczęśliwe — skonstatował. Pogodziły się z koniecznością i przestały sobie roić, że jest ona matką wynalazków, bo w rzeczywistości jest czymś wręcz przeciwnym — matką rezygnacji. Czują się, jakby przeżyli razem wojnę. W obliczu niebezpieczeństwa stoją ramię przy ramieniu, a potem cieszą się, że niebezpieczeństwo minęło, podpisano traktat pokojowy i przestrzega się jego warunków. Ponadto każdy mężczyzna powinien mieć tyle delikatności, by swe rozczarowanie zachować dla siebie. I on właśnie tak postępował.

Choć było dopiero niewiele po drugiej, niebo już ciemniało. Na ulice wyszło więcej ludzi niż zwykle i z trudem posuwali się do przodu. W taksówce Louise zapytała go o plany na Boże Narodzenie. Odpowiedział ogólnikowo, napomykając o wyjeździe za granicę.  
— Myślałem o Rzymie — rzekł, tylko częściowo w to wierząc.

— Ja w tym roku będę sama — przyznała Louise. — Dzieci idą do rodziców Sary. Wybrałabym się w podróż morską, ale nie znoszę samotnych podróży.

— Może wybierzemy się razem — powiedział w zamyśleniu, pamiętając, że podobne zaproszenie liczy się dopiero wtedy, gdy się je wypowie z całym entuzjazmem. Nagła ulewa zaczęła bębnić w okno taksówki. Owładnęło nim przygnębienie.

— To dlatego było tak ciemno — zauważyła Louise. — Może teraz się przejaśni.

Ogarnęła ich jednak melancholia i obrazy nie poprawiły im nastroju. Sumiennie oglądał płótna, które tak go zachwyciły poprzedniego dnia, i robił co mógł, by do nich przekonać Louise. Ale jakoś tracił wątek i drażnili go zwiedzający. Louise posłusznie zaśmiała się na widok *Panien Tiller*a, ale *Wenecja* i *Dieppe* nie zrobiły na niej wrażenia. Pozostała nieporuszona nawet wobec tragedii tak zręcznie ujawnionej w obwisłych wążach i głowie wspartej na ręce w geście bezradności. Będzie musiał wrócić tu raz jeszcze — postanowił. Bez niczyjego towarzystwa. A może był już zmęczony. Louise z wyrazem ulgi pozwoliła się skierować do wyjścia. Wsadził ją do taksówki i wysłał do Selfridges. Zapowiedziała, że wróci piechotą. Gdy został sam, zaczął głęboko oddychać, zadowolony, że znów jest wolny. Co nie zmienia faktu, że zawsze się cieszył, gdy ją widział — zauważył w duchu. A może nie jestem teraz całkiem sobą, od kiedy mam tak dużo wolnego czasu — zastanowił się. Ale wiedział, że to nie może być główną przyczyną złego samopoczucia. Czuł się, jakby był jedną z postaci, które widział na wystawie: podniszczonym, pozbawionym wdzięku, rozdrażnionym starcem. Cieszył się, że już zapada zmrok. Nie ujrzy mimowolnie swego odbicia w witrynie sklepowej.

Prawem kontrastu mieszkanie wydało mu się przy-

tulne. Otworzył okno i wpatrywał się w ciemniejące niebo. Wychyliwszy się, oddychał głęboko. Przygotowywał się na długi wieczór. Nie zaciągnął zasłon. Oparł się o parapet, zdając sobie sprawę, że przybieranie takiej pozy myśliciela w jego wieku jest śmieszne. Później usłyszał kroki Louise w cichej ulicy i z trudem rozpoznał jej sylwetkę, gdy skierowała się w jego stronę. Wycofał się do pokoju z przekonaniem, że swoje dzienne sprawy doprowadził do końca.

Poczuł się lepiej. Usiedli razem, przy zapalonych lampach, z tacą na herbatę pośrodku. Czuł się z nią tak dobrze jak w przeszłości. To, co było wcześniej, przypisał jakiejś przelotnej niedomodze fizjologicznej. Zawsze kochał ją najmocniej, gdy miała odejść, gdy wizyta dobiegała końca. Uważał, że musi umówić się na następne spotkanie, ponieważ Louise była właściwie jego główną linią kontaktu ze światem. Przyzwyczał się do niej, tak jak dziecko przyzwyczajają się do matki. A ona z przyjemnością odgrywała role, które jej wyznaczał, czasem nawet sama podsuwała jakieś plany. On lubił oglądać obrazy, ona — ogrody. Ale umieli dzielić się i czasem, i doznaniem.

— Oczywiście zadzwonię w niedzielę — obiecał. Zerknęła na zegarek.

— Mam jeszcze kilka minut... O, dzwonek do drzwi.

Popatrzyli na siebie z niepokojem, jakby świat nagle odkrył łączący ich związek.

— Nie spodziewam się nikogo — powiedział.

— Rozumiem, ale i tak musisz otworzyć. Szkoda. Pożegnaj się od razu, bez względu na to, kto to jest.

Bland otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z Katy i panią Lydiard, objuczona torbami z wytwornych sklepów. Pani Lydiard była podekscytowana i jakby nieco rozczochrana. Za jej plecami Katy stroiła miny i wywracała oczami.

— Byłyśmy na zakupach — wykrzyknęła pani Lydiard — i obawiam się, że popełniłyśmy szaleństwo!

— Ty je popełniłaś, Moiro. Ja niczego nie kupowałam. No, ale otrzymałam od ciebie wspaniały prezent — dodała Katy szybko, napotkawszy ostre spojrzenie pani Lydiard. Bland zauważył, że obie kobiety pachniały tymi samymi duszącymi perfumami. Nie uszło też jego uwagi, że dziewczyna musiała być niezbyt uradowana podarunkiem, ponieważ zazdrośnie patrzyła na jedwabny szal od Hermesa, który Louise wiązała u szyi. Spostrzegł też, że obie panie były wyjątkowo wystrojone, zwłaszcza Katy, która w wełnianym kostiumie koloru ciemnej mandarynki i w jasnych botkach z kozłej skóry wyglądała starzej niż podczas poprzednich spotkań. Musiał dodać jej lat. Oceniał ją teraz na trzydzieści trzy, może trzydzieści cztery lata.

Dokonał prezentacji. Zanim jednak wyszedł do kuchni, by zrobić herbatę, spostrzegł, że Katy zignorowała wyciągniętą rękę Louise i złożyła dłonie, pochylając głowę w hinduskim geście powitalnym. Z trudem powstrzymał śmiech, który o mało nie wyrwał mu się z gardła — po raz pierwszy tego dnia — i chętnie uciekł choćby na kilka minut.

Gdy wrócił, zobaczył, że Louise i pani Lydiard pogrążone są w rozmowie i z przyjemnością odkrywają, jak wiele je łączy. Łączyło je także pragnienie sobie uprzejmości, do czego obie miały prawdziwy talent.

— Uważam, że to, jak się wygląda, jest bardzo ważne — mówiła pani Lydiard, prawdopodobnie odpowiadając na komplement Louise, która musiała pochwalić jej granatowy żakiet.

— W moim wieku nie można sobie pozwolić na obniżenie standardów, bo to jest natychmiast widoczne.

— Zupełnie się z panią zgadzam, choć na wsi, w odróżnieniu od miasta, wymaga to sporo zachodu. Ludzie nie przywiązują tam takiej wagi do dbałości o wygląd i trzeba wyjechać dość daleko, żeby znaleźć coś odpowiedniego. Albo przynajmniej coś, co nie będzie tak strasznie banalne. Zgadza się pani ze mną?

— Czy brała pani porady kolorystyczne? — wtrąciła się Katy, która zapewne dotąd nie wniosła nic do rozmowy.

— Doprawdy nigdy — odpowiedziała Louise z pewnym zdziwieniem. — Tego nie ma w Lymington. Czy to jest kosztowne?

— Louise — odezwał się Bland — jeśli chcesz złapać pociąg o wpół do siódmej...

— To nic. Mogę pojechać następnym — odparła, rozluźniając szal.

— Oczywiście dla pani te względy muszą być nieistotne. Jest pani taka młoda — Louise zwróciła się do Katy. — I taka ładna — dodała z pewnym ociąganiem. — Zastanawiam się, czy już się kiedyś spotkałyśmy. Jest pani nową lokatorką? Te mieszkania są tak szalenie wygodne...

— Katy mieszkała dotąd w Ameryce — poinformował Bland.

— Ach, jest pani Amerykanką.

— Niezupełnie. — Głos Katy był arystokratycznie wyniosły. — Mieszkałam w różnych miejscach. Właściwie wszędzie. Pochodzę z rodziny wojskowej.

Z jakiegoś powodu Bland wyobraził sobie koszary w Niemczech, na przedmieściu Hanoweru lub Paderborn. Widział obskurne baraki dla oficerów, młodą, zaniedbaną żonę, ojca, który siada do kolacji w szelkach khaki nałożonych na koszulę khaki, ładne dziecko, uciszane, by nie drażniło ojca podczas jedzenia, a później na zmianę całowane i karane. Widział to wszystko zupełnie wyraźnie i choć mogła

to być fantazja, wiedział, że jest to fantazja bliska prawdy.

— A gdzie pani ojciec stacjonuje teraz? — pytała dalej Louise. Pani Lydiard odsunęła się i przywarła plecami do oparcia krzesła. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Z wyrazem triumfu spojrzała na Blanda. Wszyscy oprócz Louise znali odpowiedź na to pytanie.

— Mój ojciec nie żyje — odparła Katy.

— Bardzo mi przykro, moja droga, nie chciałem być wścibska...

Bland niemal usłyszał, jak Katy odpaliła, że Louise o to właśnie chodziło. Ale on wiedział, że to nieprawda. Louise nie była złośliwa, a pytanie było całkiem niewinne.

Zapadła chwila ciszy.

— Muszę się spieszyć — oświadczyła Louise. — Mam szansę złapać jeszcze pociąg o wpół do siódmej. Cieszę się, że panie poznałam.

— Ja też muszę iść — oznajmiła pani Lydiard. — To było miłe spotkanie. Dziękuję za herbatę, panie Bland. Przepraszam, chciałam powiedzieć: George. Może miałbyś ochotę na kieliszek sherry któregoś wieczoru? Zadzwoń, proszę. Do widzenia, Katy. Pamiętaj, co ci mówiłam.

Na razie nie mógł się dowiedzieć, co pani Lydiard mówiła. Przypuszczał, że była to jakaś niepotrzebna rada podana w dobrej wierze, na przykład, że Katy mogłaby znaleźć sobie pracę, zanim zrobi plany na przyszłość. Przestał myśleć na ten temat, ponieważ musiał odprowadzić Louise do taksówki. Nie mógł zrozumieć, czemu mijający dzień tak bardzo go zmęczył i zirytował. Chciał jak najprędzej zostać sam. Po co mu ten nadmiar kobiet? Na pożegnanie Louise wciągnęła go w rozmowę, która dodatkowo go rozdrażniła. Powiedziała, że Katy to jakaś dziwaczna dziewczyna. Bland chciał sam zbadać tę dziwa-

czność. Louise pytała, gdzie George ją poznał i kiedy. Pytania te stawiała ostrożnie, nie patrząc mu w oczy. Wreszcie z westchnieniem odwróciła się i nadstawiła policzek do pocałunku.

— Do niedzieli — rzekła.

— Do niedzieli — powtórzył.

A w niedzielę będzie więcej pytań — zdał sobie sprawę, idąc po schodach na górę. Co gorsza, odpowiedzi zachowa dla siebie, jeśli w ogóle będzie je znał. Katy była jego własnym, prywatnym obiektem badań i wyniki swego dochodzenia zamknie w czymś w rodzaju tajnej teczki, ukrytej przed oczami wścib-skich ludzi.

Z trudem gramolił się po schodach. Wydawało się, że nie dojdzie do otwartych drzwi mieszkania. Gdy już zamierzał zamknąć je na noc, po drugiej stronie otworzyły się drzwi u Dunlopów i stanęła w nich Katy. Na policzki wystąpiły jej dwie czerwone plamy. Musiała być wściekła.

— Czy coś się stało?

— Chciano mi dokuczyć. Czułam to. Wprawić mnie w konsternację.

— Jesteśmy dla ciebie zbyt starzy — powiedział łagodnie. — Tracisz przy nas cierpliwość. Powinnaś być z ludźmi w twoim wieku. Tu nie ma dla ciebie nic ciekawego. Moja przyjaciółka zadała ci po prostu kilka pytań. To nie powinno cię złościć.

— „Tego nie ma w Lymington — przedrzeźniała Louise. — Czy jest to kosztowne?”

— A czego oczekiwałaś? — zapytał Bland. — To jest dla eleganckich, młodych kobiet, a nie dla starzejących się wdów.

Katy prawdopodobnie spodziewała się, że ktoś ją poprosi o konsultację. Przypuszczalnie tak zarabiała na życie. I jeśli miała nadzieję, że złowi Louise, którą dopiero co poznała, to znaczyło, iż jest bez grosza. Przypomniął sobie wyraz twarzy pani Ly-



diard. Wyglądała jak ktoś, kto dał właśnie dobrą radę i wiedział, że ona musi być przyjęta. Z pewnością zapłaciła za lunch i podczas posiłku sączyła Katy do ucha rady, których ta nie chciała słuchać.

— Czy to pani Lydiard cię zdenerwowała? — dociekał.

I czy to ona kupiła ci to straszne pachnidło, żeby cię pozyskać? — pragnął dodać, ale się powstrzymał. Teraz widział to wyraźnie. Katy chciała zaskarbić sobie życzliwość pani Lydiard i uczynić z niej swego sojusznika. Potem jednak odkryła, że pani Lydiard nie zamierza być żadnym sojusznikiem. Ma natomiast tę wadę, że lubi dawać rady. Fakt, że te rady były zapewne trafne, nie sprawiał bynajmniej, że stawały się łatwiejsze do przyjęcia. W istocie były nawet trudniejsze do przełknięcia. Przypuszczał, że jakoś wiązały się z pieniędzmi. Podejrzenia pani Lydiard niewiele się więc różniły od jego własnych. To było nieprzyjemne odkrycie.

— Mam swoje plany — powiedziała Katy obrażonym tonem. — Muszę tylko wykonać parę telefonów i umówić się z kilkoma najbardziej wpływowymi ludźmi z dziedziny medycyny alternatywnej.

— To oczywiste, musisz tak zrobić. Może zajmiesz się tym jutro?

— Nie potrzebuję żadnych rad w sprawach, które znam na wylot. W mojej branży wszystko zależy od osobistych kontaktów. Nie sądzę, żeby ktoś taki jak ty potrafił to zrozumieć.

— Nie potrafię — zgodził się Bland i pomyślał o swoim własnym życiu zawodowym, które przebiegło w sposób zdecydowanie konwencjonalny. Jego przeznaczeniem było pracować dla firmy. Myślał o sobie jako o chłopcu na posyłki nawet po kilkakrotnym awansie. Bez firmy nic by nie znaczył. Był popularny, ponieważ nic nie można mu było zarzucić. Być może ceniono by go bardziej, gdyż tak się

nierzadko zdarza, gdyby był postacią bardziej ekscentryczną lub odpychającą. W każdym razie z pewnością go szanowano, a na szacunku zależało mu szczególnie. Biuro gwarantowało mu spokój, porządek i miejsce w ustalonej hierarchii. Biuro oznaczało także pracę; pracę wymagającą trafnego osądu i oceny faktów, od których wiele zależało. Uważał, że pracę można wykonywać tylko w jeden sposób: rozważnie, przy biurku, w ustalonych godzinach, co zmusza człowieka do wytrwania w jednym miejscu i do odpowiedzialności. Nie mógł uwierzyć, że czyjaś praca może polegać na uruchomieniu kontaktów. Może dziennikarze i aktorzy potrafią tak żyć, ale dla większości ludzi praca oznacza właśnie to, co on robił — chodzenie do firmy, oddanie jej swych umiejętności i wysiłku. Praca znaczyła też powrót do domu pod koniec dnia, razem z innymi, pociągiem lub autobusem. Ona powodowała, że wieczorny pobyt w domu stawał się nagrodą, realizacją nadziei i ambicji. Przynajmniej w jego wypadku dom był przedmiotem ambicji. Innych ambicji nie miał, i to wzbudzało zaufanie. Chciał być akceptowany i nie szukał innej nagrody. Putnam był pod tym względem taki sam i to scementowało ich przyjaźń. Teraz wszystko minęło — bezpieczeństwo i przyjemność z poświęcenia się pracy, także przyjaźnie biurowe. Zamiast tego stał tutaj pod koniec pustego dnia i prowadził tę jałową rozmowę z kompletnie obcym człowiekiem. Co prawda było mu tej dziewczyny żal i trochę go intrygowała — częściowo dlatego że nie miał żadnego innego poważnego zajęcia, a częściowo, bo obudziła w nim zawodowy instynkt. Dostrzegał w niej osobę z lekkim zaburzeniem socjopatycznym i chciał zgłębić ten przypadek do końca.

— Podoba mi się twoja garsonka — rzekł pojednawczo.

— Ta?

Katy kopnęła pomarańczową spódnicę czubkiem miękkiego botka.

— To nie moja, tylko Sharon. Ja noszę rzeczy od Armaniego. Ten czarny strój jest właśnie od Armaniego. Choć muszę przyznać, że smak jej się poprawił, od kiedy ją poznałam.

— Kiedy to było?

— Wiek temu. Znamy się strasznie długo.

— Nie spotkałaś jej teraz w Ameryce?

— Ale mogłam spotkać. Dlaczego mi zadajesz takie pytania? Czemu nagle wszyscy interesują się moimi sprawami?

— Myślę, że Sharon nie wie o tym, że jesteś w jej mieszkaniu.

Katy wzruszyła ramionami.

— Naprawdę zawsze mi mówiła, że mogę się u niej zatrzymać, kiedy będę w Londynie.

— Lepiej powiedz mi prawdę — zaproponował.

Miał wrażenie, że dziewczyna jest zmęczona i zniecierpliwiona, że czuje się tak, jakby ją przepytował, co zresztą istotnie robił. Z jej policzków znikły dość efektowne, jak mu się wydawało, żywe rumieńce. Jej cera była znów różowa, z jaśniejszymi miejscami przy kościach, nieokreślona jak jej obecny nastrój. Katy chyba się czuła nieswojo i miała ku temu powody. Uderzyło go, że podobnie jak podczas poprzednich spotkań nie potrafiła odpowiedzieć na najprostsze pytanie, jakby stosowała uniki bez żadnej potrzeby, dla pustego ćwiczenia. Była to zapewne technika polecana przez Singera.

Ktokolwiek ją stosował, mógł być pewien, że unika ryzyka bliskiego zetknięcia z prawdą.

— Prawdę? — zapytała, jakby przyznając, że to, co wcześniej mówiła, było czymś zupełnie innym. — Już ci wspominałam, że znamy się strasznie długo.

Znów podziwiał zręczność, z jaką uniknęła odpowiedzi na pytanie.

— A kiedy ją ostatni raz widziałaś?

— Więc znowu potrzebne są daty i godziny. Jeśli musisz wiedzieć, to kiedyś razem mieszkaliśmy. W Muswell Hill.

— A później?

— Byłam na jej ślubie, gdy wychodziła za tego chwasta.

— Za Tima?

— Za Tima, chociaż jej odradzałam, rzecz jasna.

— Rzecz jasna — powtórzył, zauważając, że Katy darzy niechęcią nie tylko kobiety, ale z reguły także ich mężów. To znaczyło, że jest niechętna niemal wszystkim, co zresztą uderzyło go już wcześniej. Wobec mężczyzn była drapieżnikiem, i to drapieżnikiem pełnym wrogości. Jeśli dobrze oceniał jej zachowanie, tak właśnie odnosiła się do niego. Może dlatego, że pogardzała starością, nawet jeśli polowała z myślą o jakichś korzyściach. Męczyła go ta gra, tym bardziej że właściwie nie była to wcale gra. Czuł się wystrychnięty na dudka, czuł się nie tylko starcem, ale wprost sklerotykiem. Nie mógł się w tę sprawę dłużej angażować. Nie pragnął jej zaufania ani odpowiedzialności za nią. Musi się pozbyć tych górnolotnych złudzeń. Spostrzegł jednak, że dziewczyna sprawia wrażenie, jakby zdała test bez straty jednego punktu. Jej twarz przybrała zdrowszy odcień, jak gdyby ominęła ją kara, której oczekiwała. Znowu mignął mu przed oczami obraz sierżanta, porywczego mężczyzny, który na zmianę chwali dziecko i wymierza mu klapsy albo łoł skórę, a może coś gorszego... Było mu jej żal. Budziła w nim ciepłe uczucia. Znowu uznał, że powinien się nią opiekować. Patrząc na to z tego punktu widzenia, rozumiał, że rada zadowolonej z siebie pani Lydiard, choć bez wątpienia podyktowana najlepszymi intencjami, była poniżająca; była dowodem braku wrażliwości i mogła doprowadzić dziewczynę do jawnego buntu. Teraz

jednak Katy zaczęła się uśmiechać i wydawała się udobruchana. Rzadko widywał u niej uśmiech. Musiał sobie jakoś zasłużyć na ten chwilowy przejaw łaski. Przyjął go z wdzięcznością i zażenowaniem. W poczuciu, że został wynagrodzony przez nieporozumienie, natychmiast zapragnął się z nią pożegnać.

— Śpij dobrze — powiedział.

Odwróciła się do niego od drzwi całym ciałem.

— Zobaczymy się jutro.

Wszedł do sypialni, do swojej fortecy, i ściągając półbuty, zamyślił się. Świadomie zabronił sobie oczekiwania następnych dowodów łaski. To wszystko musi się skończyć — postanowił. Chciał, by wrócili Dunlopowie i zdjeli mu z karku ten ciężar. W przeciwnym razie on będzie musiał zajmować się Katy. Skądinąd jednak miałby jakieś zajęcie. Tym bardziej że problem sam się rozwiąże w pewnym momencie. Nic mu więc nie groziło. Wróć Dunlopowie i Katy wyjedzie. On znów zostanie sam. Przygotowując sobie kolację, podjął ostateczne postanowienie: trzeba unikać wszelkich komplikacji. Może oczywiście jej pomagać, ponieważ zawsze ludziom pomagał. Westchnął, odczuwając na swych ramionach ciężar minionego życia, i w przebłysku nadziei zapragnął, by ktoś mu zaproponował pomoc, uwolnił go od starości, samotności i smutku, obdarzył ciepłem, i zrobił to bezinteresownie, nie zważając na jego zasługi i uprawnienia, nie pozwalając mu nawet zrozumieć, dlaczego tak postępuje.

## VI

Sądząc po tym, jak Katy odniosła się do niego nazajutrz rano, gdy wychodził z mieszkania, test zdał pomyślnie. Miał jednak wrażenie, że wystarczy, by otworzył swoje drzwi, a natychmiast otwierają się drzwi jej mieszkania. On jednak nie zamierzał się z nią widywać. Łatwość, z jaką na siebie wpadali, wydała mu się irytująca. Był teraz dość zajęty — dzień dobrze się zapowiadał. Kilka osób dzwoniło, żeby go zaprosić na święta. Udało mu się uprzejmie wymówić od wizyty u Hardwicków w weekend świąteczny w ich domu wypełnionym psami i wnukami. Przyjął natomiast zaproszenie na dwa przyjęcia alkoholowe i na lunch u Wiltona z dawnym kolegą z pracy w środę poświąteczną. Bez większego trudu zdołał zachować pozory pogody ducha.

— Świetnie, świetnie — odpowiedział co najmniej czterem osobom. — Jestem ciągle zajęty. Czasem się zastanawiam, jak znajdowałem czas, żeby w ogóle pracować.

Ta odpowiedź niezawodnie wywoływała wybuch śmiechu. Wypróbowany sposób, by rozmówca przestał się o niego martwić.

I nie rozmijał się z prawdą. W świetle jasnego

poranka cieszył się ulotnymi chwilami szczęścia, chociaż wiedział, że nie potrważą długo. Nie zapomniano o nim. Miał tego dowody. Po świętach będzie się musiał odwdzięczyć. Skontaktuje się ze starymi przyjaciółmi, do których ostatnio się nie odzywał. Zaprosi Hardwicków na kolację albo do opery. Wyprawi małe alkoholowe przyjęcie, a może wcale nie takie małe, bo teraz ma czas i wolną głowę, by o tym pomyśleć. W przeszłości wydał kilka takich przyjęć i choć zawsze były udane, kosztowały go wiele wysiłku. Zatrudniał Hipwooda jako odźwiernego, który w tej roli stawał się niewiarygodnie oficjalny — proporcjonalnie do oczekiwanej zapłaty. Pani Cordozo nadzorowała w kuchni dostawców z restauracji. Bland czuł się podczas tych przyjęć niedorzecznie, jako że stanowiły przeciwieństwo jego ulubionych kameralnych spotkań, za którymi zawsze tęsknił, a rzadko potrafił je zaaranżować. Intymna zażyłość łączyła go tylko z Putnamem, przed którym tłumaczył się następnego ranka z hucznego przyjęcia. „Ludzie tego oczekują” — mówił mu. Na to przyjaciel niezmiennie odpowiadał: „Tym większymi są głupcami”. Mimo to Putnam stoicko znosił te spotkania, pojawiając się na nich z poczucia obowiązku, tak jakby to były wesela kolejnych bratanic. Nigdy nie psuł nastroju i przez wzgląd na uczucia innych uczestników powściągał swą ocenę. Teraz, po jego śmierci, Bland był gotów podjąć ten trud ponownie. Może łatwiej się z tym upora, gdy nie będzie go prześladować ironiczne oko przyjaciela.

Putnam był chyba zbyt kostyczny, choć z drugiej strony — poprawiał się zaraz Bland — jakże krzepiąca była jego surowość! Nigdy nie silił się na towarzy-skość, lecz pogodnie bawił się w gronie osób, które sam wybierał. Bland bardziej ulegał towarzyskim konwenansom. Ale z pewnością nie zrobiłby z siebie

błazna, dopóki Putnam był przy nim i mógł go pohamować swą przezornością. Co nie znaczy, że wykazywał tendencję do szaleństw. Wprost przeciwnie — sam nie mógł pojąć, dlaczego był niezdolny do ekstrawagancji i ekscesów. Gdy się nad tym zastanawiał, sięgając pamięcią wstecz, dochodził do wniosku, że znał zbyt mało kobiet, odwrotnie niż jego przyjaciel, który zdawał się nie mieć zahamowań w tym względzie. Co więcej, Putnam nigdy nie poruszał tego tematu, a Bland przez dyskrecję nie pytał, co najwyżej napomykając o własnych przygodach wakacyjnych, o znajomościach związanych przy kawiarnianym stoliku w Paryżu, Genewie lub Florencji, zerwanych w jakiś czas później (zwykle dość pospiesznie) ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych.

W przelotnym wspomnieniu tych związków Bland dopatrywał się czegoś więcej, niż się w rzeczywistości zdarzyło. Były to raczej nieudane próby zadzierzgnięcia przyjaźni niż epizody fizycznych kontaktów. Szukając towarzystwa, zawsze był gotów podsunąć zapalniczkę, podnieść upuszczoną gazetę. Myśl

o kochaniu się z nieznajomymi kobietami, choć w pierwszej chwili tak kusząca, szybko traciła swój powab. Nie tego pragnął. Wolał, co wielokrotnie zauważył, siedzieć w słońcu obok czarującej kobiety, którą zesłał mu los, i słuchać o jej życiu, sukcesach

i rozczarowaniach. Nie musiał bynajmniej brać jej do swego pokoju lub, jeśli hotel był zbyt znany w tym mieście, do jakiegoś dyskretnego hoteliku na przedmieściach i skracać ich znajomości do dnia albo dwóch.

Zawsze doznawał jakiegoś przedwstępnego zawodu, że wszystko szło tak łatwo, jakby bez uczuć. Robił to, czego od niego oczekiwano, czego by oczekiwano od dowolnego mężczyzny na jego miejscu. Zaczynało to bardziej przypominać obowiązek



niż przyjemność, której pragnął. Tak właśnie wygląda całe moje życie — myślał z nieznośną trzeźwością, zawiązując sobie krawat. Chciał jak najszybciej znów znaleźć się na słońcu, na świeżym powietrzu, ze swą przyjaciółką uwieszoną u jego ramienia w pozie sugerującej trwałą zażyłość, a w każdym razie coś więcej niż tylko chętnie współuczestnictwo w tym, co skończyli robić. Zamiast zażyłości jego udziałem stawało się jakieś fizyczne oczyszczenie. Zawsze później dobrze spał. Płacił jednak wysoką cenę za chwile tkliwości, przytrafiające mu się raczej na początku znajomości niż na do widzenia. Dziwiło go pojawiające się poczucie wyobcowania. Czego mu brakowało? Przecież wszystko przebiegło całkiem dobrze. Niczyje uczucia nie zostały zranione. Mimo to miał wrażenie spustoszenia, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Wrażenie to nasilało się z końcem urlopu i tym można było wyjaśnić jego intensywność. Gdyby się jednak zastanowił głębiej, musiałby uznać, że szukał przyjaźni i zdawało mu się, iż w wybranej kobiecie znalazł przyjaciela — i natychmiast go tracił, gdy szedł z nią do łóżka. Nie działo się tak bynajmniej z tego powodu, że w łóżku okazał się nieudolny. Odwrotnie — oboje byli zadowoleni i otwarcie o tym mówili. Nie rozczarowywał więc swoich partnerek. Jeśli kogokolwiek rozczarowywał, to tylko siebie.

Te spotkania nużyły go swym oportunizmem i przewidywalnością. Miał jednak wrażenie, że jego kobiety były nastawione na taki właśnie ich przebieg. W przeciwnym razie zmieniłby swą strategię, umacniając się — z pewnym rozczarowaniem, ale i ulgą — w roli dystyngowanego, choć nieco frywolnego angielskiego dżentelmena. Z pewnością uważał się za dżentelmena — mężczyznę z manierami. Z pewnością miał manieri. Co najwyżej nie był pewien, czy postępuje jak mężczyzna. To go dręczyło, przynajmniej dopóki nie rozsiadł się wygodnie i nie skupił

uwagi na malowniczych wakacyjnych widokach, które się przed nim roztaczały. Dobrze byłoby mieć kogoś, kto by dzielił z nim te doznania — myślał — ale kobiety, które spotykał, nie wykazywały skłonności do dzielenia tych wrażeń. Miał pecha, jak sądził, gdyż troskliwie kultywowane i nieśmiało kiełkujące uczucia nie trafiały na zbliżone u partnerki. Niewątpliwie wielu innych mężczyzn musiało się uporać z podobnymi trudnościami. Współczuł im i sobie, cierpiał w samotności rozczarowanie, którego nie był w stanie uśmierzyć nawet śmiało aplikowany wakacyjny seks.

To wszystko, na szczęście, należało do przeszłości. Nie będzie już przygód w obcych miastach i jeśli komuś podsunie zapalniczkę przy kawiarnianym stoliku, będzie to wyłącznie zwykła uprzejmość.

Wybrażał sobie, że taka przemiana musi mu przynieść spokój ducha. Ponieważ jednak ciągle to nie następowało, swój niepokój przypisywał upływowi czasu, ze zdumieniem odkrywając, że postępująca starość burzy spokój uczuć z taką samą siłą jak dorastanie. Nie potrafił zrozumieć tych fal tęsknoty, które go zalewały, gdy budził się rankiem lub gdy w środku nocy nie mógł natrafić na wiadomości BBC. Zmuszał się, aby myśleć o wszystkich samotnikach, którzy słuchają radia zamiast spać — o marynarzach, stróżach nocnych, ciężko chorych. Ale myśl o tym, że nie jest jedynym czuwającym człowiekiem, nie przynosiła pocieszenia. Bezsensowność zamykała go w jakimś getcie ludzi zapomnianych, skazanych na zaturę, nieszczęśliwych. Był przekonany, że kobiety w podobnych sytuacjach nie odczuwają swego osamotnienia równie boleśnie.

Po nie przespanej nocy następował dzień nie do wytrzymania. Niemal się cieszył, że nie musi iść do pracy. Mógł teraz zażywać sjesty. Przyzwyczyił się już do popołudniowego odpoczynku i nie umiał

z niego zrezygnować. Nieraz zapadał w głęboki sen po lunchu. Odkrył, że sen bardzo go pociąga. Jeśli nie wychodził z domu, robił sobie lunch jak najwcześniej. Gdy jadł w klubie, brał taksówkę, by szybciej wrócić, z niecierpliwością marząc o półmroku swego mieszkania i jego usypiającym ciepło, zupełnie niepodobnym do jaskrawego żaru odległych dni w obcych miastach, do których nawoływała go przygoda — choć wydawało mu się, że to właśnie jej zew słyszy teraz z oddali... Spiętrzał swoje zajęcia w godzinach rannych, planując je i układając tak, jakby były prawdziwymi obowiązkami. Wystarczyły zakupy, wizyta w Bibliotece Londyńskiej i może godzina w klubie, by miał wrażenie, że zrobił bardzo wiele i zasłużył na przerwę. Później, uspokojony ciężkim snem, który wykradał mu większą część popołudnia, wychodził po popołudniową gazetę i jakieś dodatkowe zakupy. Wolał wędrować po swej ulicy po zapadnięciu zmroku, gdy zapalono już światła. Widział wtedy, jak przechodnie pędzą za swoimi sprawami, czego nie dostrzegał rankiem. Nie mógł się doczekać wieczoru, by bez pośpiechu czytać, słuchać muzyki, oglądać telewizję. Czasami wydawało mu się, że wraca do życia tylko na drugą część dnia, poprzedzającą moment, w którym z westchnieniem postanawiał przygotować sobie łóżko i iść spać, mimo iż wiedział, że kolejna noc, jeśli nawet nie bezsenna, będzie niespokojna.

Dostrzegał symptomy starzenia się zarówno w swych bezcelowych zajęciach, jak i w kompletnie niezasłużonej beczynności. Jedyne, na co potrafił się zdobyć, to zachować te objawy w tajemnicy. Uznawał jednak za smutną okoliczność, że płomień zgasł tak szybko, pozostawiając tylko mdłe ciepło w piersi człowieka bez impulsów. Zastanawiał się, czy jego życie już nie przeminęło i czy nie wiąże go z nim tylko sporadyczne przyjemności. W każdym

razie jego ostatnie dni były wypełnione przyjemnościami, dzisiejszy też. Słońce świeciło wysoko na niebie i byłoby zbrodnią zostać w domu. Pójdzie więc znów do Biblioteki Londyńskiej. Miał ochotę jeszcze raz poczytać Mauriaca, tak jak w latach dorostania. Potem zje lunch w klubie. Wzdychał, robiąc te plany, całkowicie świadom, że wielu ludzi pozazdrościłoby mu takiego rozkładu dnia. Jego jednak nie cieszył pobyt w przedsiionku piekielnym i zastanawiał się, czy coś jeszcze zmusi go do powrotu na ziemię, czy coś rozbudzi w nim uczucia, które prawdopodobnie wypaliły się już do cna. Wychodząc z domu w najlepszym z nastrojów, na jakie potrafił się zdobyć, nie ucieszył się widząc, że drzwi Dunlopów są otwarte i stoi w nich Kąty Gibb. Był tak pochłonięty myślami, że przez moment patrzył na nią, nie rozpoznając jej. Ubrana była w czarne spodnie i coś, co sprawiało wrażenie czarnego swetra z kaszmiru. Po chwili to coś spadło na ziemię. Rozpoznał sweter Sharon i pomyślał, że stopy dziewczyny muszą być bose. Nie pomylił się. Postanowił, że okaże więcej dobrej woli, niż jest to konieczne, przywita ją i natychmiast zajmie się własnymi sprawami.

— Dzień dobry — powiedział. — Mam nadzieję, że spałaś dobrze?

— Nie, spałam źle — odparła. — Gdybym dobrze spała, nie byłoby mnie tu o tej porze.

— Wydawałoby się, że wpół do dziewiątej...

— Ty chodzisz wcześniej spać, prawda? Czy to cię nie nudzi?

Pytaniu towarzyszył półuśmiech wyrażający pewność siebie, jakby Katy oczekiwała, że teraz zostaną przyjaciółmi.

— Będziesz musiała mi wybaczyć. Jestem dziś rano dość zajęty.

Jęknął, słysząc swe własne kłamliwe słowa. Ale

uznał za konieczne otoczyć się murem półprawd. W przeciwnym razie nie uniknie ciągłych kontaktów z intruzem.

Katy skierowała się w jego stronę, stąpając bosymi stopami, z promiennym uśmiechem na ustach — tym samym, którym obdarzyła go pierwszego dnia. To była jej odpowiedź. Spostrzegł świeżo umyte włosy, ciągle jeszcze lekko wilgotne i pachnące szamponem cytrynowym.

— Gdybyś zechciał zrobić mi filiżankę kawy, to właściwie mogłabym dotrzymać ci towarzystwa przez pół godziny.

Ze zniecierpliwieniem, a także pod wpływem masochistycznego pragnienia poddania się jej woli, woli, która z nudów chciała teraz podporządkować go sobie, otworzył drzwi ze zbędnym impetem i wskazał dziewczynie drogę do środka.

— Kawa czy herbata? — zapytał oschle.

— Świetnie, może być herbata, a do niej grzanka. Grzanka to coś cudownego.

Katy wydawała się teraz rozmarzona i odprężona, co go zdziwiło, ponieważ dotychczas cały czas trzymała się na dystans. Najwyraźniej kilka zdań, które wymienili poprzedniego wieczoru, zostało dobrze przyjętych. Musiał powiedzieć coś, co do niej trafiło.

— Chyba nie jadłaś śniadania? — zauważył.

— Nigdy nie jadam śniadania — odpowiedziała ciągle tym samym rozmarzonym tonem. Po chwili smarowała grzankę miodem.

— Zwykle jem lunch poza domem. Bo zanim wstanę, wezmę kąpiel i się ubiorę, na śniadanie jest już za późno. Wiesz, jak to bywa.

Udało jej się wciągnąć go w swe prywatne sprawy, a raczej w prywatne szczegóły porannych zwyczajów. Przypatrywał się jej ukradkiem. Z pewnością była wyszorowana i wypielegnowana.

Zadbała o siebie rano, nie szcędząc wysiłku. Miała zaróżowione

policzki, ale nie zrobiła makijażu. To znaczyło, że na razie widzi zagruntowane płótno. Dopiero gdy zaprosi ją na lunch, zobaczy to, co już raz objawiono mu pierwszego wieczoru: cudowne przeistoczenie i obraz tajemniczej kobiety. Jeśliby jednak ktoś go pytał o zdanie, to wołał ją przed przeistoczeniem. Było w niej coś pociągającego, chociaż z pewnością nie była piękna. Miała niewielkie, wodniste szarobłękitne oczy. Mysie włoski prężyły się jak struny. Z pewnością natomiast można by jej pozazdrościć cery — prześlicznej, gładkiej, z połyskiem znamionującym młodość i zdrowie. W czarnym ubraniu jej figura prezentowała się doskonale, choć niewielka pulchność w okolicy żołądka zdradzała przyszłe kłopoty z wagą — uznał.

— Jesz dzisiaj lunch poza domem? — zapytał.

— Jeszcze nie wiem. Muszę się skontaktować z przyjaciółmi. Teraz ich nie ma. Czeka mnie kilka telefonów.

— Twoi przyjaciele pracują?

— Jedni tak, inni nie. Większość z nich nie musi.

— Co zrobisz, gdy wrócą Dunlopowie? Katy wzruszyła ramionami.

— Wyprowadzę się i zamieszkać gdzie indziej. Mogę mieć tysiące zaproszeń. Wystarczy, żebym podniosła słuchawkę. Nie martwisz się chyba o mnie, co? W każdym razie nie ma powodu. Jestem z siebie bardzo zadowolona. Odbieram siebie pozytywnie. Tak się czuję w tym momencie, rozumiesz?

— Tak to się określa w Kalifornii?

— Mówi się o samorealizacji. Howard mnie tego nauczył. To oznacza zaakceptowanie tego, czym jesteśmy w głębi. Dlatego właśnie trzeba iść zawsze z podniesionym czołem, odbierać siebie pozytywnie i mieć dobry kontakt ze swoimi uczuciami. Świat musi zrozumieć, że jesteś kimś wielkim. Pomyślał, że jeśli adepci Howarda Singera przez

większość czasu przekonują się nawzajem, że są kimś wielkim, to niewiele im go zostaje na powiedzenie sobie czegokolwiek innego. To był bez wątpienia świetny sposób terapii płatnej od godziny dla ludzi raczej naiwnych lub samotnych, a przede wszystkim podatnych na sugestię. Z tego właśnie korzystał Howard Singer. Mówił im, jacy są wielcy i jak ważne jest, by inni o tym wiedzieli. Bland wyobraził sobie salę gimnastyczną wypełnioną dorosłymi ludźmi w dresach, którzy posłusznie samorealizują się do końca sesji. Z pewnością niektórzy nawet się napraszają, by Howard przyjął ich o północy i zajął się dręczącymi ich wątpliwościami. To są owe „godziny spotkań”, podczas których nieśmiało można wyznać całą prawdę — i kto wie, co za prawda wychodzi wtedy na jaw — zanim trudy samorealizacji zostaną ponownie podjęte w świetle codziennego dnia. Ciekawe, jakby ten Singer radził sobie z ową polityką dobrego humoru na każdą okazję, gdyby ktoś koniecznie chciał mu wyznać całą prawdę i na to nalegał?

— A co się dzieje, jeśli ktoś ma prawdziwy problem? — zainteresował się. — Jeśli na przykład przyjdzie z czymś takim jak kazirodztwo albo wampiryzm?

To ostatnie miało być żartem, ale Katy nie chwyciła dowcipu.

— Do niego zgłaszają się ludzie, którzy mają kłopoty z obżarstwem, nie kazirodztwem — wyjaśniła.

— I co on im radzi?

— Obejmuje ich.

— Co to znaczy „obejmuje ich”?

— Zapewne słyszałeś o terapii przez obejmowanie. Jeżeli ktoś dostaje kręcka, to on go obejmuje i każe mu się wyplakać.

— Co to daje takiemu pacjentowi?

— Chwyta kontakt ze swoim bólem.

— I z dzieckiem w środku, to znaczny z wewnętrznym dzieckiem — natychmiast się poprawił.

— Właśnie, i to działa.

Co do tego ostatniego miał wątpliwości. Obejmowanie mogło działać przez pół godziny, ale nie mogło wywołać przemiany, a z pewnością ci ludzie pragnęli przeistoczenia. On sam tego pragnął i co więcej, obiecano mu je w dziecinnych bajkach, których owiane grozą wspomnienie zachował do dziś. Jakież smutek tchnął z tych baśni. Chłopcy rąbiący drewno i małe syrenki — ileż oni wycierpieli! Ojciec popisał się rzadkim przebłyskiem inteligencji, dając mu w prezencie bajki braci Grimm i Hansa Christiana Andersena zamiast współczesnych bajek, których się domagał. Odtąd smutek tych chłopców rąbiących drewno i tych małych syrenek zlewał się z żalnością, do której skłonna było jego własna natura. Stąd czerpał pewność, że jego żal jest usprawiedliwiony i że stanowi wstęp do upragnionej przemiany, którą wywoła uśmiech losu lub fortuny, pozwalając mu dotrzeć do szczęśliwego końca. Ale szczęśliwy koniec nie nadchodził. Co prawda z tego nie wynikało jeszcze, że nigdy nie nadejdzie, więcej — mógł nawet sądzić, że jeśli będzie cierpliwie czekać, zostanie wreszcie nagrodzony w sposób nieprzewidziany. Odczuwał silną irytację z powodu Howarda Singera, który znalazł sobie popłatne zajęcie i pozbawiał pacjentów wizji przeistoczenia. On dawałby im znacznie więcej — akceptowałby ich i rozumiał. Postawę tę przejął od młodych kobiet u siebie w pracy. Była częścią ich emocjonalnych kwalifikacji i jakby nową wiarą. Chociaż kiedyś rozczulił go tytuł w popołu-dniówce. Delektował się, czytając go: „Kobiety chwytają się boksu, by przewyciężyć stres”. Tak jakby tylko przez dokopanie komuś mogły uwolnić napięcie spowodowane wiecznym obnoszeniem po-



godnej miny. Jak Howard Singer radził sobie ze stresem? Czy boksował się terapeutycznie z pacjentkami, jeśli czuł, że ich nienawidzi, bo przecież to też musiało się zdarzać? A ta dziewczyna, która wdarła się do jego mieszkania nie wiadomo jak i po co, czy jest naprawdę tak głupia jak to, co mówi? Zauważył, że teraz przynajmniej nie kłamie i nie kręci. Z pewnością myśli, że zawiera mu sekrety i dzieli się z nim bardzo użytecznymi informacjami. To zaczęło go drażnić. Odczuł do niej tak ostrą niechęć, że aż był tym zaskoczony.

— Musisz mi wybaczyć — odezwał się — ale złapałaś mnie, w momencie gdy wychodziłem.

— A kiedy wrócisz? — zapytała.

— Nie mam pojęcia. Czy jest jeszcze coś...

— Tak tylko pomyślałam, że jeśli będziesz po południu, a ja nie będę miała nic lepszego do roboty...

— Oczywiście, oczywiście, tak tylko sobie pomyślałaś.

W jego uszach to, co powiedział, zabrzmiało jak okropny zgrzyt, ale dziewczyna najwyraźniej nie wychwyciła ironii.

— To wpadnij może na herbatę — dodał — lecz nie przed piątą, dobrze? Teraz już muszę iść.

— W porządku, o co ci chodzi?

Podniosła ramiona w geście wyrażającym dystans i pojednawczość.

— Sama mam coś do zrobienia, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Zobaczymy się później.

Obróciła się, żeby wyjść, ale widać było, że jej się nie spieszy. Dała mu czas, by mógł obejrzeć jej pełne biodra w obcisłych czarnych spodniach. Poruszała się powoli, przesadnie podkreślając ruchy.

Czuł, jak jego irytacja narasta. Sam jej widok go rozwścieczał.

Dysząc ze złości, zbiegł po schodach. Była już prawie jedenasta i prawdopodobnie resztę dnia trzeba spisać na straty. Dlaczego na to pozwolił? Szedł

niezwykłym dla siebie szybkim krokiem w dół Kendal Street, swojej ulicy — przypomniał sobie. Tu mieszkał, tu było jego mieszkanie, za które płacił i którego był właścicielem. Potem ruszył przez Connaught Street i Edgware Road. Nie zwolnił kroku, aż znalazł się przy Berkeley Street i skierował do Selfridges. Pierwotnie chciał zacząć od zrobienia zakupów, a później odwiedzić Bibliotekę Londyńską. Teraz pilniejsze wydało mu się zacząć od książek, za którymi mógłby się schować i osłonić od pustych „godzin spotkań”, które mu groziły. Wzbierał w nim niesmak do siebie, że tak łatwo ulegał prośbom tej dziewczyny. Ona najwyraźniej nie odczuwała jego powściągliwości albo zdecydowała, że będzie ją ignorować. Chociaż kiedy jej to odpowiadało, potrafiła obrażać się bez powodu, zaznaczając to cedzeniem słów i przybieraniem tonów imitujących niezadowolenie klas wyższych. Dobrze wiedział, że to gra, i ona też doskonale o tym wiedziała. Ci bogaci przyjaciele, w których istnienie skądinąd wierzył, niewiele poza tym ją nauczyli.

Ciągle nie dawało mu spokoju pytanie, z czego się utrzymywała lub inaczej — dlaczego właściwie była bez pieniędzy. Zdawał sobie sprawę, że ludzie w jej wieku albo mówiąc ściśle, w wieku, który postanowiła udawać, nie przejmują się pracą tak jak on. Praca stanowiła dla niego istotę życia, z którego pozostało mu teraz tylko wspomnienie. To zrozumiałe, że młoda kobieta nie chce spędzić życia przy biurku, tak jak on. Poza tym, mimo barbarzyńskiego sposobu wyrażania się, dziewczyna była sprytna i może nawet robi karierę, uruchamiając to beznadziejne przedsięwzięcie. Musi tylko mieć dobry start. Co więcej, wyrobiła sobie całkiem trafny obraz jego możliwości i majątku. Nie miał wątpliwości, że zanotowała to sobie w pamięci i w przyszłości zamierza go oskubać. Czeka ją jednak rozczarowanie. Nie jest taki głupi,

by jej zaufać lub by ustąpić pod jej naciskiem. Z pewnością jest przekonana, że uwiedzie go swym urokiem. Postanowił być jednak nieczuły na jej wdzięki. Ten urok był wykalkulowany, zbyt instrumentalny, wprost nachalny. Sztuczna mieszanina światowego stylu i stylizacji na młodość. Nawet imię Katy, zamiast Katharine, wybrała z premedytacją. Spostrzegł wielokrotnie podczas swych wypadów do współczesnego świata, że wiele twardych i bezwzględnych kobiet używało zdrobnień, jakby chcąc w ten sposób rozbroić oponenta lub zapewnić go, że w głębi duszy są kochanymi istotkami.

To, co odczuwał — jeśli pominąć automatyczne reakcje na zauważone szczegóły i niemal mimowolnie postrzegane cechy: skóra bez skazy, niespodzianie dojrzałe biodra — było obezwładniającą złością; złością, która wprawiała go w zdumienie. Chodziło nie tylko o to, że dziewczyna porwała mu na strzępy dzień, który zamierzał poświęcić własnym, niewinnym sprawom; nie tylko o nieprzerwany potok żargonu, którym raniła jego uszy; nawet nie o jej dwulicowość i interesowność. Jego stłumione dotąd uczucia osiągnęły nagle gigantyczne rozmiary i domagały się ujawnienia. Ogarnęło go pragnienie, by — mówiąc najprościej — skrócić babie kark. Ale to by go jeszcze nie zaspokoilo, to byłoby zbyt banalne, to by nie pohamowało jego gniewu, który zaczął mu teraz sprawiać przyjemność. Skręcenie karku czy zadanie jej innego fizycznego bólu nie rozwiązywało sprawy. Podejrzewał, i na samą tę myśl serce zaczęło bić mu żywiej, że fizyczne znęcanie się na nią, że dręczenie jej ciała dałoby mu niezwykle zaspokojenie seksualne. Po nieoczekiwanej wyrazistości tej myśli rozpoznał, że odkrył przed sobą długo skrywaną prawdę. To, co teraz odczuwał, było interesujące, ekscytujące, niepokojące, a nawet niesmaczne. Zdał sobie sprawę, że gdyby miał się do niej zbliżyć,

byłby bezceremonialny, bezwzględny, ostry i wrogi w sposób, na jaki nigdy sobie nie pozwalał, kochając kobietę, gdyż zawsze traktował swe partnerki z szacunkiem. W swoim przywiązaniu do Louise, w swych kontaktach z innymi kobietami — cielesnych lub sentymentalnych — był zawsze bardzo poprawny. Teraz byłoby inaczej. Ta myśl huczała mu w głowie, jakby trafił go kamieniem niewidzialny napastnik.

Przez chwilę wczuwał się w istotę hedonizmu, w coś atawistycznego, pogańskiego, samolubnego. Czuł w sobie jakiś poryw, ślepy napęd, beztroskę i prawdę wyrażaną przez niezakłamane ego. Był gotów niszczyć i porazić każdego, kto by stawiał mu opór, a sam pozostałby bez trwogi, odporny na ciosy. Niewielu potrafi się przyznać do takich uczuć — pomyślał, uzmysławiając sobie jednocześnie, że ich dionizyjski smak łatwo prowadzi do nałogu. Z pewnością człowiek w jego wieku i z jego charakterem musi umieć opanować takie pożądania. Co jednak zobaczył, to zobaczył, a to, co odczuł, nie tylko go oszołomiło, lecz i przywróciło do życia. Gdyby postępował w ten sposób, znałby smak wolności. Znałby go, jeśliby przestał dbać o innych, a właściwie przestał się troszczyć o to, z czym inni mu się narzucają, licząc na jego powściągliwość, oględność, nawet cnotę. Gdyby zerwał z tym wszystkim i ze wszystkim, co z tego wynika, byłby jak bogowie, ci starożytni, beztroscy i bezkarni bogowie z ich pogmatwanym i chciwym życiem prywatnym. Opuszczając ziemię, zajmowali swe miejsce na Olimpie, i tam ludzkie życie też powinno znaleźć swój koniec, uwolnione od pokuty i strachu przed nieubłaganym bóstwem, które żąda czołgania się na kolanach, które wciąż samo odczuwa ból i nie pozwala śmiertelnym uwolnić się od siebie, żądając wiecznie powtarzanej ofiary. A ból, który by on sam zadał? Nikt nie mówi, że byłby to ból śmiertelny. Chciałby

tylko zdobyć się na zwierzęcą radość, zbyt długo tłumioną, zastraszoną, dziś dopiero ujawnioną. Oczywiście były to ohydne myśli. No, ale nikt ich nie musi znać — powiedział sobie, idąc Bond Street w blasku przenikliwego acz krótkotrwałego zimowego słońca. Co pomyślał, zachowa dla siebie. Był cywilizowanym człowiekiem. Nie gwałcił i nie rabował. Jego agresywne instynkty, nigdy zresztą nie nazbyt mocne, wyeliminowało wychowanie. Potrafił doskonale ukryć, że jednocześnie pożądał tej dziewczyny i darzył ją niechęcią; że pożądał jej w jakiś pokretny sposób i zarazem pragnął ją zniszczyć. Nie był jednak potworem i zdając sobie sprawę ze swych szczególnych i nie kontrolowanych pragnień, wiedział, że inni mężczyźni też je odczuwają i że z pewnością nie pozwalają sobie na działanie pod ich wpływem. W istocie, kiedy myślał teraz o tej dziewczynie, czując się niczym wampir — to dziwne, że nawet wspomniął coś o tym — wydała mu się godną litości ofiarą kalifornijskich bzdur psychologicznego znachora, bezbroną ze swymi naiwnymi ambicjami, gdy on tymczasem zapadał się w trzęsawisko, które się przed nim nieoczekiwanie otworzyło. Nigdy nie wykorzystywał kobiet do własnych celów i nie zrobiłby tego, choć Katy od początku się o to prosiła. Była chętna i gotowa, ale nie miało to nic wspólnego z jego obecnymi uczuciami. Litował się nad nią, bo była obiektem jego nie ujawnionych pragnień. Żałował jej, wiedząc, że nie ma co ze sobą zrobić w mieszkaniu Dunlopów, że cały jej majątek jest zamknięty w nylonowej torbie, że jej fałszywe ambicje rozbijają się o jego powściągliwy chłód. Strach przed nią znikł bezpowrotnie; musiał to być strach przed jego własnymi, skrywanymi uczuciami. Pozostał wstyd — to oczywiste — oraz rodzaj jakiegoś niezwykłego smutku, będącego przeciwstawieniem pragnienia. Tak jakby bezpośrednio od-

czuwał smutek tej młodej kobiety, powtarzającej z takim zapamiętaniem swoje mantry w obojętnym świecie. Odczuwał smutek dziewczyny wrzuconej do ciemnego londyńskiego mieszkania, czekającej na odmianę losu i uwolnienie z kłopotów, w których się znalazła nie zapowiedziana przez nikogo, nie oczekiwana i — jeśli nie liczyć jej chaotycznych i nieudolnych planów — bez środków utrzymania. Oddychał swobodniej. Trzeba jej pomóc. Ucieszył się ze swego postanowienia. Gdyby nie litość, wyrzuciłby ją całkiem z pamięci. Potrząsał pobłaźliwie głową na myśl o swoich rozpustnych impulsach, które dopiero co doszły do głosu. Po zastanowieniu odkrył jednak, że nawet jego litość wyrastała na jakimś erotycznym podłożu. Gdy uprzytomnił to sobie, jego policzki oblał błądy rumieniec.

Przeszedł Duke Street, celowo nie zaglądając do galerii malarskich, które go zwykle zatrzymywały. Czuł się jakby zbudzony z długiego snu. Podejrzewał, że w jakimś sensie jest to nawet prawda. Znów kroczył jak mężczyzna, z uniesioną głową i patrzył w twarz młodym ludziom mijającym go na ulicy. W Bibliotece Londyńskiej ktoś znajomy powiedział mu, że świetnie wygląda. Ale ta biedna dziewczyna ma przyjść na herbatę — przypomniał sobie. To wydało mu się ważniejsze niż zajęcia na wyższych piętrach Biblioteki. Z roztargnieniem zdjął książki z półki. Nie pamiętał, którą chciał przeczytać. Ponieważ Katy była zachłanna, postanowił ją nasycić. Niech sobie napycha usta słodyczami. Ta myśl też miała jakiś erotyczny podtekst, który natychmiast stłumił. Zdecydował, że szybko zje lunch w klubie, potem kupi tort u Fort-numa i wróci do domu, póki słońce rozjaśnia swym złudnym blaskiem ulicę miasta. Wyobraził sobie późniejsze godziny: słońce obniży się, poczerwienieje, straci blask i wreszcie całkiem zniknie w zapadającej

ciemności. A on będzie w domu jadł tort. Ta myśl wprawiła go w dziecinne rozbawienie. Był to przecież dzień niespodzianek. Nie będzie potrzebować popołudniowej drzemki. Nigdy w życiu nie czuł się tak rozbudzony.

Leciutki cień jego zwykłej melancholii pojawił się, gdy beczynnie czekał na nią, siedząc na krześle. To śmieszne, żeby człowiek w jego wieku tak spędzał czas. Ale co innego mam robić — pytał sam siebie — z czasem, który mi pozostał? Czemu nie miałbym się rozerwać w jakiś nieszkodliwy sposób? Właśnie — dlaczego nieszkodliwy? Ciągle mu to samo chodziło po głowie. Właściwie wszystko, co teraz robił, nie było tak całkiem nieszkodliwe, i czuł się z tego powodu nieswojo. Ktoś nieżyczliwy mógłby powiedzieć, że ogarnęła go słabość, że jest żaloszny i bardziej przypomina sierotę niż oczekiwany przez niego gość, którego zamierza otoczyć opieką. Zrozumiał, że tylko jej zwierzęca obecność przywraca mu życie. Gdy układał kawałki tortu na talerzu, niespodzianie odczuł ponowne ukłucie smutku. Litował się nad samym sobą. Musi się przed tym chronić — postanowił. Nie może sobie pozwalać na biadolenie. Mimo to, dopóki czekał, nie mógł się opędzić od smutku, który starannie zacierał ślady minionej orgii uczuć.

Kiedy przyszła, żal i smutek ustąpiły miejsca zwykłej bezradności. Znow zrobiła makijaż i nasączyła się tym odrażającym pachnidłem, które przylgnęło do niej podczas zakupów z panią Lydiard. Wyglądała bardziej przystępnie niż poprzednim razem, może dlatego że przestała się mieć na baczności. Zakręciła się po pokoju, lustrując jego wyposażenie. Zajrzała do pudełka z cygarami, obróciła wazon, by zbadać go ze wszystkich stron. Cały czas nuciła coś pod nosem.  
— Kąty, może usiądziesz i napijesz się herbaty? — zaproponował, zdając sobie sprawę, że jej wizyta

będzie męcząca, że wolałby, aby jak najprędzej się wyniosła. Chciał pozostać sam z Mauriakim. — Zobacz, kupiłem dla ciebie tort.

Jego słowa wydały mu się śmieszne. Zrozumiał, że będzie musiał użyć całego wysiłku woli, by nie wpaść w zniecierpliwienie.

— Wielki Boże, nie spodziewasz się chyba, że będę jeść coś, co ma w sobie biały cukier? Poza tym jestem na diecie.

Podwinęła sweter, by pokazać mu pasek od spodni. Zamek z przodu się nie dopinał, szew na boku był lekko naciągnięty. Dostrzegł wałek mlecznego ciała, które wywołało w nim niesmak.

— To przynajmniej usiądź — powtórzył. — Nie mogę z tobą rozmawiać, gdy kręcisz się po pokoju. Ciągłe coś nucąc, podeszła posłusznie, upiła herbaty i wytarła błyszczące usta serwetką. W tym geście ujrzał całe jej dzieciństwo. Zastanawiał się, które z nich pierwsze przerwie ciszę.

— Podoba ci się ten pokój, George? — zapytała wreszcie.

— Tak, lubię go — odparł po prostu. W rzeczywistości był z niego dumny.

— Wygląda jak wystawa u Petera Jonesa.

To go zabolalo. Istotnie, większość mebli kupił u Petera Jonesa: tę wielką kanapę w zielone i koralowe paski, dwa stoliki stojące na jej krańcach i lampy na stolikach, przykryte koralowymi abażurami, osadzone w chińskich wazach. Wszystkie meble ustawił przy jedynej ścianie nie zajętej przez regały. Przed kanapą stał szklany stolik na kawę wykończony mosiądzem, a przy nim, sąsiadując ze stolikami, znajdowały się dwa fotele obciągnięte tym samym materiałem w zielone i koralowe paski. Dywan był zielony, zasłony pasiaste. Peter Jones dostarczył mu niezliczonych metrów materiału obiciowego, ale i tak musiał go dokupić. Pokój był nienagannie wykoń-



czony i to samo w sobie bardziej go nawet cieszyło niż efekt estetyczny. Jego wystrój działał kojąco, choć w pochmurny dzień wydawał się raczej posepny. Mimo to kochał zakłęty w tym pokoju spokój. — To ci się nie opatrzyło, George? Trzeba to jakoś ożywić, bo jest zbyt wymuskane. Gdybyś tu rozrzucił poduszki albo zmienił zasłony... A przynajmniej zabierz stąd to biurko, postaw je gdzie indziej, dalej od okna.

To nie było żadne biurko, tylko stolik do pisania listów, doskonała imitacja tradycyjnego mebla ze smukłymi nóżkami i ażurowym mosiężnym obramowaniem wystającym ponad powierzchnię blatu. Wykonano go na początku wieku i reprodukcja była znakomita. Pochodziła od solidnego rzemieślnika, co nie zmieniało faktu, że stolik był zbyt delikatny do codziennego użytku. W szufladzie umieszczonej pośrodku Bland trzymał zapasową książeczkę czekową. Prawdziwą korespondencję załatwiał przy większym, cięższym biurku, stojącym w gabinecie, czyli w małym, ciemnym pokoiku z oknem wychodzącym na podwórze. Stolik pełnił wyłącznie estetyczną funkcję. Kupił go na licytacji i pouczył panią Cordozo, że ma się z nim ostrożnie obchodzić podczas ścierania kurzu. Mebel żył tu sobie własnym życiem, nikomu nie wadząc, w rogu pokoju przy oknie, niemal nie używany. Bland traktował go jak obraz na ścianie, jak ozdobę. Lubił na niego patrzeć.

— Stoi przy oknie, ponieważ powinien być blisko światła — wyjaśnił uprzejmie.

— Jak to? Nie masz lampy czy co? Zaraz zobaczę, jak będzie wyglądać po drugiej stronie, naprzeciw drzwi. Nie, nie ruszaj się. Sama sobie poradzę.

— Proszę, zostaw go, Katy. Lubię, kiedy tam stoi.

— Nic nie mów, tylko czekaj.

Żwawo, z szybkością, której się po niej nie spodziewał, rzuciła się na stolik, przeniosła go na drugi

koniec pokoju i huknęła nim o regał. Biografia Picassa przechyliła się na sąsiednie książki. Lawina paperbacków posypała się na podłogę. Lampa na szczycie regału wyskoczyła ze swego umocowania.

— Zobacz, teraz wygląda lepiej, nie sądzisz?

— Prawdę powiedziawszy, nie sędzę.

Tylko ospałość jego charakteru tłumaczyła fakt, że na ten eksperyment pozwolił. Pocieszał się myślą, że wszystko wróci na swoje miejsce, gdy Katy wyjdzie.

— Ach, jaki ty jesteś, George. Lubisz to, do czego się przyzwyczaiłeś. Pamiętaj, że jedynie zmiana pozwala rosnać.

— Nie sędzę, żebym chciał jeszcze rosnać. Roś-nięcie było bolesne.

— Nie chodzi mi o prawdziwe rośnięcie. Mówię

o osobistym rozwoju. Boże drogi, każdy rośnie, gdy jest dzieckiem. Osobisty rozwój to co innego.

— Rośnięcie nie jest takie proste, jak je przedstawiasz.

Zignorowała tę uwagę.

— Rozwój osobisty wymaga ukierunkowania. Czy ty umiesz się dzielić, George?

Patrzył na nią, jak siada na dywanie, na jednym z jego nieskazitelnych jaśków. Nie miał ochoty się dzielić. Znowu miał ochotę na podbój, zawłaszczanie, kanibalizm. Mógł się zachować gwałtownie. Banalność jej zachowania i uwag wyzwalała w nim instynkt mordercy. Jednocześnie jej otwarty wyraz twarzy

i nieoczekiwana przyjaźń, którą gotowa była go obdarzyć, rozbrajały go. Ona myśli, że mnie rozbraja swą pomysłowością. Sądzi, że ma mnie w worku. Stąd to zaufanie — przemknęło mu przez głowę. Znow ogarnął go niewypowiedziany smutek. Niestalość jego własnych nastrojów, przechodzenie od rozdrażnienia i podniecenia do melancholii i poczucia przegranej, wprawiała go w zdumienie. Nie radzę sobie z tym wszystkim — skonstatował. Znalazłem

się na polu minowym. To się dzieje o trzydzieści lub czterdzieści lat za późno. Mogłem się tak czuć, gdy byłem młodym człowiekiem, gdy nie miałem czasu na zastanowienie. Teraz jestem stary, a ta przekłeta dziewczyna jest młoda i pyta, czy umiem się dzielić, nawet się nie domyślając, co mi chodzi po głowie.

— Napijemy się jeszcze herbaty? — zapytała. — Może ja nastawię wodę?

Spojrzał teatralnie na zegarek.

— Mój Boże, nie wiedziałem, że już tak późno. Niestety, zaraz będę musiał wyjść.

— Jakieś interesujące spotkanie?

Nie mógł już dłużej znieść tych kabotyńskich pytań.

— Nie, niezbyt interesujące.

Postanowił, że pójdzie na terapeutyczny spacer po ulicach, przez które inni pędzą do domów. Musiał zostać sam.

— No cóż, jeśli musisz — rzuciła przez zęby i jej twarz przybrała pogardliwy wyraz.

— Jestem pewien, że i ty masz coś do zrobienia — powiedział łagodnie. Gdyby tylko potrafił nie dostrzegać tego, że dziewczyna czuje się skrzywdzona.

— Oczywiście, już ci mówiłam. Muszę rozkręcić interes. Właściwie mam bardzo mało czasu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy to prawda. A nuż Katy była bardziej prostolinijna, niż mu się wydawało? Dostrzegał w niej jakąś determinację i choć brakowało jej inteligencji, wyglądało na to, że ma silną osobowość. Mógł sobie wyobrazić, że podporządkowuje sobie młode kobiety, a może nawet młodych mężczyzn. Jeśli los się do niej uśmiechnie, stanie się odpowiednikiem Howarda Singera w Londynie. Z pewnością mieszka tu wielu ludzi, którzy chętnie usłyszą, że są kimś wielkim. Wróżba jednak nie wypadła pomyślnie. Jej ospałość, a zarazem stała gotowość do składania wizyt wskazywały, że nie

wypełnia sobie czasu planowaniem i organizowaniem firmy, tylko na coś czeka. Poza tym jej wizyty u niego nie były bynajmniej niewinne. Nadejdzie chwila, w której znów wspomni, że potrzebuje sponsora. Na szczęście był od niej bardziej doświadczony. Zdoła sobie poradzić.

Uważał się za człowieka cierpiącego na skutek skłonności do wnikania w siebie. Ale nie mógł przed sobą ukryć, że Katy wywołuje w nim zaćmiewające umysł pomieszanie pożądania i niechęci.

Pragnienie podporządkowania jej sobie pojawiało się w mglistym i nieokreślonym kształcie, gdy jej koło niego nie było; znikало natychmiast w jej obecności. Jej zachowanie było wieloznaczne i zbijające z tropu, tak jak ta płatanina uczuć, która go przytłaczała pod jej nieobecność. Jej uchwytny, cielesny kształt i twarz wyćwiczona w udawaniu wywoływały w nim litość, a nawet rozpacz. Teraz zamknęły się za nią drzwi i ogarnęło go poczucie pustki. Mógł powrócić do porannych rojeń, że przemienia się w rodzaj wilkołaka. Ta wizja pochłaniała go co chwila, tak jak innego mężczyznę może absorbować pornografia. Utrzyma się w korbach — mówił sobie — jeśli tylko zachowa ją w tajemnicy. Tym bardziej że pokusa miała charakter wyraźnie mózgowy, a nie fizyczny. Ani razu nie myślał serio o kontakcie seksualnym z Katy. Pod tym względem czuł się całkiem bezpieczny. Po prostu, tak jak w wypadku Odetty Swanna, Katy nie była w jego typie.

Ogólnie rzecz biorąc, byłoby lepiej, gdyby sobie pojechała lub gdyby on sam wyjechał. Znów pomyślał o Rzymie i zastanowił się, jakie musiałby poczynić przygotowania. Odłożył plany na później. Zawsze dostanie pojedynczy bilet — uznał. Louise nie potraktowała jego propozycji zbyt serio, nie będzie więc zawiedziona. A jeśli będzie, to i tak mu wybaczy. W przeszłości nie nadużywał jej anielskiej zdolności

do przebaczenia. Nadto ciągle pamiętał swą własną wspaniałomyślność, jaką okazał na wieść o jej ślubie. Był wówczas zaszokowany, ale zachował się z godnością. Chociaż nie przyszło mu to z trudem. Nadal była mu droga, lecz już nie odczuwał tej ostrej namiętności, która pchała go w jej ramiona podczas pierwszych spotkań. Wtedy pożądanie było nie do opanowania. Jego ostrze zostało z czasem stępione przez akceptację niemal każdej jej opinii, przez dobre o niej mniemanie i przez podziw. Ciągle pod wieloma względami była ideałem. Lubił myśleć o niej, że jest niezwykle przyzwoita, i jej rzetelność nigdy nie straciła w jego oczach swego uroku. Tą właśnie zaletą Louise zabezpieczyła ich związek przed wszelkim zagrożeniem, które pojawiało się zawsze, gdy miał wrażenie, że zbliża się do krawędzi akceptowalnego zachowania. Teraz znów znalazł się, nie wiadomo dlaczego, na tej krawędzi.

Z perspektywy jego życie wydawało mu się długie i pozbawione dramatycznych wydarzeń. Wypełniała je walka o miejsce w świecie, prowadzona skromnymi środkami i przez to bardziej wyczerpująca. Zdobył to, czego pragnął, lecz teraz wynik wydał mu się niewart włożonych starań. Jak inaczej miał sobie wytłumaczyć te pierwotne emocje, które nim owładnęły? Może wszedł w okres przemiany? Może Howard Singer potrafiłby wydobyć go z tego stanu lub raczej — jak zdaje się woleli mówić jego zwolennicy — „przeszedłby z nim przez to”. Uśmiechnął się na myśl o tym, że mógłby szukać pomocy w grupie wzmacniającej ego, choć wiedział, że takie grupy istnieją, a prowadzą je często zwolnieni z pracy urzędnicy. O takich zbędnych pracownikach pomyślał jako o „nadliczbowych” i postanowił jeszcze raz zastanowić się nad swą sytuacją. Na razie nie było powodu, żeby nie miał sam się zająć swoimi schorzeniami. Chyba najlepiej je rozumiał.

Postawił stolik do pisania listów na dawnym miejscu, starając się nie dostrzegać zadrapania na jednej z jego nóg. Wyposażenie mieszkania przestało go nagle interesować. Nie obchodziło go, co się z tymi przedmiotami stanie. Jeśli wyjedzie, sprzęty będą na niego czekały. Jeżeli nie wróci, one nadal tu zostaną. Fakt, że go prawdopodobnie przeżyją, nieco go speszył. Czemu nie są w stanie odczuć nawet nieskończenie małego żalu po nim, choć on z żalem rozstawałby się z nimi? Dlaczego upływ czasu tylko jego dotyka?

## VII

W świetle poranka — białym, przejrzystym rozbłysku zimy, lepiej rozgarniającym mrok niż światło poprzednich dni — jego stan umysłu wydał mu się zagadkowy. Z pewnością przede wszystkim odrażający, ale również jakiś nieokreślony. Miał nadzieję, że się nie posypie i nie stanie się niedołężnym staruchem, fizycznie nieszkodliwym, pożerany przez podejrzane pragnienia. Powitał panią Cordozo z większą niż zwykle uprzejmością, zrobił kawę jej i sobie, a następnie oznajmił, że wychodzi na większą część przedpołudnia. Potrzebował przestrzeni i odległości. Postanowił się przejść.

Nie miał na myśli grzecznego spaceru po parku, ale wypad w możliwie nie znaną mu krainę, a przynajmniej w zupełnie obcą okolicę, z obcymi ulicami i małymi domkami, w których toczyło się życie. To życie wyobrażał sobie tylko mgliście, lecz pociągało go ono stale, z zadziwiającą siłą. Ulice miast europejskich wydawały mu się swojskie i nie wywoływały zdziwienia. Gdy natomiast widział te zamknięte, nieme, małe domki, przypatrujące się sobie z przeciwnych stron szerokich, pustych ulic, przeszywał go dreszcz, jakby stanął przed jakąś tajemnicą. To

była treść jego niedziel. W gasnącym świetle późnego popołudnia domy sprawiały wrażenie opuszczonych i nie zamieszkanym, stanowiły martwy pejzaż bez objawów życia. Urodził się w takim domu, choć w innym mieście. Tam popołudnia rozciągały się w nieskończoność i tylko zabłąkany przechodzień był dowodem, że ludzkość nie wymarła. Nigdy już tam nie wrócił, ale jego wygodne życie w centrum Londynu wydawało mu się jakąś aberracją. Był tu kimś obcym, przybyszem, człowiekiem nienawykłym do śródmiejskiego dostatku, który spłynął na niego, zanim zrozumiał, czy wolno mu z niego skorzystać i jak nań zasłużył.

Korzystając z pięknej pogody, przeszedł przez park spieszenie, by jak najprędzej znaleźć się na obcych, lecz tajemniczo swoich ulicach. W parku męczyła go wolna przestrzeń. Trafił na Queen's Gate, tu jednak budynki były zbyt wysokie, zbyt anonimowe i nie wytwarzały oczekiwanego nastroju. Nie zwrócił na nie uwagi, tylko przelotnie zerknął na ich architekturę. Czuł się osłabiony i miał wrażenie, że trwoni siły. Postanowił skierować się do Hurlingham, gdzie już kiedyś trafił pewnej szczególnie posępnej niedzieli i jak w transie dudnił obcasami po bruku pustych ulic. Musiało to być prawie rok temu, ponieważ pamiętał resztki świątecznych dekoracji na wystawach sklepów. Teraz znów zbliżało się Boże Narodzenie. Przed szpitalem na Fulham Road, na podjazdach i parkingach widać było choinki. Na straganach kwiatnych zaś pojawiły się już azalie i wilczomlecze — które szybko zwiędną przy świątecznym kominku — a nadto pierwsze, delikatne żonkile i cudowne narcyzy — jeszcze bez zapachu, nieśmiało ujawniające swe pomarańczowe serca.

Odpęrzył się i uspokoił równym tempem marszu. Jego myśli swobodnie błędziły, tak jak tego pragnął. Ciągłe zalewały go nowe uczucia, uwalniane raczej



przez pamięć niż przez bodźce z otoczenia. Przez jedną krótką chwilę znalazł się znów w przeszłości, ogarnięty dziwnymi emocjami, które budziły się zawsze, gdy myślał o matce. Wspomnienie było bardzo konkretne i choć wydawało mu się kompletnie wyrwane z kontekstu, z czymś musiało się wiązać. Nie wiedział, z czym. Przez moment miał wrażenie, że znowu jest chłopcem, a właściwie młodym mężczyzną, niechętnie mieszkającym w rodzinnym domu. Udręka związana z tą sytuacją nie dawała się wyrazić, a teraz powróciła z nieopisaną siłą. Jeśli będzie tak błędzić myślami po przeszłości i przeżywać swe życie wstecz, to lata, które mu jeszcze pozostały, staną się nie do zniesienia, niezależnie od tego, co mu się w realnym życiu przytrafi.

Jego zatechła sypialnia w domu rodziców wychodziła na skrawek ogrodu. Widok z okna stanął mu w pamięci jak żywy. Przez uchyloną górną część okna wpadało świeże powietrze przesycone zapachem trawy. Matka jednak nie pozwalała otwierać okna, ponieważ bała się złodziei. Jej obawy były bezpodstawne, bo do ogrodu można się było dostać tylko przez dom. Po jego wyjściu do pracy wchodziła do sypialni i zamykała okno. Gdy wracał wieczorem, natychmiast je otwierał. „Mamo — proszę — nie zamykaj mi okna, w pokoju jest duszno”. Lecz ona go nie słuchała. Później się postarzała, rozchorowała i otępiała. Wtedy już nie tylko zamykała okno na cały dzień, ale kręciła się po jego pokoju bez celu, nie chcąc dopuścić, by ktoś je otworzył, w szczególności jej syn.

Kiedy wracał wieczorem, nieszczęśliwy, z fabryki pudełek, jego pokój był duszny, a ponadto przesiąknięty stęchłym zapachem dymu papierosowego. Fakt, że matka pełniła tam rolę, doprowadzał go do szału. Wiedział, że nawet nie patrzy na jego książki ani na to, co napisał. Zupełnie jej nie interesowało,

co robił. Z czasem się z tym pogodził jak z czymś normalnym. Mimo to matka szukała z nim kontaktu, choć było już za późno. On jednak oczekiwał od niej tylko zgody na to, by mógł się wyprowadzić. Miał teraz przed oczami pusty dom, po którym snuje się matka, trafia do jego pokoju, zamyka okno i siada na pół dnia w fotelu, nie pamiętając, po co. W tym okresie jej mowa i świadomość były już zaburzone. Minęło jednak trochę czasu, zanim zdał sobie sprawę z jej demencji. W końcu, powodowany współczuciem, zostawiał okno zamknięte. Myślał, że to ją uspokoi. Do dziś zachował w pamięci, a nawet w nozdrzach, charakterystyczny zapach nadpalonej grzanki i dymu papierosowego — zapach swego pokoju, zapach życia bez powietrza, zapach, który będzie go prześladować do ostatnich dni.

Ten zapach powracał w nieoczekiwanych momentach, przywołując wyraziste obrazy przeszłości, zjawy, których wolałby nie widzieć. Przez większość czasu te zmyły zostawiały go w spokoju i mógł się cieszyć swym nowym, przetworzonym życiem. Ale jeśli ten obecny nagły zalew uczuć był czymś symptomatycznym, to być może ujawniał się w ten sposób jego gorący protest przeciwko ręce, która próbuje sterować jego życiem. Dręczyło go wciąż pragnienie uniezależnienia się, pokonania każdej przeszkody, która mogłaby mu stanąć w poprzek drogi, nawet jeśli była to groźba pozorna, nic więcej niż jej sugestia lub prowokacja. Najbardziej nieznośnym doznaniem poprzedniego dnia było to chorobliwe pobudzenie, które wychynęło z przeszłości, pojawiło się zniecka i przyłgnęło w sposób niby to przypadkowy do owej dziewczyny, Katy Gibb, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie stanowiła żadnego zagrożenia.

Jeśliby jednak spojrzeć na problem racjonalnie, to matka, ze swym podstępny atakiem na jego teryto-

rium, również nie stanowiła zagrożenia, ale przecież to ona doprowadziła do powstania tych uczuć. Może go nie kochała tak, jak jego zdaniem matka powinna kochać syna, lecz z pewnością nie pragnęła, by stało mu się coś złego. Chociaż zaraz, zaraz! — uświadomił sobie. Ona tam przesiadywała, w moim pokoju, gdy mnie w nim nie było, gdy nikogo w nim nie powinno być, gdy pokój powinien być pusty. W ten sam sposób lub mówiąc ściślej: podobnie, Katy przesiaduje w moim mieszkaniu, gdy tego nie pragnę! Ogarnęła go trwoga na myśl, że mogłaby tam być teraz, a przynajmniej, że pragnie się tam znaleźć. To było niemożliwe, nawet śmieszne, lecz szok, jaki przeżył, miał zbawienny skutek. Bland odkrył źródło swego wojowniczego nastroju, przesłoniętego wiel-kopańskimi manierami. Bronił swojego terytorium. Wydawało się to nawet usprawiedliwione, aby bronił go, prowadząc wojnę prewencyjną, jeśli w ten sposób zdoła powstrzymać bezpośredni atak. Z tego właśnie powodu był narażony na burzę uczuć. Ale prawdziwego zagrożenia nie było, oczywiście, że nie było. A jeśli się pojawi, będzie umiał z całą stanowczością stawić mu czoło. Doszedł do Eel Brook Common. Napięcie ustępowało, jakby rozwiązał zadanie, z którym długo się męczył. Podniósł głowę i przypatrzył się wysokim, niezwykłym domom na skraju skweru. Próbował przybrać pozę niezachwianej pewności, ale ta pantomima, zwykle skuteczna, teraz go zawiodła i poczucie niepewności pozostało. Nigdy już nie będzie bezpieczny, nigdy nie będzie wolny! A przecież poszedł za głosem sumienia, został przy matce do jej śmierci, choć jej ostatnie dni były tak brzydkie jak jego uczucia. Po pogrzebie czuł się swobodnie przez krótki czas, lecz dostatecznie długi, by uciec do Londynu. Teraz znów prześladują go zmory przeszłości, jakby sekret jego wolności został zdradzony

i ujawniony, a wolność okazała się pozbawiona podstaw i iluzoryczna.

Nie miał jednak wyjścia. Ze względu na swoje niezdolności sentymentalne wychowanie mógł tylko spokojnie, bez żalu kontemplować Katy Gibb. Miał wrażenie, że brakowało jej wszystkiego.

Niewątpliwie czyhała na jego pieniądze, ale trudno mu było pojąć, że w tak naiwny sposób zamierza go oskubać. W jakimś sensie był jej wdzięczny za brak pomysłowości. Nie było najmniejszej szansy, by mogła go omotać. Gdy chodziło o pieniądze, potrafił być twardy. W młodości miał ich za mało, a teraz, kiedy był bogaty, postanowił dobrze ich strzec, jakby należały do kogoś innego. Pomysł, że pieniądze Putnama mogłyby wydać na jakiś nedorzeczny interes, wydawał mu się zbrodnią, absurdem. Sporządził bardzo szczegółowy testament, tak dobrze pomyślany, że w istocie zostawił sobie niewiele pieniędzy do końca życia. Większą ich część przeznaczył Louise. Miał nadzieję, a nawet niemal pewność, że go przeżyje. Uważał, że jest człowiekiem zamożnym, ale wydawał niewiele. Ta oszczędność prawie go śmieszyła. Swoje niewygórowane potrzeby: książki, skromne podróże, umiarkowane wydatki filantropijne, z łatwością zaspokajał. Roztrwonienie majątku nie mieściło się w jego kategoriach myślowych. Był więc dobrze zabezpieczony.

Ale bez jego pieniędzy — lub by ująć to delikatniej: bez jego pomocy — dziewczyna przepadnie. Jej wpływowi przyjaciele, ci, którzy mieli zaprosić ją na lunch, pewnie już dawno zdążyli się zorientować, co z niej za ziółko. To raczej on nie potrafił się w tym przez dłuższy czas połapać. Niedługo będzie się musiała wyprowadzić, rzecz jasna. Coś mu mówiło, że nie będzie czekać na powrót Dunlopów. Ponadto przyszła zima, a ona miała tylko kilka szmatek w nylonowej torbie i szykowny kostium od Armaniego, który włożyła na pierwszą kolację. Wszyst-

ko, co nosiła poza tym, należało do Sharon. Ale czemu właściwie nie przestawał o niej myśleć? Przypomniawszy sobie, jak wyglądała przy pierwszym spotkaniu — nieszczęśliwa, nachmurzona, dopóki nie skierowała swego wzroku na niego i na panią Lydiard. Od tego jednak momentu radziła sobie świetnie. Podejrzywał, że równie udane występy miała w innych miejscach, w innych częściach świata, gdziekolwiek tylko można było podbić publiczność. W gruncie rzeczy nie radziła sobie jednak tak dobrze, jak na to wyglądało, i spostrzegawczy człowiek potrafił szybko przejrzeć jej grę. Na przykład pani Lydiard. Najpierw była oczarowana, lecz szybko zrozumiała, co się dzieje, i zniknęła ze sceny. Powinien chyba do niej zadzwonić. Chociaż właściwie nie bardzo miał ochotę słuchać jej przestroóg. Nie czuł się na siłach obmawiać Katy z panią Lydiard. Właściwie mógł o niej mówić tylko ze sobą.

Dochodził do New King's Road, na prawdziwy teren podmiejski lub raczej prawdziwie miejski. Podziwiał proste, krótkie ulice z dziwnymi, jakby greckimi nazwami: Elthiron, Guion. Fasady wiejskich domów wykończone były stiukami. To nowe domy nowych mieszkańców Londynu — bogatych i sławnych — pomyślał. Usłyszał żywiołowe krzyki dochodzące z boiska szkolnego. Popatrzył na zegarek. Była dokładnie dwunasta. Zdecydował, że dojdzie do Putney Bridge, złapie taksówkę i pojedzie do domu. Hałas na boisku przycichł i nagle dzieci wypadły na ulicę, otaczając go ze wszystkich stron, popychając w stronę autobusu, piszcząc i krzycząc. Rozgrzane i rozbawione, nie zwracały uwagi na zimny wiatr. Koniec lekcji przed przerwą świąteczną — uświadomił sobie. Ile w nich energii! Było coś mitycznego w ich ufności do świata. To przyszła rasa gigantów. Jak życie się z nimi obejdzie? Ich rozhukanie od-

bierało mu siły, a może osłabił go spacer. Munster Road. Czemu w środku Fulham znajduje się ulica z nazwą niemieckiego miasta? Znów pojawił się nieproszony obraz: mundur koloru khaki, przydymione światło późnego popołudnia, wojownik wraca z poligonu do kwatery, mała blondynka chowa się przed pięścią ojca...

Znalazł kawiarnię i z przyjemnością usiadł. Zamówił kawę i kanapkę z szynką. Kanapka z bagietki była całkiem smaczna, kawa też. Przez zamglone okno patrzył na domy po przeciwnej stronie. Przedtem wydały mu się tajemnicze, teraz — zdecydowanie przytulne, jakby spędził w nich połowę życia. Pozostał w kawiarni przez jakieś czterdzieści minut, później zaczęło się robić tłoczno, więc wyszedł poszukać taksówki. W domu był koło trzeciej i musiał odpocząć.

Szybko zasnął i równie szybko się obudził. W pierwszym momencie na jawie usłyszał dźwięk dzwonka u drzwi. Usiadł zupełnie przytomny. Przygłodził włosy, przeszedł na palcach przez hol i zatrzymał się koło drzwi nasłuchując. Szmer rozmowy uprzytomnił mu, że to jakaś nieszkodliwa wizyta. Hipwood z paczkami albo kolędniczy — pomyślał. Z ulgą otworzył drzwi i zobaczył Louise w eleganckim czarnym płaszczu, a obok niej dziecko mniej więcej sześćioletnie.

— Louise! — wykrzyknął. — Ależ to niedziela!

Nie mógł pojąć. Nigdy nie przychodziła w niedzielę. Nikt nie przychodził w niedzielę. W niedzielę się dzwoni.

— Witaj, George, kochanie. Wiem, że się nas nie spodziewałeś. Nie mówiłam ci, że przyjdę, ponieważ sama o tym nie wiedziałam do dziś rana. Sarah ma grypę, Stuart wizytę u dentysty, więc babcię powołano do służby. A propos, to jest Stuart. Syn Philipa.

Wpadł w radosny nastrój.

— Proszę bardzo, chodźcie do środka. Co za miła niespodzianka. Do dentysty, tak? Biedny pacjent. Ale nic poważnego, mam nadzieję.

Pochylił się nad dzieckiem, które patrzyło na niego bez żadnego wyrazu w oczach.

— Czy napijesz się czegoś? Może bovrila? Lubisz?

— Czniam go — odpowiedziało dziecko.

— Stuart! — upomniała wnuczka Louise. — Co za szkoła! — Skierowała swój wyrzut w stronę Blanda. — Stuart nauczył się dziwnych zwrotów. To mnie niepokoi.

Głośniej dodała:

— Rozumny człowiek nie używa takich słów.

— Tato używa.

— Raczej nie powinien. Poprosimy go o to, prawda?

— Ale wracając do bovrila, chcesz się napić?

— Myślę, że raczej poprosimy o filiżankę herbaty. U nich się pije dużo herbaty, co chyba nie jest dobre. Masz ochotę na herbatę, Stuart?

— Taa.

— To dobrze, kochanie, zaraz ci zrobię.

— Nie trzeba. Usiądź, ja zrobię. I mam całkiem dobry tort od Fortnuma. Zjesz kawałek, Stuart?

Chłopiec chwilę się zastanawiał, po czym kiwnął głową. Louise już zdejmowała płaszcz. Nagle w mieszkaniu zapanowało przyjemne zamieszanie. Wyjmując tort z cynowego opakowania, pomyślał, że to dobrze, iż się nie zmarnuje. Nie wiadomo dlaczego, ta myśl bardzo go ucieszyła.

W salonie Stuart usiadł na brzegu krzesła i zaczął machać nogami. Niezbyt ładne dziecko, ocenił Bland. Natomiast Louise wyglądała świetnie w roli babci. Policzki miała zaróżowione, jej zgrabne nogi prezentowały się doskonale w ciemnych pończochach. Szal od Hermesa złożyła starannie na oparciu krzesła. Nie miał wątpliwości, że przez cały rok szal tkwił na

dnie bieliźniarki. Kochał ją za to, że chciała, by myślał inaczej.

Zajęty tortem chłopiec przestał machać nogami. Louise jadła ze smakiem. Za to też ją kochał. Nigdy nie wciągnęła się w nonsensowne odchudzanie, nigdy nie odmawiała sobie tego, co w życiu sprawia radość. Oboje lubili przyjemności, może nawet za bardzo. Pod tym względem — i pod wieloma innymi — byli do siebie bardzo podobni.

— Czy mogę włączyć telewizor? — zapytał Stuart znad herbaty.

— Nie, nie możesz. Możesz popatrzeć na tę książkę, jeśli chcesz. Pooglądaj sobie obrazki. Ale bądź ostrożny. To cenna książka.

Wręczył mu *Baśnie* Hansa Christiana Andersena z ilustracjami Arthura Rackhama. Znalazł to wydanie w antykwariacie przy Paddington i zdziwił się, że nikt go tam wcześniej nie wypatrył. Sprzedawca zażądał przystępnej ceny. Bland zastanawiał się, czy na pewno antykwariusz wie, ile książka jest warta. Uspokoił sumienie, płacąc więcej i nie biorąc reszty. Potem popędził do domu ze swym skarbem zamkniętym w teczce. Książka była jakby częścią spadku, przedmiotem uratowanym z dzieciństwa, wyrazem czci dla ojca, którego nigdy nie kochał. Gdy ją otworzył w mieszkaniu, odczuł dziwne wzruszenie. Nie mógł jej długo oglądać. Pamięć przeszłości była ciągle zbyt świeża.

— Możesz sobie przeczytać jakąś baśń, jeśli masz ochotę — powiedział.

— Czy to o wrózkach?

— Nie, to o dzieciach takich jak ty. Podobają ci się obrazki?

— Taa. Podobają. Mogę ją sobie wziąć?

— Nie. Nie mogę ci dać tej książki, ale wiesz, co zrobimy? Postaram się znaleźć ci taką samą.

Faktycznie widział inny egzemplarz za olbrzymią



sumę w sklepie przy Sackville Street. Zadzwoń tam, jak tylko goście wyjdą, i poprosi, żeby przesłano ją Stuartowi. Nie musi pisać dedykacji. Nie było okazji do wyrażania uczuć.

— Dostaniesz taką książkę pocztą. To będzie prezent pod choinkę. Co ty na to?

— Co ty na to, Stuart?

— Dziękuję.

Chłopca z trudem udało się oderwać od dziwnych, hipnotyzujących, niemal przerażających ilustracji.

— Podam ci adres Philipa i numer jego telefonu — powiedziała Louise. — Może zadzwonisz do mnie, kiedy znajdziesz wolną chwilę.

— Jak długo będziesz w Londynie?

— Niedługo, kochanie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę w domu jutro wieczorem. Bardzo teraz nie lubię opuszczać domu, a ty? Dobrze się w nim czuję, chociaż na początku go nie lubiłam. No, dobrze. Musimy już iść. Stuart, czy chciałbyś...?

— Dobrze.

— Zaprowadzę go tam. A potem zafundujemy sobie taksówkę. Stąd aż do Clapham. Co ty na to, Stuart?

Louise zarażała pogodą ducha. Nawet Stuart, który prawdopodobnie jeździł do szkoły taksówką, gdy samochód matki był zepsuty, uśmiechnął się ciepło i opiekuńczo. Łatwo było opiekować się taką kobietą jak Louise. Może dlatego że w oczywisty sposób nie potrzebowała żadnej opieki.

— Zadzwońię po taksówkę — powiedział Bland.

— Tak, zrób to, kochanie. Zawahała się przez moment.

— Poprzednim razem z przyjemnością spotkałam się z panią Lydiard. I z tą twoją przyjaciółką. To go zaskoczyło.

— Z Kąty Gibb? To nie jest moja przyjaciółka. W rzeczywistości nie jest mi chyba nawet przyjazna.

Zatrzymała się w mieszkaniu naprzeciwko. Niedługo wyjeżdża, tak mi się przynajmniej wydaje. Louise z pewną rezerwą przyjęła to wyjaśnienie, ale niepewność na jej twarzy malowała się tylko przez chwilę.

— Zdaje się, że jest dosyć męcząca — dodała.

— O tak, męczyć to ona umie.

Po tych słowach odczuł natychmiast coś w rodzaju współczucia dla dziewczyny.

Louise i jej wnuk wyszli, owinięci szalami, wymieniając uwagi na temat trasy taksówki. Bland umył filiżanki i odłożył książkę na miejsce. Nie otwierał jej, ponieważ był pewien, że znajdzie tłuste odbicie kciuka na którejś ze stron. Poszuka nowego egzemplarza, nie tylko dla Stuarta, ale i dla siebie. Będzie miał własny egzemplarz, który ukryje w bezpiecznym miejscu, z dala od intruzów. Przypisywał książce uczucia, których w niej nie było — swe własne uczucia. Zadzwoił do sklepu przy Sackville Street i poprosił o jeszcze jeden egzemplarz.

— Jak najszybciej — rzekł. — Cena nie odgrywa roli.

Zatrzasnął drzwi i zszedł do Hipwooda, by podziękować mu za przywołanie taksówki. Taka uprzejmość wymagała krótkiej rozmowy. To mu się należało. Bland wspomniał o Bożym Narodzeniu.

— Chyba wyjadę na święta. Zawiadomię pana wcześniej. I oczywiście jeszcze się spotkamy.

To była aluzja do tego, że pamięta o pieniężnym podarunku na gwiazdkę. Hipwood odpowiedział z godnością:

— Z pewnością będę miał wszystko na oku, proszę pana. Niewiele tu się dzieje za moimi plecami.

Rozumie pan.

— Wszyscy jesteśmy pana dłużnikami, panie Hipwood — zapewnił jak zwykle przy takich okazjach.

— Dziękuję panu — odparł portier z powagą.

Bland dotarł do swoich drzwi bez przeszkód, ale gdy już miał je zamknąć, otworzyły się drzwi u Dun-lopów i stanęła w nich Kąty Gibb, ubrana w dżinsy i czerwony sweter. Znowu była boso.

— Cześć, cześć! — odezwał się jowialnie. Znowu jej widok wywołał w nim poczucie bezradności.

— Jak się czujesz?

Pominięła pytanie milczeniem, wciąż oparta o framugę. Po kilku sekundach obróciła się zmysłowym ruchem, który miał ukazać zalety jej figury.

— Nie zaprosisz mnie do siebie? — zapytała.

— Wiesz, jestem dość zajęty — próbował się niemrawo bronić. — Mam do napisania kilka dość ważnych listów.

Te wykrety brzmiały fałszywie i były fałszywe.

— Przyszłabym wcześniej, ale byłeś z tą twoją przyjaciółką — rzekła Katy.

„Z przyjaciółką” brzmiałoby uprzejmiej niż „z tą twoją przyjaciółką” — pomyślał, ale przypomniał sobie, że Louise użyła dokładnie tych samych słów. Dla obu nieprzyjaciółek ta druga była „tą jego przyjaciółką”. A właściwie, skąd ona wie, że Louise tu była, dlaczego o tym wspomina? Czy zamierza spędzić życie przy wizjerze u drzwi? Czemu nie wychodzi z domu jak inni ludzie? Zastanawiał się, czy choć raz dobrowolnie opuściła mieszkanie od czasu, gdy się tu znalazła. Przecież nic jej nie dolegało, nie była chorobliwie blada jak ludzie ciężko chorzy i inwalidzi. Wyglądała zdrowo i miała rumieńce. Chociaż w kąciku jej ust pojawiła się opryszczka, której wcześniej nie zauważył.

— Czy dobrze się odżywasz?

— Och, niewiele jem w ciągu dnia. Większość ludzi je za dużo.

— A co t y jesz?

- Tu są zapasy puszek i coś w zamrażalniku. Nie martw się o mnie. Nie umrę z głodu.
- Nie uważasz jednak, że to jest raczej nieodpowiedzialne? To są puszki Dunlopów.
- Ależ ty jesteś zabawny, George. Gdyby ci ludzie przyjechali do mnie, dałabym im wszystko, co mam. To właśnie znaczy, że jest się przyjacielem. Albo może tylko ja taka jestem. Jeśli Dunlopowie zechcą mnie odwiedzić, będą sobie brać wszystko, na co im przyjdzie ochota. Ja im nie będę żałować.
- A myślisz, że będą cię mogli odwiedzić? Gdzie, w Kalifornii? Ale przepraszam, wejdź lepiej do środka.
- Jasne.
- Zdaje się, że zamierzałaś zostać tu i założyć firmę?
- Było oczywiste, że żadne z nich nie wierzy w powodzenie tej wyimaginowanej firmy, uważał jednak, że uprzejmość nakazuje brać ten projekt na serio. Ponadto ta bajka go interesowała. To było jak opowiadanie detektywistyczne albo jedna z nowel Henry'ego Jamesa. Los sprowadził tę zagadkową kobietę pod jego drzwi, nie mógł jej więc tak po prostu odegnąć. Zresztą i tak nie miał nic lepszego do roboty.
- Chcę z tobą o tym porozmawiać — oznajmiła, rozsiadając się w fotelu właśnie opuszczonym przez Louise. — Potrzebuję rady. Rady od mężczyzny. Od kogoś, kto zna świat interesów.
- Nie znam świata interesów. Pracowałem w dziale personalnym
- Aha, to znaczy w *public relations*.
- Nie całkiem. — Poczul przyływ rozdrażnienia. — Byłem odpowiedzialny za setki ludzi i nie tylko w godzinach pracy, ale także poza firmą. Umawiałem ich na rozmowy kwalifikacyjne, załatwiałem im przeniesienia, urlopy chorobowe, renty

inwalidzkie, wszystko co trzeba. Miałem do czynienia z ludźmi przez całe swoje życie zawodowe.  
— O, przepraszam! — powiedziała z naciskiem. — Zapominasz chyba, że ja też coś wiem o ludziach. Pracowałam z ekspertem, i to nie z byle jakim, z najlepszym. A ty, jak się domyślam, już się niczym nie zajmujesz?

Usadowiła się wygodniej w fotelu. Prawą kostkę położyła na lewym kolanie, eksponując tłusciutki wzgórek łonowy, wyraźnie zarysowany pod nowszą parą dżinsów, niepodobną do wycieruchów, w których przyjechała. Były świeże i przylegały do ciała. Pewnie też należą do Sharon — uznał. Nie należało się już po niej niczego innego spodziewać.

— Młodzi ludzie, tacy jak ty, nie potrafią zrozumieć, że poświęciłem się dla swojej firmy i że zrobiłem to chętnie. Pewnie cię zdziwi, że pojawiałem się każdego ranka w tym samym miejscu i pracowałem przy swoim biurku więcej lat, niż ty żyjesz. Czy możesz to pojąć?

— Chyba nie — odparła. — Jestem zbyt twórcza.

— Więc nie ma sensu, żebym ci wyjaśniał, jakie zadowolenie daje skoncentrowanie się na jednej sprawie i ciężka praca, zamiast liczenia na czyjąś uprzejmość.

Te słowa zabrzmiały zbyt ostro — zdecydował. Chciał coś dodać, żeby nie zdążyła się obrazić. Poza tym właściwie wbrew sobie przedstawił idylliczny obraz raj utraconego, w którym idzie do pracy w pogodny poranek z teczką w jednej ręce i elegancko zwiniętym parasolem w drugiej. Ten obraz dżentelmena niezwykle przypadł mu do gustu. Gdy wchodził do biura, zawsze na czas, sekretarka już na niego czekała z filiżanką kawy i rozciętymi kopertami. Przestrzegał zasad. Nigdy nie używał papieru firmowego do prywatnej korespondencji i nie dzwonił

w zbędnych sprawach. Do dziś pewnie leży plik czystych kartek z jego nagłówkiem w górnej szufladzie tego wielkiego biurka, od którego odchodził z ciężkim sercem. Jego następca odda je na makulaturę. Przepuszczalnie ten człowiek będzie równie dobrze wykonywać swe obowiązki, choć może okaże się mniej staranny i drobiazgowy niż on przez minione trzydzieści lat. Trzydzieści lat! Był wzorowym pracownikiem i nie wstydził się tego, mimo że przez cały ten czas nie zrobił nic, w czym byłaby chociażby odrobina polotu. Teraz życie wydawało mu się nieskończenie bardziej skomplikowane niż praca w biurze.

Ale jak opisać tej bezceremonialnej, nawykłej do pustego gadania dziewczynie urok regularnej pracy, pracy związanej z odpowiedzialnością. To on umawiał szukających pracy młodych nerwowych mężczyzn — z czasem coraz bardziej nonszalanckich — z ich kierownikami, on wyjaśniał uprawnienia emerytalne ludziom w swoim obecnym wieku, dla których miał dużo sympatii, więcej niż dla tych obficie pocących się młodych aplikantów. A i uboczne uroki tej pracy były nie do pogardzenia.

Wysyłał kogoś po coś — i tamten szedł; prosił o kopię dokumentu — i ktoś ją sporządzał... Nadto gdzieś w tle był zawsze Putnam, przyglądający się jego krzątaniu i staraniom swym ironicznym okiem. Nigdy jednak, nawet w chwili kompletnego roztargnienia, przyjaciel nie zdradził się z tym, że jego zdaniem wszystkie te zabiegi są po prostu śmieszne. Nie zrobił tego przez szacunek, to jasne. Nie wiadomo bowiem dlaczego, Putnam go szanował. I dzięki temu ich przyjaźń była tak niezwykła.

Ale z czego właściwie miałby się Putnam śmiać? Czy on sam może był śmieszny? Póki Michael żył, to było bez znaczenia. Teraz jednak ten kontrast pomiędzy poważnymi sprawami i tą śmiesznością, zupeł-

nie niedorzeczną rozmową stał się nie do wytrzymania. Bland przymknął oczy na moment.

— Żał mi twojego pokolenia. Szczerze — oznajmiła Katy Gibb. — Wojna musiała wam zniszczyć wszystkie szanse.

— W czasie wojny byłem dzieckiem — odparł oschle. — Nie mam żadnych palących wspomnień z tamtego okresu. Ponadto nie mieszkałem wtedy w Londynie. A Reading nie ucierpiało.

— Oczywiście mnie jeszcze wtedy nie było na świecie — powiedziała Katy, ładnie rozkładając ręce.

— Mnie ciebie też żał. Nie żyłaś w latach sześćdziesiątych. Wpadłaś tylko pod nuklearny deszcz odprysków wydarzeń, których nie widziałaś.

Pamiętał siebie i Louise z tych odległych dni, gdy zachwycali się paradą przy King's Road. Tak, to były piękne dni. Nie pamiętał polityki tamtego okresu, tylko słoneczne niedzielne popołudnia, kiedy przemierzali razem ulice, aż nadchodził czas powrotu do domu i, najczęściej, do łóżka. Potem zastrzelono Kennedy'ego, ona zaś wyszła wkrótce za mąż. Późne małżeństwo. Już zaczął myśleć, że niebezpieczeństwo minęło, że Louise nigdy go nie opuści, że nawet nie będzie musiał się z nią żenić. W latach sześćdziesiątych śluby nie były w modzie i miał wrażenie, że oboje to akceptowali. Ale Louise była bardziej praktyczna niż on. Przechadzki w tłumie w pogodne popołudnia dawały jej mniej zadowolenia niż jemu. Znalazła sobie tego człowieka, Denisa Arnolda, i bez mrugnięcia okiem postanowiła go poślubić, choć był brzydki i niezbyt miły. Był jednak doktorem, już na emeryturze, co bynajmniej nie umniejszało jego ważności, i na jej decyzję mógł wpłynąć ten właśnie lekko snobistyczny wzgląd. Poza tym była zmęczona pracą i chciała mieć dziecko. Bland o tym wiedział, ale nie wiedział, że to dla niej aż tak ważne. Jego ignorancja nie była udawana. Poniewczasie dopiero

zdał sobie sprawę, że większość mężczyzn postępuje podobnie — skrupulatnie bronią się przed zrozumieniem kobiecych funkcji i potrzeb. Był zdeorientowany i załamany, gdy się od niego odsunęła. Uciekł w pozę pełną godności. Nie próbował się z nią spotykać, dopóki nie dowiedział się o śmierci jej męża. Wtedy złożył okolicznościową wizytę i zobaczył dziecko, którego w żadnym razie nie mógłby uznać za własne. To wrażenie miało istotne konsekwencje. Telefonował do niej, powodowany współczuciem; później niedzielne rozmowy stały się rutyną, a epizod jej małżeństwa wymazali z pamięci. Gdy teraz się spotykali, nic nie mąciło ich niemal dziecinnej zażyłości. Tak jakby ich związek stał się swoistego rodzaju małżeństwem innego typu.

Uznał, że ten natłok myśli na temat przeszłości jest jednym z objawów starzenia się. Już rano przytrafił mu się podobny incydent: żywe i nieznośne wspomnienie matki. Na szczęście nie odczuwał innych niewygód swego wieku. Szybko się męczył, ale i szybko wracał do sił. To było błogosławieństwem. Przywilejem wieku jest dłuższy odpoczynek, rekompensujący łamanie w kościach i opadanie powiek. Spostrzegł, że rozmowa męczy go bardziej niż praca. Na przykład poranny spacer obudził w nim potrzebę słuchania muzyki, natomiast obecność tej dziewczyny sprawiła, że chciało mu się wyć. Nie mógł już dłużej ścierpieć, gdy tak siedziała nieprzyzwoicie rozwalona w fotelu Louise, gotowa tkwić tu tak długo, aż uzna, że z właściwą uwagą wysłuchał wszystkich jej propozycji.

— Nic nie wiem o interesach — oznajmił krótko. To nie była szczerza prawda. Wiedział, jak prowadzi się przedsiębiorstwo, lecz ta wiedza nie miała żadnego związku z tą rozmową.

— I obawiam się, że ty też się na tym nie znasz.

— Nie, nie znam się — potwierdziła. — I dlatego



oczekuję propozycji, rozumiesz? W końcu stanowią jakiś potencjał, prawda? Warto we mnie inwestować. Szukam sponsora. A na swojej pracy świetnie się znam, możesz być pewien.

— Jaka to będzie praca?

— Wszystko, co zechcesz. Terapia zapachowa, aerobic...

— Posłuchaj, moja droga. Jest recesja. Nie sądzisz chyba, że taką pracą masz szansę zdobyć klientów...

— Oczywiście, że mam szansę. Zdrowie jest najważniejsze. Ilu znasz ludzi z własnym trenerem programu zdrowotnego?

— Ani jednego — przyznał.

— A ja znam sześciu lub siedmiu — dokończyła triumfalnie. — I wszyscy to moi przyjaciele, młodzi ludzie, mężczyźni i kobiety.

— Chcesz powiedzieć, że są osoby, które płacą, by im układać ćwiczenia fizyczne, choć równie dobrze mogłyby pójść na forsowny spacer za darmo?

— Obawiam się, że nie rozumiesz współczesnego etosu, George. Do umysłu trafia się przez ciało.

— Pozwól sobie przypomnieć, że zawsze tak było.

— Tak, ale teraz kładzie się na to większy nacisk — nie ustępowała. — Teraz potrzebujesz eksperta, żeby cię chronił przed wpadnięciem w ręce lekarzy, którzy tylko czekają, by wpompować w ciebie te swoje ohydne lekarstwa.

— Lekarze tak nie postępują.

— Nie bądź naiwny, George. Każdy wie, ile szkód wyrządza współczesna medycyna.

— Ja o tym nie słyszałem. Ale to niemądry spór. Jeśli cię dobrze rozumiem, zamierzasz trafić do umysłu przez ciało. Czy odwrotnie?

— One przecież muszą być w harmonii — oświadczyła tonem wyższości, jakby przyszło jej dyskutować z okazem o upośledzonej inteligencji. — Masz jednak rację, tym właśnie chcę się zająć.

— No to chyba nie potrzebujesz żadnej rady.

— Ale potrzebuję pomieszczenia — wyjaśniła. — Muszę mieć przestrzeń, w której ludzie będą się spotykać. W dobrym miejscu, oczywiście. Idealne byłoby mieszkanie. Ile kosztuje takie jak to?

— Nie stać cię na nie. Obawiam się, że mnie teraz też nie byłoby na nie stać. Z pewnością nie myślałaś...? Nie, to niemożliwe. W każdym razie wszystkie pieniądze, jakie mam, są związane.

To było tylko w przybliżeniu prawdą.

— O ile wiem, istnieją programy rządowe, szkoleniowe i tym podobne. Można nawet ubiegać się o dotację. Choć nie sędzę, by ciebie uznano za najwyższy priorytet.

I stało się. Jej twarz się wyciągnęła. Wyglądała jak najniższy z priorytetów, które odgrywała, od kiedy ją poznał. Nie była zbyt przyjazna, gdy tu weszła po wizycie Louise. Samo istnienie Louise najwyraźniej wyzwałało w niej nagromadzoną agresję. Ze wstydem musiał przyznać, że bał się tej złości. Lubiała się kierować złą wolą i wtedy działała na oślep. Liczyły się tylko jej potrzeby. Dawała do zrozumienia, że nie będzie tracić czasu na wstępy i uprzejmości. Jak wszyscy ludzie, którzy spodziewają się, że inni będą spełniać ich zachcianki, choćby absurdalne i księżycowe, wpadała w nieproporcjonalnie silny gniew, gdy spotkała się z odmową. Wypracowała sobie rozliczne techniki okazywania niezadowolenia. Cedziła z pogardą słowa przez zęby, obrażała się na niewinną krytykę. Jeśli ktoś nie dał się złowić na jej brednie o poszukiwaniu wewnętrznej prawdy, ryzykował, że zostanie otwarcie ekskomunikowany za obstawanie przy niepopularnych opiniach. Przyjaźń w mgnieniu oka zamieniała się we wrogość. I teraz też się tak stało. Zastanawiał się nawet, czy ona i Sharon Dunlop rozmawiały ostatnio ze sobą. Wyglądało na to, że sam będzie musiał się tego dowie-

dzieć (lub „wyszpiegować”, jak by powiedziała), tak jak cały czas musiał wyluskiwać ziarno prawdy z jej coraz bardziej niefrasobliwych uwag.

Jednocześnie ogarnęły go litość i poczucie wstydu. Teraz wydało mu się, że jego słowa były zbyt ostre, może dlatego że nie potrafiła spojrzeć prawdzie w oczy, zawsze wybierając jakąś zamgloną wersję wydarzeń, punkt widzenia solipsysty. Może był zbyt obcesowy i apodyktyczny, bo jak inaczej wytłumaczyć jej przygaszone spojrzenie, nagłe zamknięcie w sobie? Rozmowa źle się zaczęła, ponieważ spostrzegła wychodzącą Louise. Ale dlaczego Louise miałyby go nie odwiedzać? Jakim prawem ta dziewczyna okazuje niezadowolenie z tego powodu? Była zazdrosna, a jednocześnie po prostu go nie lubiła. To nie pragnienie nawiązania z nim kontaktu wywoływało zazdrość, tylko resentment, którym ogarniała i jego, i Louise. Zafascynowało go to odkrycie. Ta dziewczyna była pozbawiona ciepłych uczuć. Nigdy przedtem nie widział tego tak jasno. Była podrzutkiem i ofiarą, ale ofiarą w tym sensie, w jakim humanitarni kuratorzy mówią o młodocianych przestępcach, grzebiąc w ich przeszłości i zawsze wynajdując kogoś, kto wywierał na nich zły wpływ. Zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z trudnym przypadkiem i że powinien postępować ostrożnie. Wiedział, że Katy potrafi posługiwać się bronią skuteczniejszą niż jego własna, i nie był pewien, kiedy zdecyduje się jej użyć.

Teraz była już tylko markotna. Przecież nie mogła oczekiwać, że jej po prostu wręczę jakąś sumę — tłumaczył sobie. W innych okolicznościach byłby oburzony, osłupiały, lecz teraz, gdy jego najgorsze podejrzenia się potwierdziły, znów zrobiło mu się jej żal. Odebrał dziewczynie ostatnią nadzieję, choć była to czysta iluzja. Ale nie jesteśmy przecież odpowiedzialni za nasze nadzieje — upomniał siebie.

Cokolwiek by jednak mówić, to on rozwiął jej złudzenia. A może ona nawet nie potrafi zrozumieć, jak żalśnie zawiodły ją umiejętności zdobyte u Howarda Singera. Wszak powiedziała mu, jaka jest wielka (co prawda zapomniała dodać, jaki i on jest wielki) — i bez pożądanego skutku. Nikt jej nie uwierzył. Może tak było przez całe jej życie?

Przypatrywał się Katy i jej wystudiowanej pozie uwodzicielki. Gdy już swoją złość i litość przemyślał, mógł się od nich uwolnić. Dziewczyna uniosła rękę i dotknęła opryszczki przy ustach.

— Zjadłaś coś na lunch?

— Puskę sardynek.

— Myślałem, że uznajecie dietę naturalną, świeże owoce i jarzyny czy coś podobnego. Tu na dole jest dobry sklep.

Tak właśnie bogaty mówi do biednego — uświadomił sobie z przerażeniem. Co się ze mną dzieje? Czemu chcę się nią opiekować? Nie zasługuje na to. Ale nagle, widząc jak siedzi bezbronna i uparta, poczuł, że ogarnia go nie znane mu dotąd pragnienie, jakaś drażąca dociekliwość. Poczul się lekko, jakby wyposażony w nowe siły. Przeszłość wydała mu się zduszona i ciasna, lata pracy — jakimś automatyzmem. Przeżył chwilę iluminacji, przeistoczenia. Chciał tę dziewczynę lepiej poznać, zatrzymać koło siebie. Chciał się przekonać, czy pod tymi nonsensami tli się jakaś iskra boża. Chciał poznać jej prawdziwy charakter. Chciał coś zrobić, żeby ją pocieszyć; chciał, żeby się uśmiechnęła. Nie mógł pozwolić, by wyszła od niego rozczarowana.

— Co byś powiedziała na święta w Rzymie? — zapytał.

## VIII

**Pomysł** tego nowego i niezwykłego doświadczenia wydawał mu się podniecający, ale też budził niepokój. Nie ruszał się więc z krzesła jeszcze przez długi czas po tym, jak Katy, z oczami rozszerzonymi zdziwieniem, wyszła z jego mieszkania. Na początku chciał stłumić wrażenie, że jest nią zafascynowany — tak jakby można je było pokonać siłą woli. W przeciwnym bowiem razie groził mu koniec, koniec George'a Blanda takiego, jakim go wszyscy znali i akceptowali bez zastrzeżeń. Ale w tym właśnie mogło tkwić sedno sprawy. Nikt go nie kochał i nikt go nie cenił. No, może z wyjątkiem Louise. Z Louise jednak musiałby zerwać, gdyby się ożenił z Katy. Sama myśl o takiej możliwości wystarczyła, by się oblał rumieńcem. Właściwie jednak mógł się z nią ożenić. To by rozwiązało jej problemy, chociaż nie jego własne. W świetle tego nowego i bez wątpienia dość niewiarygodnego założenia przedstawiał się nie najgorzej. Zawsze uznawał małżeństwo. Z pewnością poślubiłby także Louise, gdyby go nie porzuciła i nie wyszła za Denisa Arnolda. To rozumowanie nie dało się jednak utrzymać i powróciła jego zwykła jasność umysłu. Małżeństwo

było wykluczone. Wydało mu się też mało prawdopodobne, żeby Katy się na nie zgodziła. On miał sześćdziesiąt pięć lat, ona ponad trzydzieści. Nie chciałyby się wiązać z kimś, kto w jej słowniku był „nadętym wapniakiem”. Nie myliła się o tyle, że na pewno był zbudowany z konwencjonalnego tworzywa. Ale miał też dość przytomności umysłu, by widzieć, do czego by to doprowadziło. Jej wyraźną niedojrzałość traktował pobłażliwie. Nie wątpił jednak, że nie brakuje jej prymitywnego sprytu. W końcu to ona skonstruowała sytuację, w której stał się więźniem we własnym domu. Po półgodzinie porzucił myśl o małżeństwie i nawet ze wstydem myślał, że zabrało mu to aż tyle czasu. Rozum podpowiadał, że Katy nie byłaby mu wierna i że nie mógłby tego nawet oczekiwać. To zresztą było bez znaczenia. Nie pociągała go fizycznie i prawdopodobnie nie kochałby się z nią po ślubie. Prawdę mówiąc, jej ciało nie miało nad nim magicznej mocy. Należała do innego pokolenia i nie spełniała jego oczekiwań. Ponadto cieszyło go, że nikt nie był świadkiem zmian fizycznych, jakie w nim następowały, nikt nie widział spłaszczonych stóp z nagniotkami, przygarbionych ramion, mizernego penisa. Nie wyobrażał sobie, że potrafiłby się przy niej rozebrać. Równie dobrze mógłby zdjąć ubranie w miejscu publicznym. Nie oczekiwał z jej strony wspierającej akceptacji. Naprawdę kusiło go coś innego i siła tej pokusy była zastanawiająca. Mógłby kopnąć całe swe przyziemne, rozsądne życie, by oddać się grzechom i wulgarności. Taki upadek pociągał go z przemożną siłą, myśl o nim panoszyła się w wyobraźni. Fascynowała go sama idea, nie jej spełnienie, ponieważ to umysł, nie ciało, szukał zajęcia. Bland czerpał perwersyjną radość z myśli, że dziewczyna mogłaby go zrujnować. Chociaż nie, nie pozwoliłby się zniszczyć. Sprawiało-

by mu przyjemność podsuwać jej tę myśl, a potem się z nią droczyć i odmawiać, widzieć, jak się wije i dąsa, jak wysila swą pomysłowość, żeby go pokonać. W końcu to on by wygrał. Od niego by zależało, kiedy zaspokajałby jej zachcianki podarunkami. Cały czas bawiłby się patrząc, jak próbuje go przechytrzyć. Byłby to związek, w którym on cieszyłby się swą złośliwością, ona — upragnioną nagrodą. Jednocześnie, stosując swoje podstępny, stłumiłby boleśniejsze uczucia, jakie wywoływał kontakt z nią: litość i smutek, których na razie nie potrafił pokonać. Czuł litość, myśląc o niej, i smutek, myśląc o sobie. Niezupełnie wiedział, skąd się biorą te uczucia, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie odstępowały go ani na krok.

To była dziewczyna bez szans. Co do tego nie miał wątpliwości. Jej przeszłość była mu tak obca, że nie potrafił jej sobie nawet w przybliżeniu wyobrazić. Podejrzewał, że w dzieciństwie ją zaniedbano, a może nawet znieważano. Brakowało jej słonecznej niezłomności charakteryzującej ludzi, których w dzieciństwie otaczano miłością. Ponadto szczęśliwe rodziny piętnują swych potomków infantylizmem, który daje się dostrzec nieraz przez całe życie, tymczasem ona była samym chodzącym sprytem. Wyobrażał sobie, że będąc dzieckiem, mieszkała w koszarach na terenie Niemiec, ale nie miał pojęcia, co było później. Może cholerycznego ojca przeniesiono gdzie indziej — na Cypr lub do Adenu. W pewnym momencie wyszła z domu i już nie wróciła. Grawitowała w stronę miasta, poznała tych, których nazywa teraz swymi przyjaciółmi, choć dotąd nie miał żadnego dowodu na ich istnienie. Gdzieś po drodze poznała Sharon Dunlop, która wtedy nazywała się Sheila Robinson, i razem wynajęły mieszkanie w Muswell Hill. Musiała mieć narzeczonych, kochanków i wiele kontaktów. Nie miał co do tego wątpliwości. Zapewne po

jakimś niepowodzeniu wyjechała do Ameryki i tam, dzięki uśmiechowi losu lub własnej przebiegłości, trafiła na Howarda Singera. Bland poczuł wdzięczność do tego człowieka, którego w głębi duszy nienawidził, za to, że znalazła u niego ludzkie ciepło, dopuszczona do jakiejś klikki lub sabatu czarownic. Może nawet nauczyła się zarabiać na życie, choć jej obecna sytuacja świadczyła o czymś przeciwnym. A jeśli była tak pozbawiona środków, jak przypuszczał, to jego intryga miała szansę powodzenia. Był jej ostatnią deską ratunku.

Łatwość realizacji tego planu zniechęciła go. To dlatego — wytłumaczył sobie zaraz — że nie ma wprawy w diabolicznym intrygowaniu. Czuł się rozdarty pomiędzy człowiekiem, którym był zawsze, i bardziej dojrzałą wersją samego siebie, którą konstruował. Najwyższy czas poznać realny świat — pomyślał. Jego minione życie wydawało się teraz bezbarwne, jakby jakiś automat wykonywał w przeszłości jego obowiązki, z których był tak dumny. Dni w biurze, niegdyś pociągające, bo swojskie i przewidywalne, oceniał teraz jako śmieszne, niemal groteskowe. Tam mijały jego najlepsze lata, a on dobrowolnie poddał się anestezji i wiek męski rozmienił na rutynę i drobne przyjemności. Nawet jedyny romans w jego życiu przypominał biuro. Toczył się w bezpiecznej przystani, a później, naturalną kolejną rzeczą — i to jest właśnie najgorsze — Bland został z niego zwolniony, jak na emeryturę.

Obecnie jest już oficjalnie emerytem i tak widzi go świat, oczekując, że usunie się z niego dyskretnie. Ci, którzy go znali, chcą szybko o nim zapomnieć. Nie ma w tym złej woli. Osiągnął wiek naturalnych rozstań, gdy hojną ciekawość świata zastępuje zaabsorbowanie sobą. Chcą go pamiętać takim, jakim był dotąd, i w pewnym sensie mają rację, ponieważ aż do dzisiaj nie żądał dla siebie niczego od świata,



nigdy nie postępował w sposób niezgodny ze swym charakterem, nigdy nie zrobił głupstwa, nigdy nagle nie zniknął...

A teraz właśnie postanowił zniknąć. To był plan, który narzucił mu się sam, bez ostrzeżenia, gdy myślał o innych rzeczach, w szczególności o sprawie tak prostej jak okazanie gościnności samotnemu człowiekowi podczas Bożego Narodzenia. Ten plan dźgnął go ostrogą w serce i w umysł. Raczej w umysł niż serce — poprawił się — tak, zdecydowanie umysł. To, co zamyślił, miało swoją logikę, lecz była to logika Mefistofelesa. Elegancja planu polegała na tym, że każdy mógł się uznać za stronę, która bardziej skorzysta na jego realizacji. Jeśli chodzi o koszty, to trzeba je będzie ponieść. Ta myśl go nie przerażała. Doszedł wieku, w którym spłaca się długi, razem z tym największym. Czas żąda rekompensaty za sprawność fizyczną, którą cieszymy się w młodości — jakby tylko nam ją pożyczył — a nie mogąc się doczekać zapłaty, odbiera ją w ratach. Dopomaga mu natura, piętrząc dodatkowe upokorzenia. Z dziewczyną będą kłopoty. Będzie się niecierpliwić i buntować, a wtedy on będzie próbował poprawić jej humor. Będzie wymyślać rozkoszne rozrywki dla nich obojga, na które on, Bland, będzie mógł sobie pozwolić. Ta myśl jednak jakoś nie bardzo go radowała. Z pewnością pieniądze pozwolą mu być panem sytuacji, ponieważ jego umysł znajdzie nareszcie godne siebie zajęcie, nie zmarnuje tej rozstrzygającej przewagi i cieszyć się będzie intelektualną grą, w której musi zwyciężyć...

Tok jego myśli zakłóciła owa wieczna, chwytająca za serce płaczliwość. Musiał przyznać, że jeśli coś w tej dziewczynie kochał naprawdę, to jej niewystudiowane, stale skazane na niepowodzenie oczekiwanie na zmianę losu. On też je odczuwał jako rodzaj jakiejś niezaspokajalnej tęsknoty. To prawda,

że Katy pragnęła pieniędzy i spodziewała się je zdobyć, snując nedorzeczne plany finansowe, podczas gdy on szukał pewnego aspektu życia, o którym nic nie wiedział. Nie zaspokojenia, lecz emocjonalnego rozbudzenia, które z jakichś powodów zawsze pozostawało poza jego zasięgiem. Chciał wreszcie uciszyć to nieszczęśliwe dziecko z przeszłości, które wciąż nie daje mu spokoju. W nowym życiu, które sobie teraz układa — postanowił — nie będzie miejsca na dziecinadę. Wyrobi sobie refleks i pomysłowość — cechy, które ma ona.

Wyobraził sobie, jak w obcym kraju stoi na balkonie hotelu, ma na sobie lekkie letnie ubranie i czeka na nią, aż wróci z porannych zakupów. Będą jeździć wszędzie, stale, nie zatrzymując się dłużej w żadnym miejscu. Będą dwuznaczną parą. Nie będzie się starał ukryć swego wieku. Nie będzie się chował za przepaszającym uśmiechem, jeśli portier czy pokojówka nazwą ją jego córką. Tak, ona będzie go zdradzać, i to jest wliczone w układ, choć pomijalne. Cierpieć będzie jednak z innej przyczyny, której umysł nie potrafi usunąć. Pozostanie niepocieszonym starcem, wepchniętym do samotnego łóżka nie przez kobietę, która pobiegła za młodym kochankiem — z tym już się z góry pogodził, ale przez nieprzenikniony smutek, którego ona w żaden sposób nie zdoła rozproszyć. Ogarnie ją frustracja, ponieważ każde z nich poczuje się rozczarowane z innego powodu i nie będą sobie mogli wzajem pomóc. Powrócą do swego solipsyzmu, jeszcze bardziej niebezpiecznego niż ten obecny.

Zdał też sobie sprawę, że pokochał jej cichą, nadaśaną twarz, twarz bezsilnego, zabiedzonego dziecka. Nie zawsze ją pokazywała, ale widać ją było nawet wtedy, gdy siliła się na uwodzicielski uśmiech, którym obdarzała go od czasu do czasu. Widział tę twarz, gdy spotkali się po raz pierwszy. Widział ją,

gdy przypatrywała się Louise. Później Louise powiedziała, że Katy jest „dość męcząca” — łagodne potępienie, zupełnie w stylu łagodnej Louise. Tymczasem Katy śmiertelnie by nienawidziła innej kobiety. Pomyślał o jej matce, zastanawiając się, dlaczego nie wlała w nią żadnego uczucia. Pewnie miała słaby charakter i dziecko ją odrzuciło. Wołało nerwowego, ale zachwycającego ojca. To znaczy, że od najmłodszych lat Katy musiała się przypochlebiać i łąsić. I oczywiście nic z tego nie wyszło. Całe życie ciągnie się za nią pasmo klęski. Tego przed nim nie ukryje. Jak ją wychowano, że mając trzydzieści lat (a teraz nawet skłonny był przyjąć, że trzydzieści pięć), ubiera się jak podrostek i nie ma domu? Jej życiowa klęska przykuwała uwagę i kazała mu myśleć o własnych niepowodzeniach. Może uda mu się ją jeszcze ocalić, zanim w pełni dostrzeże, co z siebie zrobiła. Może przy okazji bardziej się uodporni na swe własne niepowodzenia i będą go one mniej kosztować.

Weźmie ją za granicę, to konieczne. Nie mógł sobie wyobrazić, by mieli tu mieszkać razem, choć ona tego właśnie chciała. Już widział, jak przerabia jego salon na salę gimnastyczną, jak jego meble poddaje terapii olejkowej. Z pewnością jeśli chwyci go skleroza, włoży mu białą kurtkę i postawi przy drzwiach. Mniej więcej takie miejsce przeznacza mu w swym życiu. On natomiast proponuje jej całkiem nowe życie, które — nie bez wahań — Katy może zaakceptować. Będą podróżować i żyć gdzie indziej. Będą ciągle gdzie indziej. Ujrzał ze swego wyimaginowanego balkonu, jak czerwone słońce obniża się za palmami, i zdał sobie sprawę, że to widok z Nicei, gdzie tak niedawno przebywał. Rozejrzał się po pokoju. Czy zawsze było tu tak ciemno? Lamy wydały mu się za bardzo przyćmionym i zbyt słabym środkiem zaradczym na ciemność za oknem. W odruchu paniki i górnolotnej niefrasobliwości postano-

wił, że wszystko to porzuci. Pójdzie za słońcem. Nigdy tu nie wróci. Nie będą mieli domu. Będą przebywali tam, gdzie zatrzymują się bogaci turyści. Nie mając domu, nie będą mieli związanych z nim kłopotów. Będą wolni. Z pewnością może jej zaoferować wolność, jeśli nic więcej. Tylko że wolności ona nie potrzebuje. Potrzebuje czego innego — postawienia na swoim. Musi mieć to, do czego pcha ją ślepa, tępa, sfrustrowana wola. Tego jednak nie osiągnie nigdy, tak jak on nigdy nie osiągnie tego, do czego tęskni. Ale może dziewczyna nieprędko to zrozumie, a gdy to nastąpi, on będzie już potrafił się z nią rozstać.

Spostrzegł, że zrobiło się bardzo późno. Nic nie jadł, lecz nie był głodny. To go zdziwiło, bo zwykle dopisywał mu apetyt, ale cały ten dzień był jakiś niezwykły. Zaczął się od rozmyślania na jeden temat, kończył dumaniem na inny, diametralnie odległy od pierwszego. A jednak łączyła je jakaś nić, której nie mógł chwycić. Zanim jeszcze rozpoczął nowe życie, już dręczyło go nieoczekiwane poczucie żalu. Pochylił się i ciężko podniósł z fotela. Kulejąc z powodu chwilowego skurczu, poszedł do barku i nalał sobie szklaneczkę whisky. Wypił ją, stojąc przy oknie i wpatrując się w światła po drugiej stronie ulicy. Gdy pierwszy raz znalazł się w Londynie, wyobraźnia podpowiadała mu, że za rozświetlonymi oknami mieszkają szczęśliwe rodziny. W letnie wieczory chodził po placach i tarasach, zaglądając zazdrośnie przez okna do nisko położonych kuchni. Gdy ktoś zaciągnął zasłonę, by się odgradzić od wścibskiego oka, czuł się jak zbity pies. To już minęło — powiedział sobie. Nikomu nie zazdrości. Może, otaczając się dobrobytem, zabił w sobie zainteresowanie dla czyjegoś szczęścia. Nie szukał jego wizerunków od dłuższego czasu i może już nigdy nie zechce ich widzieć. Teraz przyjdzie mu radzić sobie w zupełnie

nowym świecie, ale zanim się do niego dostanie, musi się napić whisky. Przez chwilę się wahał i niemal odsunął następną szklaneczkę.

To nie miała być jedna z tych podróży, do których przygotowały go lektury z dzieciństwa. To już nie było niewinne przedsięwzięcie. Zamierzał postąpić jak jeden z lubieżnych siwobrodych staruchów z obrazu Tintoretta *Zuzanna i starcy*, który widział w Wiedniu. Zażywna Zuzanna z włosami splecionymi w warkocze i perłami w uszach siedzi na pierwszym planie. Z tyłu przez palisadę podglądają ją starcy odziani w dostojne szaty. Ale w jego wypadku nikt nie jest ofiarą. To go zdziwiło. Musiał popełnić jakiś błąd logiczny. Jeśli ani on, ani ona nie mają innych motywów, czyż nie dowodzi to cynizmu, który zawsze był mu obcy? A jeżeli to nie jest cynizm, musi kierować nim coś innego, jakieś nieukojenie, bunt przeciwko *decorum* oraz — przede wszystkim — pragnienie doznania wrażeń, które w swojej pruderyjnej ignorancji chciał na zawsze usunąć z życia. Chciał się odwrócić plecami do wszystkiego, co było dotąd. Nalał sobie następną szklaneczkę. Mięśnie mu się rozluźniły. Pomyślał, że niewinność powinno się porzucić razem z wiekiem dzieciństwa i z wiarą, że cnota będzie nagrodzona, i że tak faktycznie powinno być. Chyba jednak mąciło mu się w głowie. Trzeba było coś zjeść. Teraz czuł się zbyt wyczerpany, by pójść do łóżka. Gdy wreszcie udało mu się położyć, było już bardzo późno. Zostawił na wierzchu pustą, nie umytą szklaneczkę, nie zważając, że nazajutrz pani Cordozo wyda na jej widok przerażony okrzyk.

Kiedy wynurzył się z przerywanego, płytkiego snu, odczuwał niepewność i jakiś lęk. Trwał jednak w postanowieniu, że doprowadzi rzecz do końca, ale nikomu nie ujawni swoich planów. Poza tym dotyczyły one tylko Katy. Kuląc się z zimna, starannie

się ubrał. Lekki kac wywoływał wrażenie fizycznego rozkładu, więc przypatrywał się sobie z większym niesmakiem niż zwykle. Zazwyczaj akceptował swój wygląd bez większych zastrzeżeń. Jego ciało funkcjonowało w zadowalający sposób, nie dostarczając mu powodów do narzekań. Przeczesał włosy, które choć już nie tak gęste jak niegdyś, to jednak należycie przykrywały czaszkę. Zbadał swoją twarz przed lustrem w łazience. Wydała mu się jakby nieznajoma — patrzył na swe odbicie jak na kogoś obcego. Twarz, jak i reszta ciała, nie była szczególnie godna uwagi. Zaskoczył go tylko wyraz żalostnej prośby w oczach. Łudził się, że sam zniknie. Poza tym była to twarz zrezygnowanego człowieka i myśl, że paradował z nią przez całe życie, tylko wzmocniła jego postanowienie, że teraz będzie wyglądać inaczej. Na jego obliczu odbijać się będzie radosne zdeterminowanie, a przynajmniej zmysłowe rozmarzenie.

Dokończywszy toalety uznał, że niczego mu nie brakuje. Nie miał brzucha, a lekkie zgarbienie uwi-  
daczało się tylko w chwilach przepracowania. Zawsze starał się wyglądać przyzwoicie i porządnie się ubierać. Powinien sobie sprawić kilka koszul i pulower albo dwa. Zastanawiał się, czy zamówić też lekki garnitur na wyjazd. Co do kapelusza panama, to uznał, że jest konieczny, ale będzie go można kupić w ostatniej chwili.

Na tym sekwencja postanowień nagle się urwała i pomyślał, że właściwie mógłby po prostu kochać tę dziewczynę tak jak mężczyzna kocha kobietę albo jak dojrzały mężczyzna może kochać młodą dziewczynę, którą się opiekuje. Taka perspektywa obiecywała zupełnie nowe pokusy — słodycz wspólnie przeżywanych chwil, wzajemne towarzystwo, nie kończące się rozmowy i inne radości. Prawdziwym triumfem byłoby przebić się przez skorupę Katy do jej fałszywej światowości i nauczyć ją życia w prostocie,

która tak bardzo go pociągała. Patrzył przez okno na zimne, blade słońce, olśniony tym wymarzonym rajem, i uznał za tragedię, że jego marzenie nie ma żadnej szansy spełnienia. Sam w nie nie wierzył, a ponadto wyraźnie dostrzegał, że Katy nie podda się koniecznej transformacji. Była zbyt przyziemna, zbyt zachłanna. Jeśli zamierzał ją zdobyć, musiał odwołać się do jej chciwości.

Z westchnieniem porzucił swą wizję. Wyrzekł się najdoskonalszej emocjonalnej przygody swego życia. Trzeba się będzie pogodzić z jakimś jej przybliżeniem. Katy prawdopodobnie nie potrafiłaby nawet sobie wyobrazić przeistoczenia, któremu chciał ją poddać. Zawsze będzie wywoływać konflikty. Zawsze grozić, że z nim zerwie. W jej towarzystwie nigdy nie zazna odprężenia. Aż ona sama szybko się znienawidzi. Nie będzie mu za nic wdzięczna. Nie łudził się ani trochę. A jednak w dziwny sposób kusiła go myśl, że popadłby w jej niewolę.

Wyszedł z mieszkania, zbiegł po schodach i otworzył drzwi na mroźne powietrze. Zimowe słońce przedzierało się przez mgłę i szron. Zapowiadał się piękny dzień i kiedy indziej miałby ochotę na długi spacer. Tamte dni jednak bezpowrotnie minęły i z dystansu wydały się tak nieambitne, tak zamierz- chłe. Należały do życia, w którym długi spacer był największą przyjemnością. Teraz rozstawał się z tym życiem. Wytoczył sobie nowy kurs, który nie gwarantował bynajmniej bezpiecznego dotarcia do celu. Jego obecna sytuacja objawiła mu nagą prawdę, którą z trudem przyjmował do wiadomości. W istocie nie tyle planował swoją przyszłość, ile naprawiał błędy przeszłości. Modyfikował swoją biografię. Życie prowadziło go dotąd po drodze, która wykluczała jakiegokolwiek niespodzianki. Wybrał takie życie, akceptował je i cenił jego solidność. Zamknął się w bastionie, który chronił go przed lękiem

i chaosem. Teraz wybierał się w podróż w nieznane, zanim będzie za późno, zanim spali mosty prowadzące z jego fortecy w szeroki świat. Poszedł do Trumpera ostrzyć włosy.

— To bardzo smutne, co się stało z panem Put-namem, proszę pana — powiedział fryzjer.

Znał ich obu od wielu lat.

— Tak, trudno mi się pogodzić z jego śmiercią — odparł Bland.

Nie śmiał wyobrazić sobie komentarza Putnama do tego, co teraz planował. Słońce grzało przez szybę. Fryzjer wklepywał płyn po goleniu o słodkim zapachu. Bland zaczynał się niecierpliwić. Później poszedł piechotą na Jermyn Street i pogodnie spędził pół godziny, wybierając koszule i oglądając krawaty. Kupił kawę u Fortnuma i zastanowił się, czy by nie pójść na lunch do klubu. Zaprzagnął jednak wrócić do domu. Musi być w domu, kiedy przyjdzie Katy. Postanowił być rozważny. Żadnej rozmowy na temat przeszłości. Na razie zaproponował jej podróż do Rzymu. Będzie się do niej przygotowywać, ciesząc się każdą chwilą. Ponadto będzie bardziej elegancko, jeśli powie raczej za mało niż za dużo. Musi zobaczyć, jak sam radzi sobie z tą sytuacją. Kupił ser, chleb, sałatę i owoce. Pamiętał, że niewiele zjadł poprzedniego dnia, ale szkoda mu było czasu na posiłek. Złapał taksówkę przed sklepem i po kwadransie był u siebie.

Wszedł do holu i w wyobraźni już słyszał dzwonek u drzwi. Koniecznie musi dotrzeć do drzwi, zanim ona się odwróci i odejdzie. W przelocie mignęła mu granatowa postać zajęta rozmową z Hipwoodem.

— Dzień dobry, George — odezwała się pani Lydiard. — Mój Boże, ależ ty pędzisz!

— Właśnie, dzień dobry — odpowiedział głosem wyrażającym zdziwienie, nie do końca zresztą uda-



wane. — Jak się masz? Dobrze, że cię widzę, ale rzeczywiście raczej się spieszę. Przykro mi.

— Mówiłam właśnie panu Hipwoodowi, że przynajmniej część z nas nie zostawi go samego na święta. Ja się stąd nie ruszam. A ty, George? Masz jakieś plany?

— Chyba wyjadę — odparł. — Ale z pewnością o tym uprzedzę. Może się spotkamy. Teraz jednak muszę przeprosić...

— Jakież wiadomości na temat naszej przyjaciółki? — zapytała pani Lydiard z uśmiechem. — Właśnie mówiłam panu Hipwoodowi, że Dunlopowie niedługo wracają. Ona się chyba wtedy wyprowadzi, prawda?

Bland zrozumiał, że pani Lydiard nie lubi dziewczyny, a może jest to zwykła niechęć starszej kobiety do młodszej. Natychmiast poczuł awersję do pani Lydiard, do jej uśmiechniętych wąskich warg nie wyrażających ani szczypty dobrych uczuć.

— Nie mam pojęcia, jakie ma plany — mruknął.

— Czy widziałeś się z nią ostatnio? — spytała bez ogródek.

— Nie, ostatnio nie.

Pani Lydiard była zbyt dobrze wychowana, by podnieść brwi w grymasie niedowierzania. Mimo to udało jej się dać mu do zrozumienia, że wie o wszystkim. Hipwood przysłuchiwał się uważnie rozmowie zza swego kontuaru.

— Nie bądź dla niej zbyt słodki, George. Nie pozwól, żeby twoja dobra natura zagłuszyła rozsądek.

— Myślę, że to nieprawdopodobne — odpowiedział jowialnie. — Czy są jakieś listy, Hipwood?

Natychmiast przeklął się w duchu za tak jawny dowód bezceremonialności. Ta gafa nieprędko zostanie mu zapomniana. Tylko pułkownik Crowther z ostatniego piętra miał prawo mówić „Hipwood” zamiast „panie Hipwood”, i to tylko dlatego że był

wyższym oficerem podczas wojny. „Oczywiście pan nie był w wojsku, proszę pana” — przypominał Blandowi portier, gdy ten czasami nie słuchał go z należytą uwagą. Te drobne nieuprzejmości ucho-  
dziły Hipwoodowi płazem, ponieważ w jakiś sposób służył wszystkim na swoim posterunku. Dla  
świętego spokoju lepiej było tańczyć tak, jak on zagrał, lub po prostu godzić się ze wszystkim, co  
powiedział. Bland zawsze przestrzegał tych reguł, więc wściekał się teraz na siebie za swój błąd.  
Pani Lydiard podkreśliła doniosłość tego epizodu jeszcze szerszym uśmiechem, który mówił:  
informacji nie brakuje, jeśli ktoś ma oczy otwarte i wie, na co patrzeć. Zostałam wyłączona z  
obietujących spotkań we troje. Nie dopuszczono mnie do zwierzeń na temat trudnych warunków  
życia. Gdyby było inaczej, mogłabym uprzejmie zaoferować jakieś swoje usługi, choćby drobne. Nie  
czułabym się wtedy odepchnięta, tylko doceniona. Nikt nie powie, że jestem pruderyjna — mówił  
dalej jej uśmiech — ale też nie jestem głupia. I nie jestem mężczyzną. Uśmiech wyrażał teraz jej  
wyższość moralną. Nie mogąc go dłużej ścierpieć i rozdrażniony tym, co się stało, Bland postanowił  
uciec. Zniszczył swe dobre stosunki z Hipwoodem i został zdemaskowany przez panią Lydiard.  
— Proszę mi wybaczyć — wykrztusił — mam bardzo pilne sprawy.

Spocony ze zdenerwowania, obciążony pakunkami, nie wyglądał na bohatera. Oto przedsmak tego, co  
mnie czeka — pomyślał.

Wrzucił nie rozpakowane zakupy do sypialni. Przestały go interesować. Teraz musiał nie tylko szybko  
przygotować coś do jedzenia, ale także szybko zjeść, żeby uprzątnąć ślady kuchennego rozgardiaszu i  
ujawnić swemu gościowi przyjemną, światową fasadę. Nie miał bowiem wątpliwości, że niebawem

ją zobaczy. Wbił dwa jajka na patelnię i zastanowił się, czy przyrządzić też sałatę. Uznał, że nie warto. Zjadł szybko i niedbale. Zdał sobie sprawę, że to do niego niepodobne. Zwykle był wybredny, czasem nawet przesadnie grymaśny. Usiadł na krześle i przez chwilę był z siebie zadowolony, jakby postawiono przed nim jakąś olbrzymią przeszkodę, którą jednak udało mu się pokonać. Jego umysł był tak wyczerpany, że nie mógł się połapać, na czym stoi. Gdzieś z oddali, bez wątpienia z wyższego piętra, dochodziły go dźwięki popołudniowej powtórki *Łuczników*. Skoro nie ma jeszcze drugiej — uznał — może sobie pozwolić na drzemkę. Sen pozwoli mu uporządkować myśli i sprowadzi spokój z tą odrobiną pogodnej wyrozumiałości, której będzie potrzebować podczas popołudniowego spotkania. To mu pomoże lepiej opracować plany.

Nagle oprzytomniał, ogarnięty paniką. W pokoju było ciemno. Musiał spać ponad godzinę. Spojrzał na zegarek: dochodziła czwarta. Przespał więc głębokim snem dwie godziny. Czuł się skonsternowany, ponieważ nie rozumiał przyczyn tej senności. Może był to objaw starzenia się? Zapadł w stan nieświadomości nagle, nie spodziewając się tego, a potem zbudził się w nerwowym zmieszaniu. Zerwał się i znów zaczął utykać. Ból w łydkach się nasilał. Może nadwreżył ścięgno albo zrobił mu się skrzep, co w jego wieku nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Czy Katy zaopiekuje się nim, jeśli będzie unieruchomiony? Nie przypuszczał. Zapewne radośnie wykorzysta okazję do swoich celów. Ucieknie bez skrupułów, wiedząc, że nie będzie jej gonić. Musiał więc szybko osiągnąć własny cel, zanim czas ograniczy jego zdolność działania. Czuł się zagubiony, niezdolny do nieuniknionej walki o dominację. Przez chwilę był gotów porzucić ten plan, ale powstrzymała go przerażająca myśl, że nie wie, jak sobie ułożyć bez

niej życie. Zrobiło mu się zimno i zastanowił się, czy nie jest przeziębiony, ale to chyba w pokoju było zimno. Poczłapał do kaloryferów i ich dotknął — były letnie. Normalnie zadzwoniłby po Hipwoda wewnętrznym telefonem i poprosił go o sprawdzenie. Teraz, wskutek popełnionej gafy, było to niemożliwe. Zapalił kilka lamp, by stworzyć złudzenie ciepła. Poza tym światło dawało wrażenie dyskretnego luksusu, który łatwiej mógł rozbroić gościa niż zwykły fizyczny komfort. Sam zdecydowany był znosić niewygodę, dopóki nie położy się do łóżka. Natychmiast poczuł, że już ma na to ochotę.

Kiedy jej nie było, narastał w nim lęk i przecucie, że zdarzy się coś okropnego. To była kara za postanowienie zerwania ze swoim dotychczasowym stanowiskiem moralnym. Dotąd był łagodnym — może nawet zbyt dobrotliwym — człowiekiem, przestrzegającym zasad uprzejmości w tym nieskomplikowanym życiu, które tak sobie cenił. Teraz postanowił żyć niebezpiecznie, i ten zamiar go niepokoił. Ale pęd do ryzyka porywa i unosi, i Bland nie potrafił się już zatrzymać. Ponadto ta myśl dodawała mu siły — jak sądził. Przypomniawszy sobie poranny nastrój i zapomniał o niespodzianej popołudniowej drzemce. Prawdę powiedziawszy, o drzemce musiał zapomnieć, jeśli chciał się uważać za zdolnego do podjęcia planowanego przedsięwzięcia, zwłaszcza jeśli miało ono objąć pokonywanie przestrzeni, stałe podróże i pogodną wyrozumiałość. Nie wolno mu też myśleć o tym, jak wygląda, jak musi wyglądać w oczach niechętnego obserwatora, o potarganych włosach, obwisłym ciele i wpółotwartych ustach. Za upragnioną wolność przyjdzie mu zapłacić stałą czujnością. Mimo to jakaś jego część wiedziała, że wiek i zmęczenie w końcu go pokonają. Na szczęście zawsze umiał pogodzić się z nieuniknionym i póki nie nastąpi katastrofa, będzie walczyć. Przypomniawszy

mu się Putnam umierający w stanie kompletnego fizycznego rozkładu. Postanowił raz jeszcze, że nie będzie czekać, aż do tego dojdzie — a prędzej czy później musi do tego dojść — tylko będzie się cieszyć życiem. Potrafi przewidzieć katastrofę i jeśli starczy mu odwagi, jeśli nie będzie zwierzęco zakochany w swym życiu, weźmie pigułki i przyspieszy koniec. Prawdę powiedziawszy, obsługa hotelowa lepiej sobie poradzi z ciałem niż pani Cordozo, gdyby nagle natknęła się na nieboszczyka. Do tego nie może dopuścić. Zawsze robiły na nim wrażenie przykłady stoickiej śmierci, szczególnie Sokratesa, który po wypiciu cykuty do końca rozmawiał z uczniami. Taką śmierć mógłby z dumą powtórzyć. Jej obraz doda mu sił nawet wtedy, gdy ciało odmówi posłuszeństwa i gdy wszystko straci znaczenie. Widział siebie wyraźnie, umierającego samotnie po odpowiednim przygotowaniu. Położy się pewnego popołudnia, tak jakby miał uciąć sobie drzemkę, ale będzie wiedział, że nie może już kontynuować tej przygody bez końca, w którą się wciągnął. Popatrzy na słońce za oknem — zawsze mu towarzyszyło — i odprowadzi je wzrokiem na spoczynek. Ułoży się estetycznie na obcym łóżku. Zostanie sam. Umiera się zawsze w samotności i dlatego śmierć ludzi przeraża. Jego śmierć nie będzie bardziej samotna niż śmierć innych. Ale w żadnym razie przechytryć jej nie sposób. Zachowa więc resztki *decorum*, nawet jeśli będzie się musiał pożegnać z godnością.

Wszedł do łazienki, opłukał twarz wodą, umył zęby i dyskretnie skropił się wodą „Sauvage”. W łazience było chłodniej niż w innych pomieszczeniach. Chyba potrzebował filiżanki herbaty. Zaparzy świeżą, gdy przyjdzie Katy, bo nie miał wątpliwości, że ją zobaczy. Spotkanie z nią było teraz nie tylko konieczne, ale zupełnie naturalne. W tej chwili prawdopodobnie myje włosy w mieszkaniu naprzeciwko lub

maluje paznokcie. Gdy będzie zupełnie znudzona albo gdy zbierze siły do kolejnego ataku, przejdzie przez podest i zadzwoni do drzwi. To dziwne, że dotąd jej nie ma, chociaż dobrze, że go nie widziała, kiedy wyglądał najgorzej. Wypił dwie filiżanki herbaty, które nieco go rozgrzały, i poszedł jeszcze raz umyć zęby. Przestrzegał siebie przed okazaniem jej zbędnego entuzjazmu. W lustrze dostrzegł, że mimowolnie szczęka mu opada, postanowił więc pilnować swego wyrazu twarzy. Przygładził włosy, wklepał wodę toaletową w skórę na karku i pod brodą, popędził do kuchni, żeby nastawić wodę i przygotować tacę. Zastanawiał się, czy już powinien zadzwonić do Dunlopów, ale zdecydował, że nie. Powinien zachować przewagę. Nie powstrzymał się jednak przed przejściem na drugą stronę, by posłuchać, czy ktoś jest w mieszkaniu naprzeciwko. Nie usłyszał żadnego szmeru, więc skradając się — w ten sposób zabezpieczał się przed zdemaskowaniem — powrócił do siebie. Po jakimś czasie, nie mogąc znieść napięcia, wyszedł jeszcze raz i zadzwonił. W ciszy klatki schodowej dźwięk dzwonka rozniósł się głośnym echem. Nikt nie podszedł do drzwi. Znów wrócił do siebie i usiadł, pogrążony w milczeniu. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że mogła już wyjechać. Wreszcie, może pół godziny później, usłyszał obrót klucza w zamku drzwi Dunlopów. Rzucił się na korytarz, głęboko poruszony. — Jak się masz?! — zawołał, wmawiając sobie, że jego głos nie brzmi nerwowo. — Właśnie zrobiłem herbatę. Czy dasz się skusić?

Wpuściła klucz do torby i popatrzyła na niego z roztargnieniem, jakby nie mogła skupić na nim uwagi. Zauważył, że ma na sobie pomarańczowy kostium, a na twarzy mocny makijaż. Jej dostojne spojrzenie miało onieśmielać, był też pewien, że gdy się odezwie, w głosie usłyszy pogardę. To właśnie

będzie musiał przezwyciężyć — tę jej tendencję do wycofywania się i zamykania w sobie. Zachowywała się tak, jakby musiała się opędzać od natrętnej ciekawości, jakby był kimś, kogo ledwie pamiętała, kto w żadnym razie nie powinien sobie pozwalać na zainteresowanie jej życiem i miejscem pobytu. Nie szukała już jego uznania, nie starała się wzbudzić zainteresowania. Coś musiało się zdarzyć. W jej życie musiał wkroczyć jakiś intruz i teraz wydawało mu się, że znowu jej nie zna, choć przed chwilą z dumą myślał inaczej. Wyglądało na to, że nie chce z nim w ogóle rozmawiać, a tym bardziej wejść na herbatę. Żałował, że jej słowa nigdy się nie zgadzały z tym, co robiła. Gdyby zawsze potrafiła powstrzymać się od mówienia, zdołałaby okiełznać silniejszego człowieka od niego, i z pewnością młodszego.

Czuł się słabo i niepewnie, jakby cała jego przyszłość zależała od wyniku tego spotkania, od rozmowy, jaką dzisiaj przeprowadzą. Pilnował się, aby nie odezwać się pierwszy. Chciał milczeć, dopóki ona milczy, ale presja zadania, które przed sobą postawił, była nie do zniesienia. Musiał podporządkować sobie czyjaś wolę, a tego nigdy w życiu nie robił. Jego *raison d'etre* było troszczenie się o innych. Nigdy nie działał pod wpływem buntowniczego impulsu, nigdy nie musiał odpowiadać na zarzuty (albo nie zasługiwał na nie, albo mu ich nie stawiano), nigdy nie narzucał swego punktu widzenia, swych metod, swych przekonań. Całe życie mówił gładko i łagodnie, i przez to zapewne stał się tak nieciekawym człowiekiem. Do intrygi w ogóle nie miał głowy. Teraz kierowała nim niecierpliwość, nie mógł dłużej znosić swego życia, mimo wszystko więc musiał działać zdecydowanie. Chęć postępowania w sposób elegancki i zabawny znikła jak kamfora, a to znaczyło, że brakowało mu siły. W tym właśnie momencie zrozumiał, że jest od niej słabszy.

W ułamku sekundy z podziwem dostrzegł jej lśniące wargi i rumieńce na policzkach. Wyglądała dziś poważniej, na starszą, niż była w rzeczywistości. Sprawiała wrażenie, jakby coś zaprzętało jej uwagę albo raczej jakby wspominała jakąś niedawną przyjemność. Otarła się ramieniem o niego, gdy odsunął się na bok, by wpuścić ją do środka. Uchwycił jej zapach, nieco zmieniony, bardziej przyziemny, złamany dymem z cygara.

— Wyglądasz, jakbyś skądś wracała — powiedział jowialnie. — Czy to było zajmujące spotkanie?

— Tak, co jakiś czas wychodzę — odparła. Zaczęła krążyć po pokoju, zerknęła na kalendarz, oceniła w ręce ciężar zasłon. Znów wyczuwał w niej zdrowy odruch irytacji. To mnie uratuje — pomyślał. Ale przede wszystkim dręczyło go pytanie, gdzie była. Okazało się jednak, że trudniej przyciągnąć jej uwagę, niż się spodziewał. Gdy ustawiał spodki i filiżanki, obróciła się do niego plecami i patrzyła za okno we wcześnie zapadającą ciemność.

— Podejź, Katy, i usiądź. Obawiam się, że nie jest tu dość ciepło. Ogrzewanie jakoś gorzej działa.

— Nie jest mi zimno — rzuciła nieprzytomnym głosem.

Spróbował jeszcze raz.

— Dzwoniłem do ciebie wcześniej. Musiało cię nie być przez większą część dnia.

— Byłam na lunchu — wyjaśniła.

— Z przyjaciółmi?

— Z jednym. Świetny facet. Ktoś, kto mi pomoże rozkręcić interes.

— To dobra wiadomość — zauważył jedynie. Na moment przestało mu bić serce.

— Niezupełnie. On nie może wyłożyć pieniędzy. Ale przedstawi mnie ludziom, którzy będą to mogli zrobić. Najważniejsze jest, że wierzy we mnie i w to, co chcę robić.



— A ty naprawdę chcesz to robić?

— Oczywiście. Jak inaczej mam się utrzymać? Jeśli to będzie dobrze zorganizowane, okaże się żyłą złota.

Po namyśle przyznał, że to nie jest wykluczone. Postępowała też rozsądnie, układając plany na przyszłość. Tylko że to on zamierzał zająć się jej przyszłością. Nie mógł jednak przedstawić jej swych planów w całości. Tym bardziej że była czymś zaabsorbowana i nieskora do odegrania roli, którą dla niej przewidział.

— Największym problemem jest znalezienie odpowiedniego pomieszczenia — ciągnęła. — Jeśli pracujesz w domu, musisz mieć dobry adres. Najpierw myślałam, żeby się zainstalować przy jakimś ambulatorium, ale teraz wiem, że potrzebuję mieszkania.

Ta uwaga zawisła w powietrzu.

— Czy otrzymałaś wiadomość od Dunlopów? — zapytał w końcu.

— Nie, nie otrzymałam. A bo co?

— Po prostu przyszło mi do głowy, że mogą przyjechać.

— A co to ma ze mną wspólnego? Patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Przebywasz w ich mieszkaniu. Jak to wyjaśnisz?

— Nic nie muszę wyjaśniać, nie sądzisz? Wydaje mi się, że to ty będziesz musiał im coś wyjaśnić.

— Dlaczego?

— To proste. Przecież ty mi dałeś klucze. Gdybyś mi ich nie dał, to bym ich nie miała, prawda?

Jak rażony piorunem, patrzył na jej zadowolony uśmiech. Znow była pewna siebie. Przeszła jedną ze swych błyskawicznych transformacji. Mówiła normalnym tonem, w przyjazny sposób, a przede wszystkim rozsądnie. Przychodziło jej to bez trudu.

— To znaczy, że oni nie wiedzą, iż tu jesteś. Nie spotkałaś ich w Nowym Jorku.

— Mogłam spotkać.

Podeszła do regału. Wyciągnęła kilka tomów i stała, przerzucając kartki. Natychmiast zdał sobie sprawę, że gdyby Dunlopowie zgodzili się ją gościć, na pewno by się z nim skontaktowali. A przynajmniej zostawiliby wiadomość w automatycznej sekretarce. Oczywiście i niewątpliwie on jest za wszystko odpowiedzialny. Jak to wyjaśni Dunlopom? Żadne wyjaśnienie na nic się nie zda. Musi stąd wyjechać jak najszybciej i wziąć ją ze sobą.

— A co ty dziś robiłeś, George? — zapytała, nadal zdejmując książki z półki i odkładając je gdzie popadnie. Nie spuszczając z niej oka, odpowiedział automatycznie:

— Czytałem.

— Tutaj?

— Tutaj i w gabinecie.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła szeroko.

— I tu się marnuje przestrzeni. No cóż, muszę iść. Dzięki za herbatę.

Mówiła teraz tonem lekko pogardliwym. Nie mógł się powstrzymać.

— Czy pomyślałaś o mojej propozycji?

— O jakiej propozycji?

— O świętach w Rzymie.

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, czy rozkręcę swój interes, czy znajdę jakąś bazę i co zaplanuję.

Obeszła jeszcze raz pokój dokoła, rzucając na boki badawcze spojrzenia. Niespiesznie skierowała się do drzwi. Zakręciła pomarańczową spódnicą i obróciła się do niego twarzą. Podniosła rękę i teatralnym gestem pożegnała go salutując.

— Pa.

Wyszła, pozostawiając w powietrzu swój zapach.

Pokój zrobił się lodowaty. Bland usiadł ciężko i zaczął się zastanawiać, co powie Dunlopom. Oczywiście nigdy mu nie wybaczą. Będzie się musiał wyprowadzić. Znowu opanował go smutek na myśl, że przyjdzie mu opuścić dom. Nie cierpiał porzucania czegokolwiek. Może zniósłby to łatwiej, gdyby nie był sam. Ale może jest jeszcze jakaś szansa — pocieszył się. Ona chce wziąć wszystko i nie dać nic w zamian, lecz on może jeszcze wygrać.

Zbudził się w środku nocy ze snu, w którym przebywał zamknięty gdzieś poza domem, bez kluczy. Brak mi towarzystwa — skonstatował. Przypomniał sobie twarz Putnama na dzień przed śmiercią. Co ja robię? Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Sięgnął do skrytki po zapas pigułek. Połknął dwie i ułożył się wyprostowany, czekając na sen. Wreszcie zasnął ciężko nad ranem. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie usłyszał prognozy pogody po ostatnich wiadomościach.

## IX

Cieszył się i cierpiał, czekając na nią. Przez dwa dni jej nie widział. Nie słyszał też, by wychodziła lub wchodziła. Postanowił wyobrazić sobie, co robiła z czasem, ponieważ miała tak mało zajęć. Żaden obraz nie pojawił się w wyobraźni, prócz niepodzielnego zajmowania się sobą. Wydawało mu się, że pod tym względem kobiety się zmieniły. W obiegowej opinii pracowały na dwa etaty i bez wysiłku spełniały wszystkie zachcianki swoich mężów. Tymczasem Katy tylko myła włosy i malowała paznokcie, zupełnie jak staromodna kurtyzana. Trzeba też było pamiętać o jej intryganctwie, to również był jeden z atrybutów tej profesji. Nie lekcewał tych zajęć, wprost przeciwnie — doceniał. Jego własna praca była także absorbująca, a upływ czasu przekonał go, jak wyczerpująca może być taka koncentracja na kilku sprawach. Nasłuchiwał w napięciu, czy jest w domu, ale nie śmiał zadzwonić. Najbardziej pragnął, by sama przyszła do niego i okazała gotowość podporządkowania się. Inne sprawy mało się liczyły. Podobnie jak szczegóły podróży do Rzymu były nieistotne — ważna była tylko zgoda na wyjazd. Zdawał sobie sprawę, choć niezbyt wyraźnie, że

święta są już blisko i może mieć trudności z zarezerwowaniem lotu. To go jednak nie martwiło. Gotów był zabawić się w czarownika. Jeśli będzie trzeba, wynajmie osobny samolot i pusty hotel. Jego wola ma dokonać czynów niemożliwych. Jeśli nie w Rzymie, to gdzie indziej. Liczyły się tylko jego niepokonane pragnienie i jej uległość.

Spał źle, często się budząc. Słuchał wiadomości

0 drugiej, a później o czwartej. Pewnej nocy, chyba trzy dni po jej zniknięciu, usłyszał kroki na schodach. Pomyślał, że wracają Dunlopowie. Ta myśl tak go zaalarmowała, że wyskoczył z łóżka i podkradł się pod drzwi. Rozpoznał głos kobiety i mężczyzny, ale nie mógł zrozumieć, co mówią. Rozległ się śmiech, natychmiast stłumiony, i dzwonienie kluczami. Jeśli to byli Dunlopowie na niewielkim rauszu po kilku kieliszkach w samolocie, to mogą spostrzec, że nie są sami, dopiero nazajutrz. Ale może jeszcze w nocy dojść do wyjaśnień i intruz zostanie wyrzucony z mieszkania. Gdyby tak się stało, był gotów przyjąć ją do siebie. Tego jednak nie przewidywał jego plan.

Dopiero dużo później, gdy nadchodził świt, przyszła mu do głowy bardziej prawdopodobna wersja wydarzeń. Jej triumfalna mina, protekcjonalność

I pojawienie się w pomarańczowej garsonce podczas ich ostatniego spotkania niemal na pewno były następstwem kontaktu z mężczyzną. „Z przyjacielem” oznajmiła, tak jak mówią kobiety, kiedy chcą coś ukryć. Niedługo później powiedziałyby zapewne „z moim przyjacielem”, potem — „z moim partnerem”. To go zawsze irytowało, a gdy patrzył wstecz, wydawało się nawet odpychające, że kobiety stopniowo przejmują mężczyzn na własność. W jego pokoleniu o czymś takim czytało się tylko w książkach, chociaż i wtedy brzmiało to niewiarygodnie.

Jej spoglądanie z góry i hałasy na schodach miały tylko jedno wytłumaczenie: u Dunlopów odbywały

się schadzki, podczas gdy on niewinnie kręcił się na schodach. Symbolizm tej sytuacji wbił mu się w pamięć, mimo że próbował go lekceważyć, jako zbyt trywialny. A jednak malarze przedstawiali takie sceny na płótnie, pisarze opisywali je w powieściach. Nie czuł się jednak seksualnie podniecony, choć tak czułby się młody mężczyzna w tej sytuacji. Ogarnęła go tęsknota, jakby życie stało się snem i zagrożone śmiercią ciała musiały czerpać satysfakcję gdzie mogły i kiedy mogły, uczestnicząc w makabrycznych ceremoniach, żyjąc w innym czasie i innym tempem niż ich świadomość.

Czysty seks wydawał mu się czymś żalnym. A tu zdradzały go dodatkowe okoliczności: stłumiony śmiech, potykanie się o własne nogi, ukradkowość. Takie spotkania należały do innego wieku, gdy on i Louise byli jeszcze młodzi. Nie powinien ich teraz pragnąć, ponieważ nie mógłby w nich uczestniczyć. Nie zazdrościł im tego, co robią, tylko młodości. Katy była młoda i jej partner pewnie też. A na starość nie ma lekarstwa. Wiek zamienia pożądanie w tęsknotę. Było nawet czymś niewłaściwym myśleć dłużej o tych sprawach. Spekulacje erotyczne są w każdym wieku trywialne, a u człowieka z siwymi włosami i wyczerpaną energią — żalne. Cicho powrócił do łóżka, dystansując się od Katy, jej partnera i siebie jakimś zniecierpliwionym niesmakiem. Mimo to w jego sercu kiełkował protest przeciwko upływowi czasu. Dlaczego młodość tak szybko minęła? Dlaczego dni żywiołowej radości zostały tak daleko?

Po półgodzinie zrezygnował z buntu. Katy nigdy go nie pociągała fizycznie — perswadował sobie. Chciał tylko trzymać w dłoni jej smukłą stopę. Jego ciało nie burzyło się przeciw temu, że kochała się z innym mężczyzną. Po prostu go nie podniecała. Jego fantazje wiązały się wyłącznie z jego sytuacją.

Chciał się wyrwać z nią na wolność, chciał skandalu i swobody, ponieważ nigdy ich nie doświadczył. Będzie mu towarzyszyć, ponieważ stworzył ją dla swych pragnień. W zamian ona zdobędzie też własną wolność. Nie zamierzał traktować jej okrutnie. Najwyżej troszkę, ale z pewnością nie skrzywdzi jej fizycznie i nie nadużyje swego wpływu. Nie będzie pozbawiać jej kochanków, gdyż i tak na nic by się to nie zdało. Przynętą było nie okrucieństwo, tylko samolubstwo.

Zaczynał podejrzewać, że lekko wariuje. Pociągała go perspektywa anarchicznego dogadzania sobie po latach pilnego wypełniania obowiązków. Postanowił wyprzeć się posłuszeństwa, które charakteryzowało jego życie zawodowe i prywatne. Znano go z gotowości do współczucia i z troski o innych. Lecz to nie były naturalne skłonności. Wypracował je kosztem wolności, odwagi i indywidualności. I wszystko, co zyskał za to poświęcenie i znojne starania, to pieniądze w banku, czekające na jego śmierć, by wpaść w ręce Louise oraz chorych dzieci objętych jego testamentem. Wytrzyma do chwili, w której weźmie tabletki — bo nie miał wątpliwości, że tak się to skończy. Być może szybciej, niż się spodziewał, jeśli nie spełni swoich pragnień. Teraz stało się to tym ważniejsze, że zbyt długo zwlekał z ich urzeczywistnieniem.

Te myśli wydały mu się tak urzekające, że nie wątpił w ich słuszność. Człowiek powinien dążyć do wolności — to był postulat moralny i pragnienie najbardziej naturalne pod słońcem. Na razie dostrzegał tylko jej przedblask w oswobadzającej beztrosce. Wizja ta owładnęła nim na Bond Street, gdy miał wrażenie, że ukazano mu jego przeznaczenie. Ale nadejdzie moment euforii i on, Bland, powetuje sobie całe życie bez przygód. Jeśli nawet nie będzie to happy end, który mu przyobiecano w przeszłości.

to dozna prymitywnego przeżycia swobody, dożyje chwili w blasku słońca — w przenośni i dosłownie. Będzie to krótki błysk, który być może nigdy nie trwa dłużej. Iluminacja duszy tylko na moment rozproszy troski przyziemnego życia. Przyszłe troski pozostaną przyziemne. Powstaną z cynizmu i hamowanego oburzenia, gdy będzie znosić i najwyżej lekko powściągać jej ekstrawagancje. Ale nawet dla tego celu — sądził teraz — warto poświęcić rozwałę, która pętała mu życie. Jak dziecko, które odrzuca połamaną zabawkę, by chwycić nową, chciał rozpocząć od nowa, w odległym miejscu, z dala od pedantycznych cenzorów, upatrujących w nim tylko dobrego przyjaciela i wzorowego służbistę. Nawet jeśli jest to szaleństwo, bierze je ze sobą na drogę, razem z pigułkami, które zamkną jego życie, wszystko jedno, jakie się ono okaże, dobre czy złe.

A jeśli uda mu się osiągnąć ten cudowny stan, jakie będzie miało znaczenie, czy Katy bierze sobie kochanka, dziesięciu czy dwudziestu? Zrobiłby to samo, gdyby był w jej wieku i miał jej dezynwolturę. To wielkie objawienie, którego szukał, to przeistoczenie, któremu chciał się poddać, było czymś nieporównanie wznioślejszym od fizjologicznych skurczów, które ona pragnęła przeżyć. Mając nadzieję na chwilę w pełnym słońcu, z oczami wypełnionymi blaskiem, robił sobie poranną herbatę. Po chwili usłyszał tupot stóp na schodach, dźwięk przymykanych drzwi i zasuwanego łańcucha. Oczywiście uda, że o niczym nie wie, i ona również. Ale oboje będą wiedzieli, że to nieprawda. Ona da tego dowód, zachowując się wyzywająco, on — traktując ją poważnie i dostojnie. To już są warunki proponowanej umowy i on nie zamierza ich łamać. W pewnym sensie od tego momentu godzi się zamykać oczy, nie ingerować, czekać. Był pewien, że dotrzyma tych warunków, przynajmniej tak długo, dopóki ona



pozostanie z nim związana w sposób, który zaplanował.

Czwartego ranka życie czy raczej to, co z niego zostało, wywabiło go z domu. Mgliste powietrze było niewiele chłodniejsze od powietrza w domu. Przechodnie, nienormalnie rozgorączkowani, pchali przed sobą wózki sklepowe wypełnione torbami z Selfridges lub od Marksa i Spencera. Jakaś kobieta ciągnąca dwoje małych dzieci zaniósła się histerycznym śmiechem, gdy spadła jej na ziemię torba z mandarynkami, które rozsypały się po chodniku. Bland z powagą pozbierał owoce toczące się w stronę rynsztoka i wręczył jej właścicielce. Na jego twarzy musiał się malować wyraz jakiegoś roztargnienia, ponieważ dzieci — chłopiec i dziewczynka — zaczęły się szturchać i chichotać, dopóki matka ich nie upomniała.

— To z rozbrykania — powiedziała przepraszającym tonem. — Nie poszły dzisiaj do szkoły i tylko jedno im w głowie: wydawanie pieniędzy. No, trudno. Życzcie panu wesołych świąt, dzieci.

— Dlaczego? — zapytały zdziwione. — Już są święta?

Uradowane tym pytaniem, znów zaczęły dokazywać.

— Jest osiemnasty grudnia. Został tylko tydzień — wyjaśniła matka.

To i jego otrzeźwiło. Pożegnał się i postanowił kupić coś do jedzenia. Ostatnio jadł niewiele i spostrzegł, że ma za luźny pasek u spodni. Automatycznie skierował się na Marylebone High Street, do znajomej kawiarni. Lepiej się poczuje ze śniadaniem w brzuchu. Ulicę wypełniali kupujący. Sklepy zarzucone były towarami. Kontrast między tym bogactwem a jego duchową ascezą wydał mu się ironiczny. Zaczął podejrzewać, że rozwija się w nim jakaś choroba. Nie potrafił się wewnętrznie pozbierać, tak

jak tego pragnął. Jego nietzscheańska świadomość trochę go zawodziła i przez chwilę pomyślał nawet, że musi wszystkie postanowienia odwołać. Ale wiedział, że wahania są tylko chwilowe. Gdy ją spotka, znów będzie się starał przyciągnąć jej uwagę, niepodzielnie i całkowicie zaangażuje się w realizację swego zadania. Bo w istocie wziął na siebie pewne zadanie i teraz musiał je doprowadzić do końca, choćby nawet nie udało mu się wykonać go dobrze.

Za kwadrans dziesiąta był na Kendal Street. W holu budynku Hipwood ubierał skromną choinkę. Bland ucieszył się, że portier jest zajęty. Nie wiedział, jak ma naprawić popełnioną niedawno gafę. Trzeba będzie coś z tym zrobić, ale niekoniecznie dzisiaj. Może w dniu wyjazdu, gdy wręczy przy pożegnaniu kopertę ze świątecznym upominkiem. Doszedł już do drzwi windy, gdy głos Hipwooda przywołał go do porządku.

— Pańskie listy, proszę pana. Znowu spóźnione. Nowy listonosz. Bardziej chłopiec niż mężczyzna, z taką kolorową fryzurą, wie pan, co mam na myśli. Trzeba mieć niezłą kasę, żeby sprawić sobie takie włosy. Ale tacy są młodzi, co robić. Trzy dla pana. Jeden musiałem podpisać.

— To bardzo uprzejmie, panie Hipwood, ile jestem panu winien?

— Może oddałby pan ten list młodej pani — powiedział portier przymilnym tonem. — Pan pewnie wcześniej ją spotka niż ja.

Bland spostrzegł, że to znowu zawiązywało między nimi niepożądaną komitywę. Hipwood natychmiast umacniał się na nowej pozycji.

— Trochę tajemnicza, zgodzi się pan ze mną? Można by się spodziewać, że się przedstawi, prawda? Dopóki nie nadszedł ten list, nawet nie znałem jej nazwiska.

— Gibb — rzucił krótko. — Panna Gibb.

— Niezupełnie proszę pana. Zdaje się, że to kobieta zamężna. Jakaś tajemnica, nie sądzi pan? Popatrzył trimfalnie i odrócił się do swojej choinki. Bland spojrział na kopertę zaadresowaną do pani Kathleen Palmer-Harris, u państwa Dunlop. Pismo było drobne i wymuszone, jakby litery kreśliła ręka poddana umysłowi cierpiącemu straszne katusze. Bland rozumiał ten stan. Było coś ociążałego i mozolnego w kształcie liter. Ich badanie pozwoliło mu przestać myśleć o tym, że najwyraźniej w życiu Katy było znacznie więcej osób, niż przypuszczał. Chyba że „Palmer-Harris” to był fortel, *nom de guerre*, przyjęty z powodów, których nie umiał sobie przedstawić. Choć jeśli tak, nie były to powody niewinne. Wysilał umysł, aby poznać każdy aspekt jej życia, i to zadanie sprawiało mu niemalą przyjemność. Arystokratyczne nazwisko świetnie pasowało do jej bezceremonialnych wyrażań, zbijających z tropu, ponieważ stosowanych w najmniej oczekiwanych momentach, lecz zawsze w złości.

Jeśli chodzi o pana Palmera-Harrisa, to jeśli w ogóle istniał, był prawdopodobnie statystą w tym dramacie, giermkim noszącym dzidę. Katy była w tym samym stopniu związana węzłami małżeństwa co on. Nosila się jak myśliwy, zachowywała jak dzika bestia, dosłownie wyrywając pożywienie i mieszkanie innym. Przez cały czas, od kiedy ją znał — a trwało to już trzy i pół tygodnia, jak sobie nagle uprzytomnił — ani razu nie zjadła posiłku za własne pieniądze. Zamiast robić zakupy i gotować, wołała wcale nie jeść, dopóki nie dostała odpowiedniego zaproszenia. Pierwszego dnia wydało mu się dziwne, że wybrała najdroższe dania z menu. Teraz to rozumiał. Pożywienie musiało być wysokokaloryczne, bogate i sycące, ponieważ liczyła się z tym, że będzie je dwa dni trawić, nie biorąc nic do ust. Potem, jeśli jej szczęście dopisze, znów otrzyma zaproszenie na pożywny

posiłek w restauracji. Zachwycała go ta zdolność adaptacji.

W podobny sposób narzucała się swoim przyjaciołom, wprowadzając się do ich mieszkań i domów, bez względu na to, czy im to odpowiadało, czy nie. Była dobrze przyjmowana, ponieważ umiała nawiązać kontakt, a właściwie dlatego, że sprawiała wrażenie osoby wiarygodnej. Z przyjemnością słuchano jej plotek i informacji. Potrafiła okazać entuzjazm — czego się nauczyła podczas „godzin spotkań” — i to chwyciło za serce. Gubiły ją natomiast brak umiejętności skupienia się i niecierpliwość. Gotów był się założyć, że poza okresem, w którym związała się z Howardem Singerem, nigdy nie przebywała w jednym miejscu tak długo jak w mieszkaniu Dunlopów. Jak ich przywita, kiedy wróci? Może w ogóle o tym nie myślała. Może on był dla niej ostatnią szansą, tak jak ona była dla niego. A zatem prawdopodobnie oboje są w błędzie. Choć nie mając innego wyboru, i tak będą na siebie skazani. Są dość inteligentni, by poradzić sobie z tą sytuacją.

Rzeczywiście, coś takiego jak pani Palmer-Harris! Z pewnością *nom de guerre*. Wierzył, że mogła mieć na imię Kathleen. To pasowało do garnizonu i ojca w szelkach. Do tego jakaś skarłowaciała irlandzka matka, która ma nie więcej oleju w głowie niż dziewczynka. Ale w takim razie, co się z nią stało? Katy powiedziała, że ojciec zmarł. Matka zapewne wyszła drugi raz za mąż i urodziła dzieci. Rzecz jasna, Katy nie miała nic do roboty w takim domu. Ze wszystkich ludzi, jakich Bland znał, ona najbardziej sprawiała wrażenie osoby wychowanej bez matki.

Pobiegł schodami na górę, zadowolony, że ma okazję przerwać jej, cokolwiek robiła. Chciał też rzucić okiem na mieszkanie, by sprawdzić, w jakim

jest stanie, ponieważ on za nie odpowiadał. Dzwonek rozległ się echem po schodach. Nacisnął po raz drugi.

— Kto to? — odezwał się głos.

— George. Mam dla ciebie list.

— Połóż go pod drzwiami, myję włosy.

— Lepiej, żebyś na niego popatrzyła, Katy. Nie jestem pewien, czy to dla ciebie.

— Jestem z kimś umówiona. Prawdopodobnie ten list jest do mnie. Zostaw go po prostu.

— Nie możesz otworzyć?

Zapadła cisza, później drzwi się uchylily i stanęła w nich poirytowana Katy. Miała na sobie biały płaszcz kąpielowy Tima Dunlopa, a na głowie ręcznik zawinięty w turban.

Wręczył jej list i zerknął do środka. W mieszkaniu coś się zmieniło, odczuł czyjąś obecność, jakiś zapach. Szyby zaparowały, choć u Dunlopów było tak zimno jak u niego.

— Czy działa u ciebie ogrzewanie? — zapytał. — U mnie rury są zatkane.

— Ja nigdy nie włączam ogrzewania — odpowiedziała. — To takie niedobre dla skóry.

Nie patrząc na list, włożyła go do kieszeni. Była podrażniona i chciała, żeby jak najszybciej odszedł.

— List jest zaadresowany do pani Palmer-Harris — zauważył. — Zastanawiałem się, czy to naprawdę do ciebie.

— Oczywiście, że do mnie.

— Nie zaprosisz mnie do środka? — spytał cicho.

— Jestem okropnie zajęta — odparła. Znów ścieśniała samogłoski. Mówiła tonem, jakiego by użyła, chcąc się pozbyć domokrażcy.

— Zbyt zajęta na filiżankę kawy? Właśnie zamierzałem zaparzyć.

— Dobrze, na chwilę — zgodziła się niechętnie. Przeszła bosą na jego stronę korytarza. Weszła do

mieszkania, usiadła, skrzyżowała nogi i ponownie zestawiała je obok siebie.

— Muszę przyznać, że jestem zaintrygowany! — krzyczał z kuchni, odmierzając dwie porcje kawy.

— Czy istnieje pan Palmer-Harris?

— Oczywiście, że istnieje. To mój mąż.

Nie zamierzała dodać nic więcej. Pytania wyraźnie ją drażniły.

— To znaczy, że jesteś zamężna.

Ostrożnie postawił przed nią tacę. Dziwił go spokój jego własnych rąk.

— Byłam i w pewnym sensie chyba jestem nadal.

— Skąd on wiedział, że tu przebywasz?

— Napisałam mu, rzecz jasna. Napisałam, że potrzebuję pieniędzy. Nie bądź taki zaszokowany, George. A z czego, twoim zdaniem, mam się utrzymywać?

— Nie żyjecie razem?

— Rozwiodłam się z nim przed wieloma laty. Odczuł ulgę, choć wiedział, że to absurd.

— Musiałaś wyjść za mąż bardzo wcześnie.

— Bardzo.

Spostrzegł, że nigdy nie określała swego wieku, tak jakby miało to pozostać tajemnicą i dla niej, i dla świata zewnętrznego.

— Wyszłam za mąż, żeby wyrwać się z domu. On za mną szalał i chyba do dziś nie może beze mnie żyć. — Co to za człowiek?

Jej twarz ściągnął grymas.

— Napuszony. Niezmiernie wytworny. Chodził do prywatnej szkoły i tak dalej. Był w armii, bardzo tradycyjny. Raz rzuciłam okiem na jego matkę i już wiedziałam... — Podniosła oczy do nieba. — On za mną świata nie widział. Ale dziękuję bardzo, to nie dla mnie. Mimo to przy rozwodzie zachowywał się przyzwoicie. — To znaczy, że ty zażądałaś rozwodu?

— Gdy tylko zrozumiałam, jakie miałabym życie, gdybym z nim została.

Parsknęła urywanym śmiechem.

— Śmieszny facet. Zrobiłam mu uprzejmość, żądając rozwodu. On jednak odebrał to inaczej.

— Czy jeszcze się widujecie?

— Za żadne skarby. Pozwalam, żeby był użyteczny od czasu do czasu.

Pomachała mu listem przed nosem.

— Jak ma na imię?

— Simon.

— I nie widziałaś go już od jakiegoś czasu?

— Tego nie powiedziałam.

Spostrzegł, że połapała się, o co mu chodzi. Zrozumiała, że odkrył, iż ma teraz kogoś, i że tym kimś nie jest porzucony mąż. Żał mu było tego człowieka, bez wątpienia tak bezradnego jak on sam. Z tą różnicą, że Palmer-Harris był młody i z pewnością niewinny. Jego zalety i umiejętności na nic się nie zdały. Bland potrząsnął głową i przypatrywał się jej. Zauważyła to i zsunęła podwinięte rękawy płaszcza Tima. Mocniej ściągnęła się paskiem, jakby chcąc się zasłonić przed jego wzrokiem. Przypomniało mu się znaczące spojrzenie Hipwooda, zignorował niejasne ostrzeżenie, jakie się pojawiło w umyśle, mówiąc sobie, że na zwykłą roztropność i tak jest już za późno.

— No, dobrze — powiedziała. — Muszę lecieć. Będziesz w domu cały dzień?

— Mam coś do załatwienia, ale z pewnością będę później. Wpadniesz na filiżankę herbaty po południu?

Same tylko filiżanki herbaty — pomyślał ze zmęczeniem — i nigdy uczciwa prawda, jeśli pominąć to, co usłyszał dziś rano. Ale nawet to, co usłyszał, było ocenzurowane, tak by świadczyć na jej korzyść. Jej zwierzenia zawierały olbrzymie luki. Pominęła wszystko, co by wskazywało na jej pogardę dla tego, co

w tym człowieku było przyzwoite, że owinęła go sobie wokół palca. Może to zresztą nie była prawda, lecz co w takim razie jest prawdą? Niewątpliwie to, że zbliżał się do przepaści i mógł zlecieć z jej krawędzi, że szukał przeistoczenia jakoś związanego z tą dziewczyną, która do niedawna jeszcze była mu kimś zupełnie obcym i która podniecała go w sposób, jakiego dotąd nie znał. Prawdą była próba woli, walka o to, kto się okaże silniejszy. Przez całe życie nie był w głupszej sytuacji. Ale przecież jego życie przebiegło bez aktywnego udziału z jego strony, bez śmiałych czynów, bez gorących uczuć. Tym samym przez całe życie kierował się w stronę tego ostatecznego aktu szaleństwa i do jego wykonania był doskonale przygotowany.

— A więc do zobaczenia! — zawołał, gdy mu zniknęła z oczu. Potem zamknął za nią drzwi. Zapragnął wyjść na powietrze. Nagle i bez powodu poczuł się podle. Postanowił posprzątać mieszkanie Putnama. Była to praca, której dotąd nie miał siły podjąć. W każdym razie w domu nie mógł wytrzymać. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek powrócą jego nawyki domatora. Poszedł do sypialni i sprawdził kaloryfer — zupełnie zimny. Kiedy będzie mógł wspomnieć o tym Hipwoodowi, swemu aniołowi stróżowi? To była prawie polityczna decyzja. Nonsensowność tych wydumanych komplikacji szarpała mu nerwy. Ale skoro miał wątpliwości co do siły swej woli, czemu nie wypróbować jej w tych wprost proszących się o to okolicznościach? Nic jednak nie powiedział Hipwoodowi, który układał na choince anielskie włosy. Pragnienie wyjścia z budynku było zbyt silne. Prawie wybiegł na ulicę.

Po dziesięciu minutach, przepychając się przez piątkowy tłum w wilgotnej, szarej pogodzie, Bland znalazł się przy George Street. Putnam mieszkał w niepozornym, posępnym, ale przyzwoitym budyn-



ku z lat trzydziestych. Fasadę pokryła już patyna czasu i Bland był pewien, że prędzej czy później dom przejmą entuzjaści późnego stylu Art Deco. Niektóre jego fragmenty już miały wartość quasi-historyczną, na przykład winda wykończona szkłem oprawionym w brąz i kratą z kutego żelaza przedstawiającą promienie słońca, podobnie dywany, którymi wyłożono korytarze, z okresu świetności jazzu, w beżowym, pomarańczowym i brązowym kolorze. Putnama zachwycaly te szczegóły nie tylko dlatego, że były tak szkaradne, ale przez poczucie lojalności z domem swej młodości. Bland podejrzewał, że rodzinny dom przyjaciela mógł być skromniejszy, lecz jednocześnie bardziej dostojny niż jego własne otoczenie *petit bourgeois*. Wyobrażał sobie błyszczące linoleum w holu i mosiężny gong, może jakiegoś lokatora w małej sypialni w głębi domu. Przy jakiejś okazji Putnam potwierdził te przypuszczenia bez zażenowania, a nawet z entuzjazmem. Podobna szczerść jest czymś rzadkim — pomyślał Bland — i czymś bardziej szlachetnym niż jego ostrożne aspiracje. Putnamowi bez trudu udało się zamienić nostalgię w przeżycie artystyczne, bez konieczności obracania jej w żart. Przez całe życie był bezwstydnym populistą. Choć zaczął nosić drogie garnitury i wstąpił do Reform Club, w żaden sposób nie zmieniło to jego naturalnej prostoty. Wchodził do pubu z błyszczącymi oczami, żądny dobrej zabawy przez godzinę, lecz nie pił więcej niż kufel gorzkiego piwa. Bland towarzyszył mu, wymawiając się po drodze, do pubów przy Caledonian Road, na Shaftsbury Avenue, przy Pimlico, ponieważ Putnam, choć pochodził z Birmingham, stał się zagorzałym londyńczykiem. Podczas gdy Bland szukał ustronnych, okrytych żalobnym smutkiem przedmieść, jego przyjaciel niechętnie opuszczał dzielnicę, gdzie nie było słyhać londyńskiej gwary. Często zabierał Blanda po pracy

na długie spacery w światłach Picadilly Circus lub Victoria Station. Jego dziwnie radosną twarz rozjaśniał wówczas entuzjazm i zachłyśnięcie się miastem.

Zawiazywał nieprawdopodobne przyjaźnie ze sprzedawcami gazet, z mężczyznami i kobietami medytującymi w kawiarniach, z barmanami w pubach. Wsuwał w rękę pieniądze alkoholikom i żebrakom, za każdym razem czerpiąc jakąś siłę ze swej hojności. Mimo tych przypadkowych przyjaźni, mimo że sprowadzał kobiety do domu, pozostawał rozsądny, dziwnie dziewiczy i nieskazitelnie uczciwy. Każdej niedzieli po południu siadał przed olbrzymim telewizorem i oglądał filmy. „Z pewnością nie masz ochoty wyjść z domu?” — pytał Bland. „Przecież gra Alice Faye!” — odpowiadał Putnam. Albo Barbara Stanwyck, albo najcudowniejsza gwiazda, Joan Crawford. „Przyjdź później, napijemy się, a teraz się odpieprz”.

A potem pili herbatę, palili papierosy i ustalali, co zrobią, gdy przejdą na emeryturę. Gdy byli razem, ich wiek się nie liczył, wspólnie stawiali mu czoło. Póki byli razem, śmierć nie miała do nich przystępu. Mimo niewielkiej skoliozy Putnam nie męczył się szybko, nie zdzierał się i nie starzał, dopiero ostatnia choroba zaczęła go niszczyć z wymyślnym okrucieństwem. Dziwny człowiek, wzbudzający czułość, uzdolniony matematycznie, lecz marnujący swój talent. Po ukończeniu uniwersytetu w Birmingham zaproponowano mu pracę naukową, ale on odmówił z powodów, których nigdy do końca nie wyjaśnił — Bland podejrzewał, że chodziło o pozbawioną środków do życia owdowiałą matkę. Zresztą w jednym ze swych zawołowanych wyznań Putnam potwierdził te przypuszczenia, z czystej skromności pomijając szczegóły. W każdym razie wybrał firmę, w której pracował Bland, i został w niej księgowym. Z upływem czasu zdobywał coraz wyższą pozycję i coraz

bardziej imponujące tytuły zawodowe, ale nigdy — podobnie jak Bland — nie zapomniał lat pracy czeladniczej. Te lata terminowania trwale ich ze sobą związały.

Bland wiedział, co zastanie w mieszkaniu zmarłego przyjaciela, które było ohydnie zagracone.

Putnam twierdził, nie bez dumy, że jest pozbawiony smaku. Jak we wszystkich jego spostrzeżeniach, i w tej uwadze kryła się czysta prawda. Ale Putnam miał coś więcej niż zły smak. Miał odwagę sprzeciwić się pięknu i odrzucał obowiązek oddawania mu czci. Nie był w stanie uznać, że piękno jest prawdą i że prawda jest piękna, ponieważ chętnie wybierał prostsze — by nie powiedzieć:

wulga-rniejsze — formy dekoracji. Zgromadził mnóstwo inkrustowanych przedmiotów z mosiądzu, które jego dziadek rzekomo przywiózł z Indii — stoliki, wazy, kasety. W latach trzydziestych nic bowiem nie robiło większego wrażenia w Birmingham. Te przedmioty znajdowały się w każdym kącie salonu, w którym ponadto mieściły się dwie słoniowate kanapy, przykryte narzutą w rdzawym odcieniu, dwie oszkolone biblioteki po tymże dziadku oraz fotel, a przy nim mosiężny stolik na wygiętych nogach z kości słoniowej, z popielniczką, pudełkiem cygar i zapalniczką w kształcie czajnika z epoki króla Jerzego. Bland domyślał się, że w kuchni znajdzie pełną zastawę Fornasettiego i nie mylił się. Nad czerwoną plastikową miską do zmywania naczyń dostrzegł rozpiętą lnianą ściereczkę z wydrukowanym w kilku językach napisem „na zdrowie” i radośnie przechylającymi się kieliszkami koktajlowymi oraz kuflami piwa. Na suszarce do naczyń leżał nóż z rączką wykonaną z kości słoniowej, ze szpicem zaokrąglonym dla bezpieczeństwa — bez wątpienia jeszcze jeden przedmiot otrzymany w spadku.

Sypialnia była utrzymana w surowszym stylu, choć meble miały zaokrąglone kanty i przypominały jajowate elipsy z ukochanego przez Putnama Hollywood. Niska toaleta pomalowana na kolor karmelu wyglądała niczym latający spodek z komiksów dla chłopców z lat pięćdziesiątych. W jednym z jej trzech luster Bland dojrzał zieloną statuetkę z przydymionego szkła. Kobieta z małą głową i niezwykłą fryzurą, jakby misternie skręconą za pomocą lokówki, unosiła delikatną dłońią skraj spódnicy. Na twarzy Blanda pojawił się uśmiech. Putnam zawsze tak na niego działał. Prawdopodobnie te bibeloty, które jego przyjaciel kupił bez namysłu od któregoś z zagrożonych bankructwem znajomych, dałoby się sprzedać jakiemuś kolekcjonerowi. Powinny pójść na aukcję. Zajmie się tym po Bożym Narodzeniu. Jeśli oczywiście tu zostanie — pomyślał z niepokojem. Rozejrzył się znów po mieszkaniu. Pokoje zniosły to spojrzenie, nie dodając żadnego komentarza do tego, co już spostrzegł. Jeśli spodziewał się nowego przesłania, doznał rozczarowania. Kierowany jakimś impulsem, wziął jedną z ohydnych waz, włożył ją do torby z napisem „Augustus Barnett” i ruszył do domu. Zamykając drzwi swego mieszkania, nadepnął na coś błyszczącego. Była to pocztówka, której Hipwood nie oddał mu wcześniej, najwyraźniej czekając na jakąś instrukcję. Teraz ten fakt Blanda nie interesował. Na karcie widniał basen z turkusową wodą i nieprawdopodobnie biały hotel w tle. Obrócił pocztówkę i przeczytał wiadomość: „Wracamy dwudziestego drugiego. Bądź tak dobry i włącz ogrzewanie, które zakręciliśmy przed wyjazdem. Najlepsze pozdrowienia, Sharon i Tim”. Bland powoli zapadł się w fotel, upuszczając torbę „Augustus Barnett” koło stóp. Tak więc najbliższa konfrontacja będzie ostateczną próbą. Musi rozegrać końcówkę, do której

prowadziły wszystkie wcześniejsze spekulacje. Jeśli pójdzie dobrze, uciekną razem. Teraz już wydawało się niewyobrażalne, że mogłaby wyjechać bez niego lub raczej by on mógł jej pozwolić, aby wyjechała sama. Czy było możliwe, aby uciekła skrycie, korzystając z pieniędzy nadesłanych przez jej męża? Bez wątpienia otrzymała czek, którego nie wymieni na gotówkę przed poniedziałkiem. Popatrzył jeszcze raz na pocztówkę: „Wracamy dwudziestego drugiego”. To znaczy we wtorek. Dziś jest piątek, osiemnastego. Ma niewiele czasu na załatwienie swojej sprawy. Muszą wyjechać najpóźniej w poniedziałek. Tłumił wątpliwości, które zaczęły cisnąć mu się do głowy. Teraz za późno na wahania. Nawet jeśli nie dojadą dalej niż do Rzymu, już to będzie zwycięstwem. Kości zostaną rzucone.

Wyjął wazę z torby i postawił na jednym z regałów. Wyglądała pod każdym względem tak okropnie jak w pomieszczeniu, które Putnam nazywał swoją „poczekalnią”. Bland przypatrywał się wazie z pewnym zakłopotaniem. Czuł się otoczony aurą Kąty Gibb; stawał się od tego nerwowo i roztargniony. Putnam znikł, lecz jego uśmiech kota z Cheshire wciąż trwał w pokoju. Na razie nie było nic do roboty. Czekał na Katy. Był zbyt napięty, aby czytać, nie mógł też zebrać sił, żeby przygotować sobie posiłek. Głód, który zwykle chwycił go o tej porze, zastąpiło poczucie pustki. Wszedł do kuchni i otworzył szafkę. Miał dużo jedzenia, ale jego przyrządzenie wymagało skoncentrowania uwagi. Obiecał sobie, że gdy wyjedzie i znajdzie się bezpiecznie w jakimś hotelu, znowu narzuci sobie dyscyplinę. Będzie jadł, gimnastykował się i zasypiał bez pomocy radia. Natomiast do tego czasu będzie żyć w zawieszeniu.

Zjadł trochę chleba z serem — już kilka pierwszych kęsów zaspokoiło jego apetyt. Przeszedł do salonu, by na nią poczekać, choć była dopiero druga. Miał

czas, żeby się przygotować, ale jego umysł był niezdolny do kalkulacji. Kalkulacja mogła go zresztą teraz zwieść. Jego myśli powróciły do Putnama i do dziwnej kawalerskiej prostoty życia, które wiedli. Żyli jak przed wygnaniem z raju, dopóki anioł z mieczem ognistym nie wypędził ich i nie napiętnował nieodwracalną karą. Nie chciało mu się wierzyć, że mógł kiedyś żyć tak prostym życiem bez zmartwień. Z każdą minutą myśl o tej pogodzie ducha stawała się coraz bardziej niewiarygodna. Wypierały ją fantasmagorie pokazujące życie zupełnie inne od wszystkiego, co robił dotąd. Akceptował je jako swój nowy los, swe przeznaczenie. Te wizje porywały go, lecz nie potrafił ich utrzymać w wyobraźni. Ilekroć skupił na nich myśl, badając jakiś istotny ich aspekt, znikwały, aż znużony gonitwą za nimi zapadł w półsen i znów ujrzał swą przeszłość — uśmiech Putnama, ojca w płaszczu z wielbłądziej wełny, zdradzającym miłośnika gonitw końskich. Widział jakieś postacie, których nie potrafił nazwać, stękających krewnych w podeszłym wieku, bezwolnych stryjów, dokuczliwe ciotki, członków całej kłótniwej rodziny, z którymi rodzice w końcu zerwali, przedkładając własne piekło nad piekło odziedziczone. Tak więc każdy przez nie przechodził, z pokolenia na pokolenie, i teraz przyszła jego kolej. Wydało mu się nagle, że jego niechęć do małżeństwa i posiadania dzieci — bo w gruncie rzeczy chodziło o to ostatnie — wiązała się właśnie z tym nędznym dzieciństwem. Postanowił — albo też osiągnął ten cel swą beczynnością — oddzielić przeszłość grubą kreską i nieodwracalnie z nią zerwać. Nic dziwnego, że czuł się teraz samotny. Zobaczył swą matkę, swoją biedną matkę, i zrozumiał z nagłym zdziwieniem, w jak niewdzięcznym towarzystwie spędziła życie, mając przy sobie niezrównoważonego męża i płacznego, pełnego preten-

sji syna. Jak bardzo byli nieszczęśliwi! W jakim żyli więzieniu, niezdolni do ucieczki! Jego własna ucieczka nigdy nie mogła się udać — uprzytomnił sobie z bólem, wspominając rodzinny dom, którego nastrój powracał z zadziwiającą jasnością.

Instynkt kazał mu więc uciekać od tych wspomnień, które żądały go dla siebie i próbowały wchłonąć. Przestraszył się, że otwierając oczy, zobaczy swą starą sypialnię i wyczuje dym z matczynego papierosa. Zerwał się, ogarnięty paniką. Z wolna powrócił obraz jego obecnego pokoju, ale lęk pozostał. Czuł się tak jak w dniu końcowego egzaminu w szkole, po którym miał nadzieję dostać się do Oksfordu. Oblał ten egzamin. Nauczyciel, który go zachęcał do tej próby, nie potrafił tego zrozumieć. „Czy byłeś chory albo coś cię wyprowadziło z równowagi?” — pytał później. Bland nie mógł się przyznać, że kłótnie rodziców nie pozwoliły mu zmrużyć oka przez całą noc. Takich wyznań nie składało się pogodnym, liberalnym wychowawcom. Nikogo nie obarczał za to winą, nawet swych rodziców, których postępowanie wołał zatrzymać w tajemnicy. Wmówił sobie, że po prostu nie był dość dobry i że może w sumie tak jest lepiej.

Wtedy po raz pierwszy stracił swoją szansę, wypadł z drogi, którą powinien był pójść. Pierwszy i rozstrzygający raz. Tą porażką poniesioną podczas pierwszego i ostatniego egzaminu odroczył swą wolność o kilka lat. I nawet dzisiaj nie był jej pewien.

Poczłapał do łazienki i dokonał zwyczajowego rytuału — umył zęby, przyczesał włosy i lekko skropił się wodą toaletową. Doskonale wiedział, że są to puste zabiegi, ponieważ nigdy się do niej nie zbliży. Od pierwszego spotkania nie wzięła go nawet za rękę, tylko wołała stać przed nim, jak na wybiegu dla modelek, by jednocześnie mógł ją podziwiać i dostrzec dzielący ich dystans. Z pewnością pogar-

działa jego siwymi włosami i brakiem mięśni. Z tym się pogodził. Pamiętał to uczucie z przeszłości, uczucie zastrzeżone dla tych, którzy nie odniosą sukcesu w świecie, dla których jego uroki są niedostępne. A teraz ona właśnie miała przygotować jego ostateczny upadek, ta pogardzająca nim szydercza kusicielka. Miał wrażenie, że przewidywał to od zawsze.

Otwierając jej drzwi o czwartej, był zewnątrznie opanowany. Wciąż miała na sobie płaszcz kąpielowy. I była boso. Z czekiem Palmera-Harrisa w kieszeni poruszała się powoli, jak zwierzę z pełnym żołądkiem.

— Mój Boże! — wykrzyknęła, przesłaniając oczy ręką. — Cóż to jest?

— Waza — odpowiedział. — Przyniosłem ją z mieszkania przyjaciela.

Wydawało się bezcelowe wyjaśniać jej, kim był Putnam, i co się z nim stało. Zresztą byłoby nieprzy-zwoitością wspominać jego nazwisko w tej sytuacji. Płaszcz był luźno związany, tak że odsłaniał brzegi jej piersi. Gdy przechodziła, między jego połami dostrzegął jej kolana. Nie miał wątpliwości, że robiła to rozmyślnie.

— Dostałem pocztówkę od Dunlopów — poinformował. — Wracają we wtorek.

Jej twarz stężała. Przyglądał się tym stwardniałym rysom. Na policzki wystąpił ciemny rumieniec.

— Co zrobisz? — zapytał. Wzruszyła ramionami.

— Pójdę gdzie indziej. Zdaje się, że wspominałeś coś o herbacie?

Zignorował to pytanie.

— Moja oferta wyjazdu do Rzymu jest wciąż aktualna. Możemy wyjechać w poniedziałek. Jestem pewien, że potrafisz się szybko spakować.

Podniosła się z krzesła i zaczęła chodzić po pokoju, podśpiewując pod nosem.



— Albo mogłabym sprowadzić się tutaj. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym tu zamieszkała, George, prawda? W istocie — to ostatnie słowo wypowiedziała swoim najbardziej władczym tonem — w istocie tak byłoby najlepiej. Mogłabym tu się umawiać i spotykać z klientami. A z czasem, kto wie?

Znowu usiadła, pozwalając, by poły płaszcza odsłoniły jej uda.

— Musiałbyś jednak pozbyć się tej wazy — rzekła z uśmiechem, który miał być przymilny, lecz zdradzał wojowniczość.

Ponownie odczuł pożądanie, ale to nie było prawdziwe pożądanie, a w każdym razie nie pożądał tego, co ona mu oferowała.

— Myślę, że to nie jest najlepszy pomysł — powiedział.

— Dlaczego? Przecież nie potrzebujesz całej tej przestrzeni dla siebie. Co robisz w ciągu dnia oprócz czytania? Do czytania wystarczy ci jeden pokój.

Odchrząknął.

— Czekam wiele spraw do załatwienia — odparł. — Muszę zlikwidować mieszkanie przyjaciela i przenieść tu wszystkie jego sprzęty.

To nie była prawda. Zmyślił ten wykręt na poczekaniu.

— A co się stanie z jego mieszkaniem?

— Zostało sprzedane — rzucił szybko. — Muszę brać klucz od agenta, kiedy chcę tam wejść.

Poszedł do kuchni z uczuciem konsternacji. Uzmysłował sobie straszny fakt, że jest od niego silniejsza.

— Tak więc mogę ci zaproponować tylko Rzym — oznajmił, stawiając przed nią tacę z herbatą.

— Nie potrzebuję wakacji, bardzo dziękuję. Potrzebuję przyszłości. Z pewnością to już do ciebie dotarło. Pojadę z tobą, skoro tak nalegasz, ale przed-

tem muszę wiedzieć, co z moimi planami. Chyba potrafisz to zrozumieć?

— Nie mogę ci pomóc w realizacji planów. Myślałem, że to pojęłaś.

Patrzyła na niego wrogo, z rozpalonymi policzkami.

— Mój czas będzie cię drogo kosztować, George. Miała na myśli, że za jej towarzystwo przyjdzie mu drogo zapłacić. Podniosła się. Z wirtuozerią związała pasek w talii.

— Może jutro ten pomysł bardziej ci się spodoba. Wpadnę, bo chciałbyś tego, prawda? I oczywiście gdybyś czegoś potrzebował, daj mi znać. Nie rób sobie kłopotu. Znajdę drogę.

Siedział przez chwilę z filiżanką zimnej herbaty i talerzykiem, na którym leżała nie ruszona babeczka. Rozglądał się po pokoju, starając się patrzeć jej oczami. Myśl o małżeństwie, raz zaniechana, powróciła ponownie. Teraz odrzucił ją zdecydowanie. Perspektywa samotnego wieczoru była jednak nie do zniesienia. Jego łomy umysł, jeszcze przed chwilą zdolny do śmiałych rozwiązań, teraz był sparaliżowany. A mimo to, nawet w tym bezruchu i zamęciu, odczuwał jakieś podniecenie. Było to podekscytowanie hazardzisty, który bynajmniej nie zamierzał wygrać, tylko sprawdzał, czy musi popełnić samobójstwo. Wszystko postawił na ostatnią kartę, a szans nie miał żadnych.

## X

**Był** zakochany do szaleństwa. Nie miał co do tego wątpliwości. Może to nie była miłość, jaką znał dotąd, ale zadurzył się w stopniu mącącym zmysły. Stracił zdolność jasnego osądu, którym kierował się w życiu przez wiele lat. Te lata wlokły się w nieskończoność — uświadomił teraz sobie — i dały się znieść tylko dlatego, że zachował czyste sumienie, że wypełniał życie drobnymi przyjemnościami, że pozwalał sobie na niewinne radości. Jego wyobrażenie o miłości było przez te wszystkie długie lata — właściwie przez całe życie, jak to teraz rozumiał — nadzwyczaj dworskie i rycerskie. Dopuszczał do umysłu tylko ocenzurowane myśli, i był z tym szczęśliwy — głównie dzięki Louise, której oczekiwania były tak skromne jak jego własne. Wyrósł, otoczony konwencjonalnymi obrazami: śluby, chrzciny, dzieci, wnuki. Nie miał pojęcia, skąd się biorą te przeciętne, szczęśliwe rodziny. Był pod zbyt wielkim wrażeniem swego szczególnie niezgodnego życia domowego i swej stałej ucieczki przed jego cieniem, który wciąż nad nim wisiał. Jego fantazje były łagodnie staroświeckie. Gdyby został wywyższony do godności męża.

pełniłby swe obowiązki wiernie i niewzruszenie. Byłby też — nie wątpił w to nawet teraz — dobrym ojcem.

Choć tęsknił do tych scen, zdawał sobie sprawę, że każdy rodzaj szczęścia, który by mu się trafił, byłby zaprawiony goryczą. Podświadomie podjął decyzję, by nigdy się nie ożenić, samotnie dobiec kresu swej drogi brukowanej rozżaleniem. Mimo to, kiedy o tym myślał, zawsze widział Louise. Być może dlatego właśnie, że tak doskonale pasowała do wzorca tradycyjnej żony, w perwersyjny sposób zrezygnowała z małżeństwa. Mógł sobie doskonale wyobrazić, jak wyglądałoby ich życie. Solidny, ale bezpretensjonalny dom, ogród, którym on by się zajmował, letni dom za miastem i jego żona w eleganckich, lecz skromnych sukienkach, nabierająca powagi z upływem lat, w których oddawałby się swej spokojnej pracy. Tak właśnie musieli wyglądać jego rodzice, póki nie doszła do głosu ich prawdziwa natura. A gdyby miał z Louise dzieci, z pewnością byłiby to chłopcy, i to tak szkaradni jak jej syn, którego poznał, gdy chłopiec miał sześć lat. Ten przyjazny, lepki chłopiec, wydzielający ostrą woń dorosłego, wpędził wtedy Blanda w przygnębienie, i teraz zresztą też.

Wyraźnie widział w wyobraźni, co stracił: spokój, towarzystwo, poczucie, że może się na kimś oprzeć i postępować zgodnie ze swym charakterem. Miałby wakacje, podczas których nie musiałby szukać kontaktu z obcymi kobietami, choćby najmilszymi, i nie czułby rozczarowania, szybko się z nimi rozstając. Wieczory spędzałby w miłym gronie, w rodzinie, w sytuacjach, które dla kawalera są dość krępujące. Jadłby posiłki o stałych porach — uzmysłowił sobie niemal z przestrawieniem — i nie musiałby podejmować decyzji przed każdym lunchem. Teraz, jeśli nie poszedł do klubu, często zapominał o jedzeniu, nie miał siły robić zakupów i w efekcie niewiele jadł.

Poza tym niechętnie opuszczał mieszkanie podczas pobytu Kary. Wspomnienie tej dziewczyny kazało mu pomyśleć o stojącym przed nim dylemacie, który uprzytomnił sobie w najbardziej prymitywnej formie. Katy była przeciwieństwem Louise i ten kontrast pozwolił mu lepiej pojąć charakter jego uczuć. Nie był człowiekiem łatwo popadającym w samozadowolenie, ale miał wrażenie, że gdyby ożenił się z Louise, byłby z siebie zadowolony. Bo i właściwie dlaczego nie? Miał przecież doskonałą pracę, zrobił karierę, o jakiej mu się nawet nie śniło w owych przerażających dniach młodości, umiałby utrzymać rodzinę, o czym świadczył fakt, że uczynił Louise swoją spadkobierczynią. Stale myślał o niej jak o swej żonie, o żonie, którą zaniedbał poślubić. I ona też z pewnością myślała o nim jak o mężczyźnie, który miał być i powinien był zostać jej mężem.

Nie było powodu wylewać łez nad sytuacją, która trwała od tak dawna bez większych rozczarowań z obu stron. Ale z tego wynikało, że był to związek statyczny, nie podlegający zmianom. Nie było sensu nad nim pracować, starać się go rozwijać. Bland jednak miał wrażenie, że w ostatnim czasie więcej o tym myśli niż Louise. To zresztą zrozumiałe. W długiej perspektywie on tracił więcej niż ona, ponieważ — jak mu się wydawało — jego samotność była bardziej nieznośna. W istocie miał dowód, jeśli w ogóle taki dowód był potrzebny, że wina leżała po jego stronie i że popełnił wtedy największy błąd swego życia. Nie mógł się do tego przyznać Louise, choć wiedział, że nadal kochałaby go tak jak przedtem. Byłaby jednak głęboko zawiedziona.

Ponieważ zawsze był o włos od uwierzenia, że ją kocha, ale nigdy w to nie uwierzył, stracił wszystkie niewątpliwe błogosławieństwa, jakie przynosi miłość, i pozbawił się jej codziennych radości. A teraz oładnęła nim namiętność do kobiety o połowę od

niego młodszej, zupełnie nieznaej, kobiety twardej, sprytnej, skorej do intryg i oportunistki po czubki palców. Co najgorsze, fakt, że wiedział o tym wszystkim, bynajmniej nie studził jego zapałów. Jeśli kiedykolwiek chciał się zemścić na sobie za życie pełne posłuszeństwa, teraz nadeszła godzina podjęcia decyzji. Może jednak zapragnął zobaczyć siebie w korzystniejszym świetle, raczej jako opiekuna niż kochanka, jako człowieka dyskretnego i światowego — choć z pewnością nim nie był — tak jakby był postacią z powieści, którą można dowolnie ukształtować. Z tą fantazją łączyła się scena na balkonie hotelowym. Zachodzące czerwone słońce, lekkie letnie ubranie, kapelusz panama i może cygaro. Będzie stał i czekał, aż stworzona przez niego postać wróci po dniu oddawania się rozrywkom, na które jej wielkodusznie pozwolił. Stał przecież na takim balkonie, wpatrując się w czerwone słońce podczas ostatniego pobytu w Nicei. Tęsknota dostarczyła mu towarzystwa i przywracała skorygowane wspomnienie. W ten właśnie sposób powstała ta idylliczna scena i wryła mu się w wyobraźnię. Ciągle jeszcze pragnął zobaczyć wyidealizowaną wersję swojej osoby, człowieka w pełni kierującego swym życiem, przebywającego w przepięknej, choć nieokreślonej scenerii, który w jakiś tajemniczy sposób wzbudza respekt. Ten respekt był ważny, nawet decydujący. Ponieważ obecnie jego sytuacja coraz bardziej przypominała farsę, perswadował sobie, że jeśli wyrwie się z osaczających go okoliczności i znajdzie się w innej sferze, stanie się zupełnie nową postacią, kimś enigmatycznym i tajemniczym, kto magnetyzuje swą obecnością otoczenie, powodując, że kelnerzy, bagażowi i taksówkarze prześcigają się, by spełnić jego życzenia. W takiej sytuacji ostatecznie obejdzie się bez szacunku, jakim powinna go obdarzyć towarzyszką podróży. Ona z pewnością nie będzie miała

dla niego respektu, więc wielkodusznie zaakceptuje w dystyngowany sposób ten drobny pozór szacunku, jaki zechce mu okazać.

Nigdy jeszcze nie był tak pozbawiony uznania jak teraz. Znalazł się w stanie zupełnego podporządkowania, co dotychczas mu się nie przytrafiało. Co więcej, nie był to wynik zabiegów tej tajemniczej kobiety, ale efekt działania kompulsji, tych nieczystych, nie w pełni rozpoznanych potrzeb wpływających bardziej z beznadziejnego lęku niż ze spontanicznego uczucia. Chociaż wykluczał ze swych planów fizyczne zbliżenie, czuł wyraźnie, że pragnie ją jakoś posiadać, choćby jako stworzoną przez siebie postać. I wiedział, że to posiadanie nie będzie mniej realne tylko dlatego, że będzie pozbawione fizycznego aspektu. Myśl o cielesnym zetknięciu paliła go jak ogień, musiał ją słumić, nawet ryzykując własne niezadowolenie. Zresztą teraz wszystkie przyjemności wydawały się niedozwolone. Otworzył puszkę Pandory i wyskoczyła z niej Niezgoda, ukazując mu, że poddaje się naturalnemu pożądaniu, w którego istnienie nie wierzył. Chciał zgrzytać zębami, gdy pomyślał o tej dziewczynie, jej prowokacjach, agresji malującej się w oczkach jak paciorki, jej lenistwie umysłowym i bezruchu wywołujących w nim irytację i wściekłość leżące u podstaw jego choroby. W mitologii Pandora nie miała prawa otworzyć puszek, tak jak Ewa nie miała prawa zerwać jabłka. Obie były postaciami alegorycznymi znanymi od początku świata. Obie sprowadziły na innych kataklizmy, łamiąc jakiś dziwaczny zakaz związany z obietnicą, która najpierw została zasugerowana, a później wycofana, z jakąś nagrodą, która błyszczała w oddali i znikła. Zawsze wstrząsało nim okrucieństwo tych dwóch opowieści i one to sprawiły, że wyparł się resztek tej prostej wiary, którą stracił, rozstając się z dzieciństwem. Ale porównując je ze sobą, wolał opowieść

o Pandorze, która wprawdzie wypuściła Niedogodę, lecz na dnie puszek znalazła Nadzieję. Nie wszystko więc przepadło, a to jest najważniejsze w każdej opowieści. Chociaż jeśli nadzieja trwa dłużej niż szanse jej realizacji, to nieuniknionym następstwem jest rozpacz. Teraz zaczynał to rozumieć.

Jeśli miał jakąkolwiek nadzieję, to musiał przyznać, że opierał ją na iluzji. Ta dziewczyna nigdy nie będzie go kochać. Nie mógł jej o to winić. Zastanawiał się na czymś innym — czy kogokolwiek kochała? Zastanawiał się też, czując się przygnieciony przez los, czy jest w ogóle możliwe, by go ktokolwiek kochał, i wydało mu się, że nie. Jeśli zerwie ze swoim dotychczasowym życiem i wybierze się na tę eskapadę, odsunie się od niego nawet Louise. Nie potrafi go zrozumieć. Poza tym on znajdzie się całkowicie poza jej zasięgiem. Ta perspektywa zmroziła mu krew w żyłach. Nigdy nie wymknął się poza krąg miłości Louise. Jej niewinność nie dawała się pogodzić z podstępny planem: licznymi przeprowadzkami, trwonieniem pieniędzy, złamanym sercem. Taka sytuacja kusila go, ponieważ wyzwalała nowe bodźce, miała być niewinnym hobby wymyślonym na czas emerytury. Teraz dostrzegał wszystkie mankamenty tego mitu nieposłuszeństwa. Uginał się pod ciężarem nieprzewidzianych konsekwencji i z zazdrością patrzył na swe proste życie w przeszłości.

Starał się wysledzić źródła tego zaburzenia, ponieważ już rozumiał, że stał się ofiarą jakiejś potwornej aberracji, ale nie mógł w swym życiu znaleźć niczego, co by tłumaczyło, dlaczego chciał się teraz tak zachowywać. Czy brało się to z dzieciństwa, jak twierdzą wszyscy znawcy tajników duszy, nie wykluczając zapewne Howarda Singera? Jeśli tak, to powinien — choć napawało go to niesmakiem — przepatrzeć swą duszę, by znaleźć w niej powody żądzy zemsty na swych niedbałych przodkach, któ-



rych charakter i wygląd stawały mu tak żywo przed oczami. Dziś był już równie stary, a nawet starszy niż oni wówczas. Chociaż już nie żyli, zajmowali wiele miejsca w jego umyśle i pamięci, czasem wyrażając się i zachowując dokładnie tak, jak ich zapamiętał z najwcześniejszych lat — szydery, niedbali, odpychający i zaprządnięci sobą. Pamiętał też takie szczegóły jak suche, sztywne włosy matki i płaszcz z wielbłądziej wełny ojca. Płaszcz miał wywatowane ramiona i ojciec się z nim nie rozstawał — jeśli go nie wkładał, chodził z nim przerzuconym przez ramię. Inne wspomnienie — niezbyt przystojny ojciec rozciąga usta w uśmiechu, dość krzywym z powodu wystających zębów, a od jego rumianej twarzy bije zapach fiołków. Potem George słyszał wykrety, a następnie ojciec uciekł do Fokstone albo do Lingfield czy może do Kempton Park, gdzie upadł, podnosząc płaską butelkę do ust. Symboliczna śmierć bez wątpienia, ale z pewnością nie powód do dumy dla osiemnastoletniego chłopca.

Matkę widział w jej smutnych późniejszych dniach w sukience z oberwanym guzikiem, z obrzmiałymi stopami wciśniętymi w futrzane kapcie, z rozczochranymi włosami. Lata niedoli wyrobiły w niej kostyczność. Nigdy nie zwracała się do niego łagodnym tonem. Jak zresztą do nikogo, tym bardziej że byli tylko: on, ojciec i kłótniwa ciotka. Matka przeżyła śmierć siostry bardziej niż zgon męża. Miała z tego powodu lekki wylew i od tego czasu jej zdolność kierowania sobą jeszcze bardziej osłabła. Przestała robić posiłki, a pranie musiało czekać na sprzątaczkę, która przychodziła raz w tygodniu.

Gdy rzucił studia i rozpoczął pracę jako urzędnik, zaczęła chodzić po jego pokoju, zamykać okno i przesiadywać tam godzinami, nie dbając o to, gdzie się znalazła, jakby każde miejsce w domu było równie dobre, prawdopodobnie zresztą nie bardzo potrafiła

je odróżnić. Nie docierało do niej, że był młodym mężczyzną. Miał prawo się na to skarżyć, ale jakie to ma dzisiaj znaczenie? Jest dorosły, a nawet stary, i przeżył ich wszystkich. Za rok lub dwa przeżyje matkę. To mu się wydało straszne.

Zastanawiał się, czy to naturalne, że ktoś tyle myśli o swoich rodzicach, zwłaszcza gdy do nich nie tęskni. Rozważał, czy to zdrowe i pożądane, by myślał o przeszłości teraz, gdy powinien myśleć o przyszłości. Po co w ogóle oddaje się tym medytacjom? Jeśli nie przestanie, może się stać równie oziębły jak rodzice. Na razie się tego ustrzegł. Trudno to zresztą uznać za sukces. Każdy głupiec wyciągnąłby wnioski z takiej lekcji, jaką przeszedł on, ale wiek, jak wiadomo, zmusza do nieprzyjemnego powrotu do dawnych postaw, nawet tych, których się nie zna, których się nie podejrzewa.

Widział siebie samego — starego człowieka siedzącego na krześle, z szyją okreconą szalikiem.

Widział to tym wyraźniej, że ogrzewanie ledwie działało, chyba kaloryfery odmówiły posłuszeństwa na cały dzień. Może była awaria, a on nic o tym nie wie. Nie oglądał telewizji, a baterie w jego radiu się wyczerpały. W tej samej chwili narodził się pomysł pożytecznego spędzenia poranka. Pójdzie do sklepu na Marylebone High Street i kupi pakiet baterijek. Radia z sobą nie weźmie, ale w każdym razie musi wyjść natychmiast.

Ta sprawa kompletnie go pochłoneła. Powietrze. Potrzebował powietrza, oddechu normalności, choćby namiastkowej. Wymknął się z budynku, zapominając pozdrowić Hipwooda i mijając bez słowa państwa Milsom, starsze małżeństwo z parteru, wychodzące po zakupy codziennie o tej samej porze. Przed opuszczeniem domu zatrzymywali się przed szklanymi drzwiami, badając pogodę.

Zawsze ich lubił. Najwyraźniej byli zadowoleni ze swego zrytu-

alizowanego życia, a także wzajemnego towarzystwa. Wydawali się na coś chorzy. Oboje byli dziwnie koślawi, jakby w dzieciństwie cierpieli na krzywicę. Z pewnością nie mieli łatwej młodości, ale musieli jakoś dojść do pieniędzy, inaczej nie mogliby sobie pozwolić na zamieszkanie w tym budynku. Słyszał, jak Hipwood, który wiedział o wszystkim, mówił coś o złomie. Państwo Milsom byli nieśmiali, nie potrafiliby otworzyć ust przed kimś takim jak pani Lydiard, ale czuli się swobodnie z Blandem, zawsze kiwali mu głową i się uśmiechali. Tak było do dzisiaj. Teraz też na pewno chcieliby go zapytać, jak się czuje, widząc, że jest zmieniony. W każdym razie zakładał, że jest zmieniony, bo nie zdążył się sobie przyjrzeć w lustrze. W obecnym stanie umysłu trudno mu było komukolwiek opisać, jak się czuje. A najtrudniej państwu Milsom, którzy nie wiedzieliby nawet, co odpowiedzieć, nawet gdyby starał się ich uspokoić jakąś niewinną uwagą w rodzaju: „Och, jestem trochę zmęczony”. Nawet taka wzmianka spowodowałaby, że zaczęłyby się niepewnie rozglądać, przestępować z nogi na nogę, a pani Milsom zacisnęłyby dłoń na rączce swego dwukołowego wózka na zakupy. Z pewnością był wyczerpany, temu nie można było zaprzeczyć, i chciał o tym komuś powiedzieć. Ale to, co miał do powiedzenia, było tak poplątane, że postanowił trzymać język za zębami.

Szedł ostrożnie Kendal Street, bojąc się utracić równowagę, starając się nie odczuwać gryzącego chłodu. Dzień był ciemny, jakby ziemia nie miała siły się obracać, jakby zima zapanowała już na zawsze. Postawił kołnierz i pożałował, że wziął tweedowy kapelusz, w którym postanowił chodzić na co dzień. Nie potrafił się zdobyć na włożenie wspaniałej futrzanej czapki, którą Putnam przywiózł mu z Rosji

i w której czasami chodził do biura. Słyszał wtedy komplementy na temat swego wyglądu, co przy

innych okazjach raczej się nie zdarzało. Czuł się niekompletnie ubrany, jakby zapomniał czegoś na siebie włożyć. Przez chwilę podejrzewał, że wyszedł w pantoflach, ale wszystko było w porządku. To dzień był jakiś zwariowany. Musiał go sobie wypełnić aż do popołudnia, gdy zapuka do jej drzwi i z niefrasobliwą miną zaprosił ją na filiżankę herbaty. To będzie wstęp do kilku pytań, jakie zamierza jej postawić, i do kilku innych, które tylko zasugeruje. Później usłyszy werdykt na temat swojej przyszłości. Liczył na to, że w ostatniej chwili spłynie na niego natchnienie; teraz był tępy, jakby ogluszony. Gdyby miał więcej siły, poszedłby na spacer do parku. Obawiał się, że nie zajdzie daleko, powłócząc nogami. Postanowił kupić sobie coś do jedzenia. Ostatni raz jadł dość dawno, ale nie czuł głodu. Mógłby wejść do którejś z restauracji, lecz na krótko stracił orientację w okolicy, a ponadto wstydził się jeść poza domem. Skreślił więc w stronę Selfridges i kupił potrawkę z kurczaka oraz kawałek szynki. Dorzucił do tego torebkę z sałatą — choć podejrzewał, że wyrzuci ją, zanim zdecyduje się spróbować — kilka gruszek, bochenek pełnoziarnistego chleba i kawałek roquefortu. Stał na środku sklepu, żeby się namyślić, i dołożył jeszcze butelkę beaujolais. Później, objuczony torbami, złapał taksówkę i wrócił do domu.

Rozejrzał się po swym mieszkaniu, jakby widział je po raz pierwszy albo ostatni. Salon wyglądał niczym poczekalnia gabinetu psychiatrycznego przy Harley Street, z tą różnicą, że u psychiatry byłoby cieplej, pracowałaby jakaś sennie mruczająca nagrzewnica, uspokajając czekających. Nigdy nie czuł się swobodnie w tym mieszkaniu, ale teraz trudno to było naprawić, trudno było cokolwiek tu zmienić. Było w nim coś ostatecznego, jakby ten dom należał do kogoś, kto niedawno zmarł.

Przeszedł do sypialni,

choć ten pokój także — w tajemniczy sposób, charakterystyczny dla wielu sypialni — wydawał się pusty i niezamieszany. Łóżko, za które Bland zapłacił kolosalną sumę, było jego ostatnią przystanią. W nim chciał umrzeć. Było to coś więcej niż nadzieja, to był plan. Kilka grafik, głównie angielskich z końca dziewiętnastego wieku, wisiało na ścianach, sąsiadując z jedynym przyzwoitym przedmiotem, który pozostał mu z domu rodzicielskiego — lustrem w pięknej, ozdobionej złocnymi stiukami ramie. Długie pionowe lustro, umocowane na zawiasach, stało w roku pokoju i sprawiało, że rano najpierw widział siebie, jak wstaje z łóżka i porusza się niczym widmo.

Ten pokój był jego domem, bezpiecznym zakątkiem. Pomyślał, że mógłby tu powrócić pewnego dnia, gdy jego podróże dobiegną końca i gdy znów będzie sam. Nie sprzeda tego domu — postanowił.

Niech zostanie taki, jaki jest, gotowy na jego przyjęcie, gdy będzie dobiegać kresu swego życia. Wróci tu jako złamany człowiek, który wydał wszystkie pieniądze — a raczej nie tyle wydał, ile roztrwonił — i którego nadzieje leżały w gruzach. Snuł się po sypialni, zastanawiając się, jak to będzie w tym ostatnim, nieodwołalnym momencie. W półmroku, który zawsze wypełniał ten pokój, gołębiowe ściany zdawały się uciekać do tyłu i przeobrażać w odległą poświatę. Jego oczy jednak nie napotykały żadnych rozległych widoków, tylko zderzały się z wymowną ciszą, z tajemnicą, która pozostanie zakryta, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila. Zdjął marynarkę i powiesił ją w garderobie.

Włożył granatowy wełniany blezer. Nawet jego ubranie stało mu się nagle drogie — to tuzinkowe ubranie pozbawione wdzięku, nieefektowe, choć wygodne, starannie wybrane i starannie przechowywane. Będzie tu na niego czekać. Niewiele zdoła zabrać w podróż w jednej torbie.

Obrócił się w stronę okna wychodzącego na ogród wypłowiwały od zimnego deszczu. Gdyby krzyknął, usłyszano by go w Radnor Place, miejscu jego pierwszej towarzyskiej klapy. Od tego czasu unikał konfrontacji w sprawie zasad i przekonań. Miał nadzieję, że jego niechęć do rozgłosu pozwoli mu przejść przez życie niezauważenie, i to mu się udało. Jak na razie. Choć zakrawało na ironię, że musiał zbliżyć się do kresu życia, by poczuć ten żywiołowy impuls do zmiany wszystkiego, i że bodziec, który wywołał to pragnienie, wiązał się z tak odpychającą osobą. Nie będzie rozwiązywać tej zagadki sfinksa. Wszystko postawi na jedną kartę, licząc, że ujdzie mu to płazem.

Po raz pierwszy w całej tej niewytłumaczalnej przygodzie odczuł smutek na myśl o wyjeździe. Zdał sobie sprawę, że ten smutek może zrównoważyć tylko nadzieja powrotu na stałe. Strugi deszczu uderzyły nagle o szyby. Wzdrygnął się i cofnął w głąb pokoju. Słońca, więcej słońca! Raptem z wielką siłą zapragnął słońca, wyrwania się z bezlitosnej otchłani zimy, z otchłani swego rozgoryczenia.

Nawet najweselsze przyjęcia i bankiety nie wymażą z kalendarza tego zimowego miesiąca. W poprzednich latach starał się jak mógł. Znosił przymusowy pobyt w domu Hardwicków w Surrey, w biesiadnym nastroju, poddając się radości świętowania. Ci drodzy przyjaciele traktowali jego wizytę jako część świątecznej tradycji, chociaż były to tylko jej pozory. Tym razem już ich uprzedził, że wyjedzie na Boże Narodzenie. I bez względu na to, jak dziwaczne okażą się nowe okoliczności, z pewnością będą mniej dziwaczne niż chodzenie do kościoła, objadanie się i ciemne noce, na które byłby skazany, rezygnując z podróży. Co roku przysięgał, że zostanie w domu. Co roku ustępował, gdy go pięknie o to prosili. Teraz nawet

nie mógłby pozostać na miejscu. Dom był trudnym pojęciem w najlepszych czasach, a teraz jeszcze trudniejszym.

Wszedł do kuchni. Położył na talerzu plaster szynki i plaster kurczaka. Wyjął sałatę, zastanowił się i schował ją z powrotem. Wiedział, że odsuwa tylko moment, w którym ją wyrzuci. Ukroił kromkę chleba i nalał sobie kieliszek wina. Miało na szczęście dobrą temperaturę. Dziwny spokój zastąpił wcześniejsze podekscytowanie. Niemal zapomniał, że miał to być niezwykły dzień. Skosztował sera i musiał go popić następnym kieliszkiem wina. Zanim się podniósł, by zrobić sobie kawę, spostrzegł, że butelka jest w trzech czwartych pusta. Nic nie szkodzi. Zawsze miał mocną głowę i nie zanosilo się na to, by teraz ją stracił. Zresztą stracił ją już wcześniej. Pozmywał, ostrożnie obracając w dłoniach piękne talerze, które kupił w sklepie ze starociami w Brighton. Podziwiał ich solidną wagę i śmiały deseń. Patrzył na nie, jakby miał ich więcej nie zobaczyć. Przypuszczał, że jeśli zniknie, talerze te zabierze pani Cordozo, która też je podziwiała, tak jak podziwiała wszystko, bez czego, jej zdaniem, mógł się obejść. Zostanie ograbiony, rzecz jasna, ale w pewnym sensie grabież już się zaczęła i nic nie można było na to poradzić.

Udało mu się uniknąć myślenia o tym, że czeka go długie popołudnie, które zdecyduje o jego przyszłości. Nie może zrobić nic, dopóki Katy nie obwieści mu swojej decyzji. W osobliwy sposób decyzja nie należała już do niego, wymknęła mu się z rąk, został ubezwłasnowolniony. Ogarnął go smutek, taki jak w dzieciństwie, wzmożony półmrokiem pokoju oraz ociężałością rąk i nóg. Czuł się, jakby powrócił do Reading, jakby matka wyszła właśnie z jego pokoju, z papierosem w dłoni. Zawsze zapadał w ciężki sen w tamtym pokoju, może przygnieciony rozpaczą, a może litością dla kobiety, która zrujnowała sobie

życie i przesiadywała u niego, zostawiając niepokojące ślady swej obecności na brązowym dywanie i zasłonach w stylu króla Jakuba. Machinalnie zdjął ubranie i położył się pod kołdrą. Wino działało na jego stargane nerwy jak środek uspokajający i nie pozwalało mu zastanawiać się, co powie Katy, gdy przyjdzie do niego tego popołudnia. Będzie tak ostrożny, jak tylko potrafi. Od początku przyjął tę postawę. Obawiał się, że mogą go ponieść nerwy, że straci swą rezerwę, załamie się i zacznie krzyczeć, jeśli mu odmówi. Sprawa stanęła na ostrzu noża. Przenikliwe uderzenie pierwotnego wzruszenia wzmocniło jego wolę. Odczuwał napięcie emocjonalne, którego nie potrafił opanować. Stał przed decyzją swojego życia. Zapomniał o całej swej przeszłości. Nieważne, czy się urodził, gdzie mieszkał, kto go wychował, co w życiu osiągnął. Widział przed sobą tylko przyszłość, tak nieokreśloną i nieznaną, jakby wkraczał w nowy okres dorosłości, w którym lata się nie liczą. Już nigdy nie będzie w nim niewinności ani odpowiedzialności, ani szacunku dla samego siebie. Będzie torturowany dojrzałymi postanowieniami, które podsunie mu umysł chłodny i pozbawiony złudzeń. Rozważając potworność swej sytuacji, zasnął. Niemal natychmiast przyśnili mu się rodzice, pogodni i młodzi, ale mocno wymalowani, jak aktorzy teatru kabuki. Perorowali coś do siebie, lecz bez wściekłości, bez tłumionego żalu, który im towarzyszył przez wszystkie późniejsze lata. Miał wrażenie, że widzi teraz, jacy byli w młodości, zanim się urodził, gdy dopiero się pobrali, pełni optymizmu. Nawet przez sen ścisnęło go uczucie miłości i zazdrości. Te dwa uczucia wyparły nagle to dławiące go stale poczucie żalu, które znikło bez śladu. Po raz pierwszy zobaczył ich takimi, jakimi byli naprawdę, bez związku z sobą i ze swymi potrzebami. Poczul się wyzwolony z pęt,



które go kępowały. Byli niezadowolającymi rodzicami, to już wiedział od dawna. Nie wiedział jednak — i dostrzegł to po raz pierwszy — że byli rozgoryczeni, zawiedzeni tym, że mijające lata nie spełniły obietnic młodości. Walcząc ze swoim rozczarowaniem, zrozumiał, że byli równie niewinni jak zwykli, zacni ludzie. Nagle i nieoczekiwanie postanowił podzielić ich los, pogodzić się ze zwyczajnym, codziennym nieszczęściem. To właśnie była mądrość, której go nauczyle, największa prawda, jaką mu przekazali.

Ta myśl wyniosła go niemal na powierzchnię przebudzenia, lecz po chwili ponownie zapadł w sen, tym razem bez marzeń. Spał tak głęboko, że po przebudzeniu miał wrażenie, iż wszystkie jego problemy zostały rozwiązane. To już koniec — pomyślał — i zdał sobie sprawę, że to prawda. Nawet się nie zdziwił. Przeszłość nie chciała go wypuścić ze swych objęć. Teraźniejszość trzymała go równie mocno. Przyszłość przyniesie mu tylko gorzkie następstwo pół roku. Nie opuści tego pokoju, który nagle stał się miły i przytulny. Dostrzegł, że to, co mu mąciło zmysły, było szaleństwem. Szaleństwem zrodzonym z życia, w którym się nie nażył. Podobne katusze muszą cierpieć święci, którzy schronili się na pustyni. Weźmy takiego świętego Antoniego, czyż nie zwodziły go wizje zmysłowych kobiet? Jedyne ratunek znalazł w biczowaniu i modlitwie. A Bland cierpiał tak samo, gdy skupił swe myśli na przyszłości.

Poruszając się ociężale, przygotował tacę z naczyniami na herbatę. Ułożył herbatniki na talerzu, niczym posiłek dla inwalidy. Usłyszał dzwonek u drzwi, poszedł otworzyć i zobaczył Katy, znów w podkoszulku i dżinsach. Na nogach miała nedorzecznie malutkie espadryle z zamszu. Minęła go i weszła do środka, rezygnując ze zwykłego pozdrowienia, którym zawsze próbowała coś sprytnie

wygrać. Żadne z nich nie chciało się odezwać pierwsze. Bland ruszył do kuchni. Zaparzył herbatę, wrócił i postawił przed nią tacę, tak jak to już robił wiele razy. Trwała w bezruchu, ale narastały w niej nerwowość i poczucie przegranej. To go nie dziwiło. Nie potrafiła dłużej na niczym się skoncentrować. Zauważył to już wcześniej. Najpierw ziewała, zastygła nieruchomo jak czatujące zwierzę, potem dopiero nabierała rumieńców i werwy. Uderzyło go to już przy pierwszym spotkaniu. Teraz jednak coś się zmieniło. Nie umyła włosów. Unikała jego spojrzenia. Była nastawiona wrogo, ale nie swoją zwykłą, napastliwą złością, tylko ciężkim, nieruchawym, tępym zagniewaniem. Zrozumiał. Był dla niej zbyt wolny, zbyt stary, zbyt rozsądny. Starła się na darmo. Nie obdarzy jej tym, na co liczyła. Nie odda jej swego życia razem z mieszkaniem i wszystkimi ziemskimi dobrami, na które miała ochotę. Był dla niej obcy — wiedział o tym. Więcej nawet: pogardzała nim tym silniej, im bardziej czuła się od niego młodsza, a on wydawał jej się starszy. Teraz postanowiła wyjechać. Odgadł to natychmiast. Nie starała się ukryć obrzydzenia, jakie w niej wzbudzał.

— Więc jedziesz do Ameryki? — powiedział. Pokiwała głową. Wzięła do ręki „Timesa” i z nie udawanym zainteresowaniem przejrzała na ostatniej stronie temperatury w różnych miastach.

— Do pana Singera? Rzuciła gazetę przed siebie.

— Tu nie mam nic do roboty, prawda?

— Kiedy zamierzasz wyjechać?

— Gdy tylko pożyczę pieniądze na bilet — odparła niefrasobliwym tonem.

Patrzył na jej twarz, którą od niego odwracała. Odwracała nie dlatego, że czuła się zażenowana, tylko dlatego, że wszystko było jej obojętne.

— Mogę ci pomóc — rzekł, uświadamiając sobie, jak bardzo jest rozczarowany.

Nie wiedział, jak przełamać jej stupor.

— Może dam ci czek?

— Tak będzie najlepiej — odpowiedziała jakby nieobecna myślami.

Zaległa cisza.

— Skoro tak uważasz... Powiesz mi, kiedy zdecydujesz się wyjechać?

— Jasne.

Na jej twarzy pojawił się wyraz potępienia, jakby przyłapała go na czymś, za co powinna mu zrobić wyrzuty. To wystarczyło, żeby poczuł się zawstydzony. By ukryć zażenowanie, wyjął z szuflady stolika książeczkę czekową i wypisał czek na pokaźną sumę. Powinna wystarczyć na wszystko: bilet, hotel, może nawet mieszkanie, posiłki, nowe ubrania. Chciał, żeby Katy była bezpieczna, choć sam nie mógł zapewnić jej bezpieczeństwa. Ale bezpieczeństwo ją nudziło, tak jak ten zaciszny pokój i jego ustabilizowane życie. To nawet lepiej — pomyślał. Czuł się strasznie wyczerpany, jakby zaczęła się w nim rozwijać jakaś choroba.

Szybko spojrzała na czek i wsunęła go do kieszeni dzinsów. Oboje milczeli. Słowa istotnie były zbędne, ponieważ żadne z nich nie zamierzało tłumaczyć się drugiemu z tego, co zrobiło. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, przebierając palcami nad ramieniem w geście pożegnania. Gdy zamknęła za sobą drzwi, zapadła grobowa cisza.

Stąpając ostrożnie, jakby znalazł się w zawałonym budynku, w którym każdy gwałtowny ruch może spowodować runięcie stropu, zebrał na tacę nie używane naczynia i zaniósł je do kuchni. Pewnie pod wpływem ostatniego snu brzmiały mu w uszach inkantacje matki. Jej spostrzeżenia — musiał przyznać — były trafne, zwykle cięte i zawsze nie-

przyjazne. Nie miał ochoty rozważać zarzutów, jakie by się jej wyrwały, gdyby podobna sytuacja powstała za jej życia. Nie miał ochoty słuchać krytyki na swój temat, ponieważ byłaby to krytyka prowadząca donikąd. W pewien sposób te dwie kobiety były do siebie podobne. Wpadło mu do głowy, że powinien się zastanowić, dlaczego w swoim śnie czuł się tak młody, tak przejęty i zadziwiony. Uświadomił sobie, że nigdy nie zgłębił arkanów dorosłego zachowania, które by mu pozwoliły od początku rozpoznać sztuczność całej tej sytuacji. Jego matka była obojętna, ale Katy była monstrualnie obojętna. Postawiła swój domek z kart na jego życiu i jego własności, nie zadając sobie trudu sprawdzenia, na jakim gruncie go buduje. Nie zapytała go, co lubi, a czego nie i jakie są jego plany. Nie obchodziła go ostrożnie, by ocenić, czy był gotów oddać się w jej ręce lub co mogłaby zrobić, by go do tego nakłonić. To właśnie spowodowało jego nawrócenie w ostatniej chwili. Zdał sobie sprawę, że jego życie było jej kompletnie obojętne. Powinna go była zapytać... Właśnie, o co powinna go była zapytać? Nawet nie o to, czego chciał, ale co myślał, co czuł i co sobie wyobrażał. Tak, najważniejsze było to, co sobie wyobrażał. Tymczasem ona traktowała go tak jak prostytutka traktuje klienta — z odrazą. Prawdopodobnie traktowała tak wszystkich mężczyzn, którzy nie podporządkowali jej sobie, jak ojciec lub Howard Singer. Powinien był nawet teraz okazać jej litość. Zamiast tego odczuwał rozżalenie, nie wiadomo do kogo, że tak młoda osoba może mieć tak ograniczoną wrażliwość. „Mów wszystkim, jaki jesteś wielki”. Tę głupkowatą zasadę Katy podniosła do rangi jakiejś filozofii. Głosiła ją tak jak inni swoją religię, upowszechniała w ewangelicznym wprost ferworze. Przyswoiła sobie tę maksymę w stosunkowo późnym okresie życia, a ponieważ była dość poślednim ma-

terialem, w efekcie stała się ślepa na odczucia innych, na te właściwości bliźnich, które ułomni przedstawiciele naszego gatunku muszą dostrzec, by wiedzieć, jak kierować swym życiem i jak obchodzić się z innymi.

W przeciwieństwie do jej planów, jego projekty miały tę zaletę, że uwzględniały dobro ich obojga. Wyłaniała się z nich jakaś wizja znośnego życia i dla niego, i dla niej. Gdyby planował inaczej, byłby nie tyle łotrem, ile durniem, człowiekiem opanowanym przez szaleństwo, człowiekiem, który zapomniał

o swym wieku i swych upodobaniach, swojej biografii

i godności. W jego sumieniu nie było lubieżnych intencji, a obojętność na to, co mówiło mu o niej jej zachowanie, jedynie wzmacniała postanowienie, by skusić ją perspektywą zupełnie nowego życia, życia, które przemknęło jakoś obok niego w latach pełnego posłuszeństwa. Chciał, by pozostali niewinni, by zachowywali się jak dwoje podróżnych, którzy spotkali się przypadkowo i nie musieli obciążać się wzajem historiami swego życia; których zachwycił sam fakt, że natrafili na siebie w opustoszałym i bezludnym miejscu. Trudno było oczekiwać, że taka niewinność w ogóle istnieje, trudno jej było od kogoś wymagać. Ale uświadomił to sobie z całą wyrazistością dopiero teraz.

Wreszcie cierpiał z powodu swych fantastycznych założeń, a nie wskutek nie zrealizowanych fantazji. Swoje wizje odnosił do kogoś, kto nawet się ich nie domyślał i kogo nie mógł obwiniać o ich odrzucenie. Nie miał więc prawa potępiać jej za to, że chciała go wykorzystać. W pewnym sensie on zachował się gorzej.

Nie pasowały do siebie style ich życia. To była istota rzeczy. Jego przeszłość stanowiła dla niej obcy ład, którego nie zamierzała i nie odczuwała potrzeby zwiedzać. Wzajemne dostosowanie się nie jest kwestią chwili. Musi je poprzedzać wiedza, sympatia i zro-

zumienie. Musi je poprzedzać wspólna przeszłość, jak przeszłość, którą podzielał z Louise i z Putnamem. Teraz rozumiał, dlaczego Louise była ciągle obecna w jego myślach, choć robił, co mógł, by te myśli ignorować, i nawet mu się to udawało. Intuicyjnie też wyczuwał, że ten okres w ich życiu, gdy żadne wyjaśnienia nie były potrzebne, ten długi okres nudnej przewidywalności — to była prawdziwa przyjaźń. Przyjaźń oznaczała, że mogli na sobie wzajem polegać, że mieli do kogo zadzwonić, gdyby zdarzyło się nieszczęście, i że spiesznie każde z nich odpowiedziałyby na taki telefon. Przyjaźnią jest to, co mogą sobie dać, gdy ich dni będą dobiegały końca. Choćby nie wiadomo jak bujna była jego wyobraźnia, nie mógł sobie wyobrazić Katy przy swoim łóżku. On jednak byłby przy niej w razie potrzeby. Byłby, ale nie będzie. Jego wyobraźnia niepotrzebnie podsuwała mu zbędne problemy do rozwiązania. Postać w letnim ubraniu stojąca na balkonie pozostanie tylko wizją, choć niezwykle silną; wizją nieznajomego, którego poznałby bliżej z wielką radością. Mimo że było dopiero wpół do szóstej, poszedł do sypialni i się położył. Wiedział, że czeka go samotna, pełna rozmyślań noc, ale był zadowolony. Musiał jeszcze przezwyciężyć ten wielki smutek, ten żal, że ostatecznie nie włączy do swego życia tego, co z niego tak systematycznie wykluczał: nieokiełznania, namiętności, przygody, szaleństwa, nierozwagi, ryzykanctwa. Gdyby w przeszłości potrafił ulegać tym siłom, gdyby jego emocje wypaliły się i zużyły, mógłby myśleć o śmierci pogodnie. Wiedziałby, że niczego nie zaprzepaścił. Myśląc o tym, z całą uczciwością stwierdził, że nie zamierzał wykorzystać dziewczyny do kuracji odmładzającej, nie popełnił oszustwa przed samym sobą, biorąc żądze podstarzałego mężczyzny za filantropię. Świadczył o tym fakt, że myśląc

o niej, czuł ten sam smutek, jaki odczuwał, myśląc o sobie. Łączyły ich podobne słabości: nie umieli o siebie zadbać, zawodziły ich instynkty i jeśli nawet nie byli niewinni, to byli bezbronni. Bajeczna odyseja, jaką zaplanował dla nich obojga, miała w sobie coś dziecinnego, była wyrazem jego chłopięcych marzeń, w których nie było miejsca na seks i grzech. Wyglądało na to, że fizyczna miłość nie znajdzie już sobie miejsca w jego życiu, że brak mu tej energii, która kształtuje w umyśle dzikie obrazy inspirowane pożądaniem. Przypomniała mu się pewna rozmowa z Putnamem. Było to zaraz po wakacjach, przed dwoma lub trzema laty. Wrócił właśnie z Aixen-Provence, gdzie doszło do jednego z jego dyskretnych spotkań. Spotkanie było bardzo udane, doskonale dostosowane do okoliczności i czasu, a jednak wprowadziło go w przygnębienie większe niż zwykle. Kompletna przewidywalność całego epizodu, wraz ze wszystkimi scenami łóżkowymi, przepełniła go nie tyle wstydem — to potrafiłby zrozumieć — ile tęsknotą za czymś innym. Po powrocie do Londynu poszedł na jeden ze swych długich spacerów — chyba do Kennington, przypominał sobie bowiem wielkie, bezkształtne kościoły — i wracając wpadł do Put-nama. Była niedziela, następnego dnia szli do pracy i Bland odczuwał takie przerażenie, jakby nazajutrz miał wrócić do szkoły. Często opadało go to uczucie w niedzielę.

Siedzieli milcząc i jedząc drożdżowe bułeczki w rdzawym mroku mieszkania Putnama, w blasku jego niebywałego elektrycznego kominka, w którym żarzyły się oprawione w bakelit plastikowe pomarańczowe węgle. Obaj byli w nastroju do medytacji i nie mieli sobie nic ważnego do przekazania.

— Jesteś cichy — zauważył w końcu Putnam. — Czy stało się coś złego?

— Powiedz mi coś — odparł, budząc się z zasę-

pienia. — Czemu życie wydaje się porywające tylko wtedy, gdy ocieramy się o możliwość rozstania z nim na zawsze? Czemu tak nie wciąga z pozytywnej przyczyny? Chodzi mi o jakąś fatalną namiętność. Czemu czujemy się oszukani, gdy nas ominie?

— Nie myśl, że podziękowałbym za fatalną namiętność. Fatalna namiętność kończy się okropnie. Dlatego się nazywa fatalna.

— Mnie ona jakoś ominęła, zupełnie. Może jej unikałem, nie wierząc, że z nią sobie poradzę. A może byłem zbyt skromny.

— Nie bądź taki zadufany w sobie. Tylko ludzie nieskromni twierdzą, że są skromni.

— Dobrze, więc nie chodzi o skromność, lecz o to, że nie byłem przygotowany.

— Jesteś tym, czym los ci pozwala być. Jak my wszyscy.

— Mam wrażenie, że popełniłem jakiś błąd. Jakbym został pozbawiony czegoś z własnej winy.

— To jest chyba prawda. Każdy z nas popełnia błędy. Ja robię błąd za każdym razem, gdy mam romans z mężatką. Co nie znaczy, że było ich tak wiele.

— I nie cierpisz z tego powodu? Putnam zapalił papierosa.

— Niespecjalnie — oparł wreszcie.

— Na tym pewnie polega różnica między romanssem a prawdziwą miłością. Nie miałbym nic przeciwko temu, by cierpieć z powodu miłości. Nawet do tego tęsknię.

— Jesteś romantykiem. Dorastającym chłopcem. Dorośli mężczyźni nie cierpią. To wszystko bierze się z książek. Gdybyśmy nie przeczytali książek, na których się wzorujemy, w połowie byśmy się tak nie starali, jak się staramy. Przynajmniej ty byś tego nie robił. Bo ja się w ogóle nie staram.

Leżąc w ciemności na łóżku, myślał o tej rozmowie



i o tym że nawet Putnam go nie zrozumiał. Choć niewątpliwie miał rację. Nie było żadnej różnicy. Ciągłe roily mu się bezpieczne romanse. Kolejny z nich miał się przerodzić w ucieczkę, wygnanie i namiętność przetworzoną w dobroczynne opiekuństwo. Coś tu było nie tak. Coś tu nie grało. Może nie stanął na wysokości zadania. Może nie potrafił właściwie przygotować się do życia. Tracąc poczucie czasu, odniósł wrażenie, że namiętność, której ciągle szukał, rozplynęła się w ciemności. Już nie tęsknił do niczego. Żałował tylko bezgranicznie tego, co było.

## XI

**Nie** spostrzegł, kiedy wyjechała. Przez sen usłyszał brzęk kluczy wpadających do skrzynki na listy u drzwi wejściowych. Na chwilę niemal się rozbudził, nie mógł się zorientować, która jest godzina, i ponownie zasnął. Gdy się w końcu zbudził na dobre, spostrzegł, że jest bardzo późno, prawie dziewięta. Nigdy przedtem nie przespał swej zwykłej pory, więc teraz miał wrażenie, że coś się stało. Nie był jednak chory. Powoli zaczął zbierać siły, sprawdzać swe reakcje i zdolność ruchu. Na razie nie ośmielił się testować myślenia. Instykt podpowiadał mu, że powinien wymazać z pamięci wszystko, co się zdarzyło, zetrzeć wszelki ślad jej istnienia i swego zaangażowania. Tym, co pozostanie, zajmie się później, gdy będzie zdolny do dojrzałej oceny tych wydarzeń i swojego w nich udziału. W przyszłości będzie miał dość czasu, by wyciągnąć wnioski, i to nie na temat Kąty, która teraz wydawała mu się niemal niewinna, ale na swój i przypadkowości tego, co zaszło w jego życiu. Wypił filiżankę herbaty i wziął kąpiel. Nie chciało mu się jeść. Ubrał się tak starannie jak zwykle, wyjął ze skrzynki klucze i zdając sobie sprawę, że to jego

obowiązek, otworzył drzwi mieszkania Dunlopów. Powietrze jeszcze drżało, poruszone jej niedawną obecnością, jakby wyjechała przed chwilą. Pod wpływem odruchu albo zwykłego niedbalstwa pozostawiła widoczne ślady swego pobytu. Pośrodku salonu stała deska do prasowania z żelazkiem postawionym na sztorc i podstawą zwróconym w stronę telewizora. Na ekranie migał jakiś stary czarno-biały film z Frederikiem Marchem. Wszedł do sypialni, położonej tak jak jego własna. Poszewka została niestarannie naciągnięta na puchową kołderkę, na poduszce pozostało wgniecenie wskazujące, gdzie leżała jej głowa. Nie zadała sobie najmniejszego trudu, by ukryć fakt, że tu przebywała. Drzwi od garderoby zostawiła wpółotwarte, a ubrania w szafie — w nieładzie. Pomarańczowa garsonka prawie spadała z wieszaka i jedno jej dyskretnie wywatowane ramię sterczało w powietrzu. Wiedział, że w kuchni znajdzie nie umyte filiżanki i talerze, w łazience wilgotne ręczniki. Z niepokojem ruszył sprawdzić oba miejsca i podejrzenia się potwierdziły. Zastanawiając się nad tym, co powinien zrobić, miał dość czasu, by popaść w zadziwienie i niemal pochylić głowę w podziwie dla jej niewiarygodnej niefrasobliwości. To właśnie jest wolność — pomyślał. Wolność polega na tym, że bierze się, co się chce, i nie zacierają śladów. Ale jest to także rys charakteru kryminalisty, a może i psychopaty. Dziwił się, czemu nie dostrzegł tego wcześniej. Wydawała mu się niezwykła. Przecież zbiła go z nóg tym, co robiła, i dlatego właśnie nie dostrzegł, że były to wybryki służące jej jako szczeble na drabinie oświecenia. Potępił w myśli Howarda Singera, ale zaraz go uniewinnił. Poczuł nawet do niego coś w rodzaju niechętnych sympatii. Doktryna pozytywnych uczuć nie pozwalała Singerowi odrzucić marnotrawnej córki, choć jej odejście mogło być poprzedzone

jakimiś wypadkami wymagającymi wyjaśnienia, a nawet wyrządzeniem jakichś szkód, może niewielkich, a może całkiem sporych. Howard Singer, hołdujący przekonaniu, że nawet największą krzywdę można wynagrodzić wylewną sympatią, nie miał oczywiście prawa odmówić jej entuzjastycznego przyjęcia. Z pewnością była mu niegdyś przydatna, teraz jednak będzie musiała użyć całej swej przebiegłości, by go przekonać po raz wtóry o swojej wartości.

Ale prawdopodobnie potrafi to zrobić. Była jak Feniks — za każdym razem zaczynała od początku z nie uszczuplonym zapasem sił. Niemniej trudno było zignorować spustoszenie, jakie po sobie pozostawiała. Zajął się bałaganem w mieszkaniu, odsuwając na później dalsze rozmyślenia. Zmył filizanki i talerzyki, lecz nie ośmielił się otworzyć spiżarki ani zamrażalnika. Nie wiedział, gdzie schować różne rzeczy. W łazience podniósł z podłogi ociekające wodą ręczniki i przewiesił je niepewnie przez krawędź wanny. Złożył deskę do prasowania i wyłączył telewizor. Nie miał na nic więcej siły. Poprosił panią Cordozo, by doprowadziła mieszkanie do porządku, choć z pewnością to życzenie nie spotka się z dobrym przyjęciem. Pomieszczenia będą wyglądać trochę inaczej niż zwykle, ale przynajmniej będą czyste. Jeśli cokolwiek zostanie przeniesione w inne miejsce, będzie to można zrzucić na panią Cordozo. Ponadto ta przedsiębiorcza kobieta na pewno znajdzie świeże ręczniki i pościel, a może nawet zechce spakować brudną bieliznę, którą on zwiezie na dół i przekaże Hipwoodowi do prania. Hipwood dostanie sowity napiwek w tym roku, pani Cordozo również. Teraz już właściwie nie miał na co wydawać pieniędzy, a nawet nie potrafił sobie wyobrazić, na co mógłby je wydawać w przyszłości. Wydatki przestały się liczyć, tylko od niego zależy, ile będzie wydawał. Celowo nie zapisał sobie, na jaką sumę wypisał czek

dla Kary, i teraz zupełnie tego nie pamiętał. To był jedyny zdrowy odruch, jakim się wykazał w całej tej aferze. Jego wszystkie godne pożałowania zabiegi należało puścić w niepamięć. Tego właśnie potrzebował najbardziej — zapomnienia.

Dziś jest niedziela. Pani Cordozo przyjdzie jutro, to znaczy w poniedziałek. Dunlopowie wracają we wtorek. Skonstatował ze smutkiem, że teraz jego plany obejmować będą tylko te właśnie osoby, które ni go grzały, ni ziębiły, podczas gdy Katy rozplynęła się w powietrzu. Ślady jej obecności zostaną wymyte i wyszczotkowane i nic nie będzie świadczyć o tym, że tu kiedykolwiek była, chociaż póki była, wprowadzała straszliwe zamieszanie. Znów myślał z podziwem o jej skłonności do lenistwa i wyrachowaniu, które same w sobie wystarczyły, by wyjaśnić, dlaczego jej wzrok zwrócił się w jego stronę — był po prostu najbliżej. I niemal jej się powiodło. Zgubił ją na koniec jej własny upór. Z pewnością to bardziej niż cokolwiek innego można by określić jako techniczny błąd w ocenie jego przydatności.

Mimo to nawet teraz nie żałował, że ją poznał, i gotów był ją usprawiedliwić. Z pewnością jej charakter ukuty był ze stopu o niszczycielskich właściwościach, ale z drugiej strony był to stop niezwykle rzadki. Uważał ją za kobietę, która zmarnowała sobie życie, potrafił jednak dostrzec, że w jakiś przewrotny sposób świetnie sobie radziła. Uznał, że instynktownie, z niezwykłą przebiegłością skierowała się ku Howardowi Singerowi nie ze względu na to, kim był, ale dlatego że w jego pobliżu kręcili się zagubieni bogaci pacjenci. Bland łatwo mógł sobie wyobrazić, że Katy zamieszkuje w Bel Air i ponownie staje się jedną z najbliższych przyjaciółek Singera. A ktoś bardziej od niego wyrachowany bez trudu zdobywa pozycję patrona, o której on tylko marzył. Miał przynajmniej nadzieję, że ten

ktos będzie bardziej wyrachowany. On nie potrafił się na to zdobyć i dlatego tak bardzo cierpiał. Ponieważ była niedziela i żadna zmiana nie wydawała się możliwa, włożył tweedowy kapelusz i wyszedł do parku. Dzień był piękny. Wiatr rozgonił chmury, odsłaniając lodowaty błękit. Niskie żółtawe słońce rozświetlało równomiernym blaskiem puste ulice i oszronione chodniki. W parku pod jego stopami trzeszczała zmarznięta trawa. Odczuwał przenikliwe zimno. Ponieważ mimo długiego snu czuł się zmęczony i ponieważ nie jadł śniadania, zdecydował się nie iść zwykłą drogą do South Kensington, tylko usiąść w nieustępliwym, bezlitosnym słońcu i ułożyć jakieś plany, które pomogą mu przeżyć nadchodzące dni. Obawiał się, że jeśli czegoś nie postanowi, zadławi go nieuchronne rozgorzenie.

Usiadł w altanie ze stylizowanym greckim frontonem, zwróconym w stronę ogrodów opadających w kierunku Bayswater. W pobliżu nie było nikogo, choć dzień był słoneczny. Przez płaszcz odczuwał chłód kamienia, jeszcze nie rozgrzanego przez zimowe słońce. Zachowywał się nierozważnie, jak na mężczyznę w jego wieku. Rozsądek nakazywał coś zjeść i szukać ciepła. Coś innego jednak podpowiadało mu, że potrafi się obyć bez jednego i drugiego, przynajmniej przez chwilę, którą powinien poświęcić na głęboki namysł. Żadne jednak myśli, w każdym razie żadne głębokie myśli, nie przychodziły mu do głowy.

Siedząc bez ruchu w świetle okrutnego zimowego słońca, czuł się jak rozbitek wyrzucony na rafy, jak jedyny człowiek, który uratował się z katastrofy tak niepojętej, że nie mógłby jej wytłumaczyć nawet przyjacielowi; nawet przyjacielowi, który go kochał. Nawet Louise, która nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Jeśli kogokolwiek skrzywdził, to ją właś-

nie, nie proponując jej tego, co gotów był oferować jakiejś niemal nieznannej dziewczynie, której teraz w dodatku współczuł. Bo w tej dziewczynie była siła i niezłomność młodości, a on, nie z własnej winy, ale pod wpływem mijającego czasu zatracił obie te cechy. Pod tym samym wpływem — i co najwyżej pośrednio tylko w wyniku spotkania z Kątą — stracił zdolność przeistoczenia się, przegapił okazję do przemiany. Planując przyszłość zupełnie niepodobną do nieskazitelnej i autentycznej przeszłości, uległ czarowi jakiejś idylli, której nie sposób było ujawnić w świetle dnia. Ten balkon, cygaro, zachodzące krwawe słońce...

Nie było reguły, która by zabraniała mu cieszyć się takimi wrażeniami, ale wiedział, że na próżno usiłował ich doświadczyć. To była czysta mrzonka, że ktoś zgodziłby się dzielić z nim życie, życie tak zupełnie różne od swego własnego, po to tylko, by umożliwić mu przeżycie czegoś, czego wcześniej nie doznał. Sam siebie mamił takimi iluzjami, i to w sposób zupełnie niestosowny. Znalazł się w sytuacji dotąd mu nie znanej. Przypadkowa znajoma, nawet nie przyjaciółka, obudziła w nim, ożywiła i uaktywniła ideę wolności, wyprowadzając go poza granice rozsądku. W wyniku zupełnie przypadkowego zdarzenia, jakim było poznanie tej dziewczyny, stał się niemal innym człowiekiem, zaczął żyć w świecie poezji.

Rzeczywistość z pewnością okazałaby się bardziej przyziemna. Może powinien był sobie uprzytomnić, że ta doskonała fantazja była tak doskonała tylko dlatego, iż była fantazją. Sądził, że jest w nim filozoficzny spokój, ale wystawiony na próbę, ten spokój mógłby zniknąć w konfrontacji z podeszłym wiekiem, ze zgrzybieniem, z bólami i drętwotą starości, ze sztywnymi stawami, zakłóconym trawieniem i zmaconym wzrokiem. Pod wieloma względami

lepiej było pozostać tu, gdzie jest, i radzić sobie najlepiej jak potrafi — a dotąd udawało mu się to całkiem niezłe — samemu lub z pomocą, choćby niechętną, tych, których ma pod ręką. To mu przypomniało, że musi przygotować koperty dla Hipwooda i pani Cordozo. Nie napisał jeszcze kartek świątecznych, choć otrzymał ich wiele. Nie kupił prezentu dla Louise, ale o Louise nie śmiał jeszcze pomyśleć.

Jeśli chodzi o miłość, o to dziwne, wyczerpujące uczucie, jakie żywił dla tej dziewczyny, to owa namiętność — nawet jeśli to była namiętność w jakiejś nieczystej formie — zniknęła w świetle onieśmielającego słońca. Teraz już nigdy nie pozna tego uczucia, tego obłąkania opisywanego przez poetów. Będzie się musiał zadowolić jego przeczuciem i przedsmakiem, wyłącznie jego wyobrażeniem, choć to blade wspomnienie fantazji obiecuje niewiele treści na resztę życia. Fantazja patrzy w przyszłość, a spoglądanie wstecz nie daje już żadnej przyjemności. Pozostaną mu więc zwiędłe wspomnienia i codzienna rutyna. Będzie musiał pogodzić się z tym, co mu zostało, nie szukając tego, co sobie obiecywał. W ten sposób zachowa jakąś zewnętrzną godność, chociaż myśli na jego własny temat, których nikomu nie wyjawia, będą głosiły inną prawdę.

Oczami duszy dostrzegł postać w podkoszulku i dzinsach — postać, która musi pozostać nie zauważona w tłumie podobnych postaci, niemal przez nie wchłonięta — jak toruje sobie drogę w gorączkowym rozgardiaszu lotniska. Widział nylonową torbę na ramieniu, przypominającą torby niesione przez innych podróżnych, i wiele postaci przechodzących rękawem do samolotu. Samolot drży pod wpływem skumulowanej energii, rusza, rozpędza się, unosi, maleje i znika. Zdrętwiały mu stopy. Podłożył rękę



pod plecy, by złagodzić ból w krzyżu, podniósł się i ruszył na Bayswater Road.

Gdzieś tu po drodze jest kawiarnia, przypomniał sobie, a właściwie tani, bezpretensjonalny grecki bar nastawiony na turystów i przyjezdnych, którzy są zbyt zagonieni, by wybrać jakieś bardziej wyszukane miejsce. W lecie stały tu na chodniku cztery pomalowane na biało stoły i co jakiś czas, rozmawiając ze sobą głośno, z wnętrza wychodzili kelnerzy, by sprzątnąć białe filiżanki i zmieść na tacę okruchy bułek i rogalików. Dziś w dość ciemnej kawiarni siedziało bez ruchu japońskie małżeństwo, jedząc smażone jajka z pieczoną fasolą. Syczał ekspres do kawy i od czasu do czasu odzywał się właściciel baru głosem przywodzącym na myśl trenera futbolu amerykańskiego. Bland usiadł, zamówił grzanekę i herbatę. Gdy je podano, stwierdził, że i jedno, i drugie jest zadziwiająco smaczne. Około dziesięciu minut siedział, otoczony parą i hałasem. Później, ponieważ już nic więcej nie miał do roboty ani teraz, ani w przyszłości, wstał i poszedł do domu.

W mieszkaniu wyciągnął sałatę, przygotował zalewę i odciął kilka plastrów kurczaka. Zostało trochę sera i chleb był ciągle świeży. Był bardzo głodny, jakby pościł przez wiele dni lub miał zjeść pierwszy posiłek po operacji. Zanim jednak zdążył przełknąć pierwszy kęs, poczuł tak silny przyływ żalu, że zgiął się wpół, twarz mu się wykrzywiła, oczy zaszyły łzami. Zmusił się, żeby przełknąć to, co miał w ustach, i popił szklanką wody, by się uspokoić. Resztę posiłku zostawił nietkniętą. Odsunął talerz, przeszedł z kuchni do salonu i ciężko opadł na fotel, zdegustowany tym, co się z nim działo. Nie miał dość odwagi, by znów się wciągnąć w codzienne życie. Wszyscy jego znajomi, którzy przysłali mu kartki świąteczne i poza tym byli mu kompletnie obojętni, z pewnością zmartwiliby się jego stanem,

gdyby go teraz ujrzeli. I na pewno zajęliby się nim, gdyby się rozchorował lub doznał załamania nerwowego, a to nie było wykluczone. W razie konieczności wzięliby go nawet do siebie. Miał jakieś zobowiązania wobec tych troskliwych ludzi i wobec Louise, która bez wątpienia będzie przy jego łożu śmierci, tak jak była przy nim przez całe życie. W swym obecnym strapieniu nie poświęcił jej nawet jednej myśli, i tak już musi pozostać, nie może jej wyznać prawdy. W tej scenie śmierci, którą sobie wyobrażał, z pewnością zabraknie jednej osoby — nie Kąty, bo ta jego zdaniem zawsze już będzie przed sobą uciekać, lecz człowieka, którym pragnął zostać, którego uśmiercił, gdy miał sześćdziesiąt pięć lat.

Z wielkim wysiłkiem podniósł się, poirytowany wbrew samemu sobie panującym w mieszkaniu chłodem. Posprzątał w kuchni, podszedł do stolika i do przeznaczonej dla Hipwoda koperty włożył niebagatelną sumę pieniędzy wraz z odpowiednimi życzeniami świątecznymi. Nadchodziły święta i to kazało mu myśleć o obowiązkach towarzyskich. Będzie musiał kupić i wysłać karty świąteczne, choć na kupowanie prezentów było już zbyt późno. Mógł co najwyżej przesłać kwiaty. Nie wiedział tylko, co zrobić z Louise. Nigdy przedtem nie zaniedbał jej na święta. Musi znaleźć jakiś wykręt, jakieś wytłumaczenie. Odrzucił myśl, by zasłonić się chorobą, choć zdawał sobie sprawę, że był tak bliski choroby, iż ewentualne kłamstwo będzie równie bliskie prawdy. Zbierając w sobie resztki siły moralnej, postanowił nie ustąpić pragnieniu wyzbycia się wszystkiego: uczuć, lojalności, szacunku i troski o siebie. Raz jeszcze zmusił się do rozważenia planu wyjazdu — wystarczyłoby kupić bilet do jakiegoś odległego miejsca — ale natychmiast sobie uprzytomnił, że nie zniósłby samotnej wyprawy, dopóki jego wyimagionowany towarzysz podróży tkwił pod samą powierz-

chnią świadomości. Zostanie tu, gdzie jest, robiąc to co zwykle, aż obudzi się w nim radość życia w ten sam, niemalże magiczny sposób, w jaki zachodziły jego przelotne i iluzoryczne przeobrażenia. Będzie musiał na to poczekać, a tymczasem zachowywać się z taką godnością, na jaką go stać. Nic tak nie przystoi mężczyźnie w jego wieku — zdał sobie sprawę, jakby wbrew samemu sobie — jak odrobina godności.

Włożył płaszcz i miękki czarny kapelusz, w którym chodził do biura, schwycił kopertę i zszedł na dół. Stał przed kontuarem Hipwooda, który wyłonił się ze swojego pokoiku i gestem właściciela położył rękę na podstawie choinki.

— Najlepsze życzenia świąteczne, panie Hipwo-od — powiedział, wręczając mu kopertę.

— Jestem panu bardzo zobowiązany — odparł portier.

Zwykle był bardziej wymowny — uświadomił sobie Bland.

— Zastanawiam się, czy mogę pana o coś poprosić... — zaczął.

„Przekonaj się” — zdawał się mówić wyraz twarzy Hipwooda, który najwyraźniej nie miał zamiaru wyrwać się ze swego grobowego milczenia.

Bland położył dodatkowe dwadzieścia funtów na kontuarze.

— Ogrzewanie u mnie nie działa — oznajmił. — Czy będzie pan tak dobry i sprawdzi, co się stało?

Nie uśmiecha mi się zostać na święta w lodowatym mieszkaniu.

— Nie wyjeżdża pan na święta, proszę pana?

— Nie, zostanę w domu.

— Może pan na mnie polegać, proszę pana. Czasem trzeba wyregulować termostat.

— Oczywiście ma pan klucze do mego mieszkania — dodał Bland.

To był dowód zaufania. Na razie nic więcej nie

potrafił zrobić w swojej obronie. Wiedział jednak, że Hipwood nie mógł się doczekać zaproszenia do mieszkania, w którym — jak podpowiadała mu wyobraźnia — rozgrywały się w ostatnich dniach sceny rozpusty i wyuzdania. Hipwood uważał się za strażnika moralności publicznej i chciał być pewien, że nic nie ujdzie jego czujnemu oku. Nie chodziło mu zresztą o to, by cokolwiek wypatrzeć, ale o to, by wiadano, że ma podejrzenia. W przeszłości Bland musiał ich często wysłuchiwać. — Trzecie piętro, proszę pana — mówił portier kącikiem ust, ledwie poruszając wargami. — Czy słyszał pan coś niezwykłego? Ktoś tam u nich był zeszłej nocy i mam pewne podejrzenia... Wszystko jedno, czy lokator był mężczyzną, czy kobietą, Hipwood używał zaimka „oni”. Bland doskonale wiedział, że portier podejrzewa wszystkich szacownych emerytowanych staruszków i wszystkie staruszki zamieszkujące ten budynek o utrzymywanie kompromitujących kontaktów. Jak wiele osób samotnych, miał chorobliwą wyobraźnię. Czując się również podejrzanym o coś kompromitującego, Bland postanowił dokonać symbolicznego aktu poddania swego mieszkania rewizji. Przez chwilę się zastanawiał, czy w środku nie pozostały jakieś ślady jego miłosnego zamroczenia, ale szybko pozbył się wątpliwości. Dowody były tylko w jego głowie i tam zostaną pogrzebane. Życzył Hipwoodowi przyjemnego popołudnia i wyszedł na mroźną ulicę. Postanowił pójść do Galerii Narodowej i Narodowej Galerii Portretów, kupić karty świąteczne i wieczorem zaadresować je, tak by były gotowe do wysłania rano, a może nawet jeszcze dziś, jeśli będzie miał na to dość sił. Wyszedł pogrążony w myślach, bez swej zwykłej energii. Popołudnie było piękne, spokojne, ulice wyludnione, niebo niezmiennie czyste. Szedł coraz prędzej tymi miłymi sercu ulicami,

z którymi zżył się od czasu osiedlenia w Londynie. Pierwsze gorączkowe dni pobytu w tym mieście spędzał na badaniu tej okolicy. Wieczorem wracał wyczerpany do hoteliku przy Earls Court, gdzie mieszkał, dopóki nie skierowano go do Radnor Place, czyli dopóki nie wyrwał się na wolność. Przyjechał do Londynu z pieniędzmi, które uzyskał ze sprzedaży domu rodziców, i ta gotówka uchroniła go od najgorszych błędów, jakie może popełnić niedoświadczony człowiek. Uczył się wolno, ale systematycznie, postanowiwszy spenetrować każdą dzielnicę po kolei, ciesząc się na myśl o podniecającej decyzji, którą w końcu będzie musiał podjąć: gdzie ma zamieszkać lub — jak wolał to wówczas określać — gdzie ma założyć dom. Ten dom jakoś przed nim umykał, a w każdym razie żaden z oglądanych przez niego domów nie wydawał mu się odpowiedni. Brakowało w nich życia, a może to on sam uniemożliwiał wypełnienie ich życiem. Louise pewnie zdawała sobie z tego sprawę i dlatego uciekła. A teraz w surowym komforcie swego mieszkania, niewątpliwie własnego i niewątpliwie kosztownie urządzonego, czuł się właściwie gościem, czekał na znak, że jest mile widziany i oczekiwany.

Przez wzgląd na wspomnienia przeszedł George Street, a później Baker Street do Oxford Street i do parku od strony Hyde Park Corner. Przechodził tędy wiele razy w przeszłości i pamiętał, jak serce mu rosło na widok wspaniałości tego miejsca. Teraz wrażenie nie było tak żywe, poczucie wielkości zbladło, ale nadal było to jego ulubione miejsce. Znał bardziej imponujące miasta — Paryż, Rzym, Wiedeń, nawet Nowy Jork. Wszystkie były w naturalny sposób uroczyście, ale w żadnym nie miał poczucia, że znalazł się w pępku świata, tylko w Londynie. Paryż można było przejść wzdłuż piechotą — przynajmniej można było, gdy był młody. Rzym jest

zbyt cyniczny, Wiedeń zanadto tajemniczy. Podczas pierwszej wizyty w Londynie, gdy poczuł się wyzwolony, patrzył na miasto oczami rozszerzonymi ze zdumienia i miał wrażenie, iż to jeden wielki budynek rządowy, a pracujący w nim urzędnicy są na co dzień zaprzątnięci rządzeniem całym światem. Tak w każdym razie wtedy myślał. Teraz to miasto zamierało. Jego podniosłość niemal znikła, ale on jakby lepiej je rozumiał. Londyn stał się podobny do niego — stał się świecki. Bland nie zwracał uwagi na kościoły, które niegdyś z upodobaniem penetrował, złożył jednak uszanowanie budynkom parlamentu, kunsztownej dziewiętnastowiecznej konstrukcji, emblematowi narodowej wiary, pragmatycznej i trzeźwej, choć ozdobionej z gotyckim poczuciem dumy. Dla prowincjusza, jakim pozostał do dzisiaj, ten widok wystarczy, by powróciła mu wiara w życie mimo pochmurnego dnia.

Na Trafalgar Square znalazł się w środku tłumu. Przez większą część dnia czuł się samotny. Nie widział i nie słyszał ludzi, którzy — zaabsorbowani własnymi sprawami — zapełniali niedzielne ulice. Zmuszony do zwolnienia kroku, na próżno wypatrywał jakiejś znanej twarzy, przeciskając się w gasnącym ulicznym rozgwarze. Cieszył się światłem. Zimowe słońce przybladło, zabarwiając różową poświatą białe mury Galerii Narodowej. To ostatnie godziny swobody, zanim ciemność zagoni przechodniów do domów. Szli wyciszeni, spokorniali i posłuszni, mijając się na zatłoczonych, lecz dziwnie cichych ulicach. Przyjemnie było tak kroczyć, ramię przy ramieniu, niemal odczuwając ciepło obcych ciał pod dającymi się dotknąć płaszczami. Poczucie własnego ja łagodnie ulegało zawieszeniu.

Kupił karty świąteczne i poczuwszy nagłe zmęczenie, wziął taksówkę na Kendal Street. Był niemal zadowolony z powrotu do domu. Zostawił za sobą

zimne gasnące światło i mieszkanie wydało mu się naraz całkiem przytulne. Położył rękę na kaloryferze i natychmiast ją cofnął — miał wrażenie, że się oparzy. A więc Hipwood wiedział, co zrobić. Może nawet odniósł moralne zwycięstwo. W moralitecie z pewnością grałby główną rolę. Pominąwszy względy moralne, nie ulegało wątpliwości, że mieszkanie było teraz przyjemne. Bland zrobił sobie herbatę i z przyjemnością ją wypił. Nadgryzł herbatnika, ale natychmiast twarz ściągnęła mu się żałośnie. Musiał jeść sam i ten fakt uzmysłowił mu znowu, jak bardzo jest samotny. Wywnioskował z własnych reakcji, że powinien ponownie przystosowywać się do samotnego życia, dopóki nie odzyska panowania nad sobą. Nie mógł sobie pozwolić na nerwowe tiki i nie kontrolowane reakcje, jak u noworodków. Stargane nerwy mogłaby uspokoić praca, ale nie miał czym się zająć. Przydałoby mu się jakieś towarzystwo, lecz też go po prostu nie miał. Żył w bezludnym świecie. Musiał się także uporać się ze świętami. O jedzeniu pomyśli jutro. Na razie powinien odezwać się do tych, którzy mogliby się o niego niepokoić. Spędził cały wieczór, pisząc życzenia i przyklejając znaczki na kopertach. Zdziwił się, że zna tak wiele osób, którym szczerze i jak najlepiej życzy. Nie mógł się jednak zebrać, by wystosować kartę do Louise. Powinien napisać do niej list z wyrazami miłości, ale tego nie potrafił. Nie dlatego, żeby nie zasługiwała na jego miłość, lecz dlatego że nie miał w sobie tego uczucia, był z niego kompletnie wyzuty. Czuł się całkowicie pozbawiony sił, jakby mu je chirurgicznie usunęto. Równie pusty i krańcowo wyczerpany był jego umysł. Bland ułożył karty świąteczne w stosik z zamiarem wysłania ich rankiem i zdobywszy się najwyższym wysiłkiem woli na zdjęcie ubrania, runął na łóżko. Gdzieś w środku nocy zdał sobie sprawę, że nie zadzwonił do Louise.

Następnego dnia, w poniedziałek, otworzył drzwi pani Cordozo i natychmiast zapytał, zastrzegając się, że chodzi o wielką uprzejmość, czy nie zgodziłaby się posprzątać w mieszkaniu Dunlopów.

Nagabnięta wpadła w oburzenie.

— Pracuję tylko dla ciebie, George. Dla nikogo innego.

Moment, od którego mówiła mu po imieniu, gubił się w mrokach prehistorii. Ona jednak pozostała dla niego panią Cordozo, choć chciał, żeby było inaczej. Miała na imię Fidelia i to imię wydawało mu się niezwykle piękne.

— Będzie na panią czekała kawa po pracy — zapewnił ją. — I proszę, żeby zechciała pani to przyjąć. Wesółych świąt. Proszę tylko zmienić pościel i ręczniki, no i tak ogólnie posprzątać. Dziś u mnie nie ma nic do zrobienia.

Mimo jej oporu, popychał ją lekko przez korytarz w stronę mieszkania Dunlopów.

Skorzystał z tego, że jej nie było u niego, i wybrał się po zakupy.

— Dzień dobry panu — powiedział uprzejmym tonem Hipwood, widząc go w holu. — Czy ogrzewanie dobrze działa?

— Doskonale, dziękuję bardzo. Dzień dobry, Moiro.

— Dzień dobry — odparła pani Lydiard z oddalenia.

Chyba przestali być przyjaciółmi. Nie utrzymywał z nią kontaktów jak należy i wiedział, że już się na to nie zdecyduje. Nie potrafiłby rozmawiać z nią o wyjeździe Katy. Nie umiałby przybrać tego bezstronnego tonu, którym powinien ten epizod zrelacjonować, by przeciwstawić się jej pogładowi na ten temat. Chyba w przyszłości ograniczy się do wymiany najbardziej konwencjonalnych pozdrowień. Dziwnego wczorajszego słońca już nie było. Dzień



był szary, mglisty i przenikliwie zimny. Wysłał karty i zrobił najniezbędniejsze zakupy. Ciągle jeszcze nie mógł myśleć o codziennych potrzebach. Po powrocie do domu stał chwilę przy oknie, poklepując rozgrzany kaloryfer. Gdy pani Cordozo wyszła, zjadł chleb z serem i popił kieliszkiem wina. Potem zagłębił się w Mauriacu, którego niezmiennie żałobny ton przywracał mu spokój. W pewnej chwili po południu pobiegł do Dunlopów i włączył ogrzewanie.

We wtorek było jeszcze zimniej. Zmusił się, by pomyśleć o codziennych sprawach. Zjadł lunch w klubie i wracając do domu, kupił wreszcie więcej żywności na święta. Zamierzał nie opuszczać mieszkania przez całe Boże Narodzenie. Ogarnął go dziwny spokój. Popołudnie przesiedział w mrocznym pokoju, nie dbając o to, jak wygląda, nie decydując się na zapalenie światła, nawet gdy już zrobiło się całkiem ciemno. Pogrążył się w myślach, próbując dokonać przeglądu swego życia. Na koniec zmusił się nawet, by pomyśleć o Katy bez poczucia winy, ale jeszcze nie udzielając sobie rozgrzeszenia. Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, podniósł się jak somnambulik i otworzył je, wciąż nie zapalając światła. Na korytarzu stał Tim Dunlop z pudełkiem czekoladek i kartką z życzeniami świątecznymi.

— Przeszedłem za wszystko podziękować — powiedział.

— To zupełnie zbyteczne...

— Był pan niezwykle uprzejmy. W mieszkaniu jest taki porządek, a my zostawiliśmy straszny bałagan.

— To zasługa pani Cordozo. Mam nadzieję, że państwa nie uraziłem?

Wolał innej prawdy na ten temat nie wspominać.

— Ależ skądże! Jesteśmy zachwyceni.

Ociągał się z odejściem, jakby nie spieszył się do domu.

— Czy udały się państwu wakacje?  
— Doskonale, dziękuję bardzo. A pan jak się czuje?  
— Świetnie  
— Czy wyjeżdża pan na święta?  
— Nie, zostanę tutaj.  
— Nie będzie się pan czuć samotny?  
— Samotny? Na pewno nie. Wszystko, czego potrzebuję — dalsza część zdania uwięzła mu w gardle, jakaś tęsknota załzawiła oczy tak, że musiał ni to chrząknąć, ni kichnąć, by się pozbyć owego nie dającego się stłumić wzruszenia — to odrobina odpoczynku.  
— Musiał się pan przepracowywać, jak sędzę.  
— Chyba właśnie tak było — potwierdził z wdzięcznością. — Raz albo dwa razy miałem już wrażenie, że jestem na krawędzi.  
— Ach tak, no dobrze. Gdyby pan czegoś potrzebował...  
Ale on niczego nie potrzebował. Może odpoczynku. I długiego snu, jednego z tych, podczas których ujawniają się pouczające obrazy. I czasu na zastanowienie, ponieważ człowiek w jego wieku powinien się zastanawiać — spokojnie, cierpliwie, nawet pogodnie.  
— Dobranoc — powiedział, zamykając drzwi za oddalającym się Dunlopem.  
Wszedł do kuchni, otworzył spiżarkę i patrzył nie widzącym wzrokiem na jej zawartość. Potem począł do sypialni i odchylił kołdrę. Miałem swoją przygodę — pomyślał. Teraz muszę żyć tak, jak żyłem dotąd. Czego mi właściwie brakowało? Odwagi, czyli odrobiny niezbędnego szaleństwa, tego *grain de folie*, jak mówią Francuzi. Automatycznie włączył radio, by posłuchać prognozy pogody. Równie szybko je wyłączył, gdy usłyszał dzwonek telefonu.

— George, dzięki Bogu wreszcie cię zastałam. Wiem, że się martwisz, nie mając ode mnie żadnych wiadomości. Ale nie było mnie w domu przez dwa dni z rzędu. Jesteśmy tu wszyscy bardzo zajęci. W niedzielę poszłam na kolędy, a później Fawcet-towie zaprosili mnie na kolację. Nie mogłam odmówić, choć wiedziałam, że będziesz zaniepokojony. A wczoraj wieczorem urządziliśmy w szpitalu przyjęcie dla starszych dzieci. Wiesz, że ja czasem przy tym pomagam. No, ale już dosyć na mój temat. Jak się czujesz, mój drogi? Czy wszystko u ciebie w porządku?

— Tak, świetnie.

— To dobrze. Zapadła cisza.

— Zdecydowałeś się wyjechać? W jej głosie wyczuł nutkę zachęty.

— Louise — rzekł — chyba zbyt późno zabrałem się w tym roku do robienia planów. Ale mam pomysł na prezent dla ciebie. Co byś powiedziała na wycieczkę statkiem? Wiosną.